tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 8 (1311)
17-23.02.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Robert Walenciak
Nowa Lewica – prywatna partia Czarzastego

Głuchołazy po powodzi

Opowieści kobiet z rodzin górniczych

Jan Peszek
– fenomen aktorstwa

ZDEWASTOWANA PROKURATURA

POŁOWA PROKURATURY KRAJOWEJ BRUŹDZI BODNAROWI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
08 >
9 771509 311508

REPERTUAR TCN

SEZON 2024/2025

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

MIODOWA 22/24
KASA TEATRU CZYNNA STACJONARNIE:
OD WT. DO PT. W GODZ. 15:00 – 19:00
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA
W SOBOTY W GODZ. 15:00 – 17:00
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA

MOŻNA SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z NAMI RÓWNIEŻ
TELEFONICZNIE: 662 155 960
MAILOWO: KASA@E-AT.EDU.PL
OD WT. DO PT. W GODZ. 11:00 – 19:00
W WEEKENDY W GODZ. 13:00 – 17:00
TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

kwiecień 2025

OJCIEC

REŻ. AGATA DUDA-GRACZ

03	04	05	SALA IM. J. KRECZMARA
CZWARTEK 18:30	PIĄTEK 18:30	SOBOTA 18:30	

„FORMAT" DLA CIEBIE

11	12	13	DNI OTWARTE FILII W BIAŁYMSTOKU
PIĄTEK 17:00–21:00	SOBOTA 12:00–21:00	NIEDZIELA 12:00–21:00	

MEWA

REŻ. KATARZYNA MINKOWSKA

24	25	26	SCENA GŁÓWNA
CZWARTEK 19:00	PIĄTEK 19:00	SOBOTA 19:00	

Fot. Zuzanna Mazurek

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

Patroni medialni: chilli zet, Przegląd, Polecamy nami naszemiasto.

Partnerzy Teatru: kicket

eprasa.pl c938a05b9e

Jerzy Domański

Pęka balon złudzeń

Jak niewiele dni minęło od tej niezapomnianej sceny, gdy polska opozycja fetowała w Sejmie wybór amerykańskiego prezydenta! Entuzjazm w PiS był tak niebywały, że ktoś z boku mógł pomyśleć, że stało się coś niezwykle dla Polski korzystnego. A przecież było dokładnie odwrotnie. Wybór Trumpa dla każdego średnio rozgarniętego obserwatora był zapowiedzią wielu nowych kłopotów. Tak jakby Polsce nie został w spadku po Kaczyńskim i Morawieckim wór ze starymi problemami. Wpędziła nas w te problemy kosmicznie niekompetentna ekipa prezesa partii. Przestępczość w czasie ośmiu lat rządów PiS oblazła wszystkie obszary, do których miała dostęp. Kradnij to drugie imię tego obozu. Takie są fakty. A cała reszta to bardzo pomysłowe i zmasowane akcje odwlekające to, co powinno być nieuchronne, czyli sprawiedliwe wyroki sądów. A jak będą sprawiedliwe, to muszą być surowe.

Dużo szybciej niż z sądami przyjdzie prawicy skonfrontować się z prawdą o tym, jaka może być polityka Trumpa. Za naiwność, brak wiedzy i pobożne życzenia trzeba będzie słono zapłacić. Politycy niezwykle rzadko ponoszą konsekwencje swojej głupoty. Płaci za nich społeczeństwo. W tym również ci, którzy wynieśli ich do władzy i zostali oszukani.

Na jaką politykę Trumpa liczyli posłowie PiS oklaskujący go z wielkim entuzjazmem, zanim cokolwiek dla Polski zrobił? Cieszył się też prezydent Duda, ale to przypadek wyjątkowy. Nie ma chyba takiego afrontu, którego by nie zniósł, czekając na jakiś dobrze płatny ochłap w strukturach międzynarodowych. Liczy bardzo na Trumpa. I na jego wpływy. Na prawicy ciągle mamy zero refleksji, choć wystarczyłoby spojrzeć na wynik ostatniego sondażu dla „The Economist" (9-11 lutego). Po raz pierwszy od zaprzysiężenia Trumpa odsetek dezaprobaty (48%) jest wyższy niż aprobaty (46%). I nic nie wskazuje na to, że ta winda, jadąc w dół, może się zatrzymać.

Na początku lutego podaliśmy, podobnie jak inne media, rzekomo wiarygodną informację, że nowym ambasadorem USA w Warszawie będzie Jim Mazurkiewicz z Teksasu. Pełno było jego zdjęć w kowbojskim kapeluszu. I tyle po tym kandydacie zostało. Ambasadorem ma być Thomas Rose, ortodoksyjny Żyd, syjonista i konserwatysta. Według Trumpa dobrze zadba o interesy amerykańskie w Polsce. I w to nie wątpię. Ciekaw tylko jestem, czy pisowcy, którzy tak klaskali w Sejmie, równie szczerymi i burzliwymi oklaskami przywitają ambasadora Rose'a. I czy dołączy do nich europoseł PiS Adam Bielan, który chwali się, że ma z Rose'em bardzo dobre relacje.

BĄKOWSKI

Otwieramy nasze łamy!

LISTY DO REDAKCJI

Drodzy Czytelnicy,
jeśli chcecie podzielić się swoimi opiniami lub poruszyć ważne dla Was sprawy, piszcie pod adresem:

listy@tygodnikprzeglad.pl

Skromna objętość tygodnika jest tu pewną barierą, ale nasza strona internetowa daje większe możliwości. Opublikujemy na niej Wasze e-maile.

eprasa.pl c938a05b9e

W NUMERZE

KRAJ
8 **Harcownicy Ziobry**
Ilu ich jest w prokuraturze
12 **Mała partia, mały wynik**
Lewica zniechęca wyborców
14 **Popowodziowe powroty do życia**
Sukcesy i problemy odbudowy Głuchołazów
18 **Oszustwa na mObywatela**
Kwitnie handel podróbką aplikacji
19 **Prus dla Joanny Solskiej**
Nagroda za dokonania dziennikarskie
32 **Dar pomagania**
– rozmowa z Jolantą Kwaśniewską
44 **Polaków współczucie warunkowe**
– rozmowa z dr Moniką Glosowitz

ZAGRANICA
20 **AfD przerwała kordon sanitarny**
Niemcy skręcają w prawo. Oby nie za bardzo
24 **Kochali USA, bo dostawali pieniądze**
Polacy też na liście płac USAID
48 **Prawie jak prohibicja**
Korespondencja z Turcji

OPINIE
28 **Randall L. Schweller**
Joe Biden – katalog błędów

SPORT
30 **O potędze kiksu**
Futbol jako gatunek liryczny

HISTORIA
36 **Niechciane dziedzictwo lewicy**
35 lat od rozwiązania PZPR

KULTURA
40 **Parada ról**
Sceniczne autoportrety Jana Peszka
43 **Qulturalia**
66 **Katarzyna Swinarska**
Nieobecni kochankowie

ZDROWIE
52 **Choroba, na którą nas nie stać**
Lekarze wirtuozi od endometriozy

ZWIERZĘTA
56 **Zrozumieć kota**
Miauczy do ludzi. A co poza tym?

OBSERWACJE
59 **Globus Behaima**
Że Ziemia jest okrągła, wiedziano w XV w.

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Pęka balon złudzeń
23 **Jan Widacki**
Polityka wschodnia a mit Kresów
27 **Andrzej Romanowski**
Make Germany Great Again!
35 **Andrzej Szahaj**
Antydemokratyczny kapitalizm totalny
39 **Roman Kurkiewicz**
Rzeczpospolitomat SA
47 **Tomasz Jastrun**
Moje kartki
51 **Wojciech Kuczok**
Na gołoborzu

40
KULTURA

PARADA RÓL
Sceniczne autoportrety Jana Peszka

52
ZDROWIE

CHOROBA, NA KTÓRĄ NAS NIE STAĆ
Lekarze wirtuozi od endometriozy

56
ZWIERZĘTA

ZROZUMIEĆ KOTA
Miauczy do ludzi. A co poza tym?

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER(2), ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl c938a05b9e

Lista Wildsteina trampoliną PiS

Histeria teczkowa? Nagle ludzie przypomnieli sobie, że sami się rejestrowali jako TW, żeby mieć z tego pieniądze. Litości! W moim mieście były zakłady pracy, w których wszyscy pracownicy byli zarejestrowani jako TW. I to ma być powód do wstydu? Dziś ludzie kradną, robią przekręty, uczestniczą w aferach obyczajowych i nie jest to powodem do wstydu czy histerii. Ba! Nieważne jest, czy się mówi o kimś dobrze, czy źle, byle mówili cokolwiek. Szkoda tylko, że Wildsteina nikt nie pozwał za udostępnienie danych osobowych tysięcy ludzi. Ciekawe, czy tak samo by się z nim cackano, gdyby ujawnił listy współpracowników ABW.

Michał Czarnowski

Czystki etniczne jako biznes

Smutne to wszystko, choć co do ONZ, chciałam tylko powiedzieć, że od bodaj roku komisją ds. kobiet zawiaduje Arabia Saudyjska, co pokazuje prawdziwe oblicze tej instytucji. Zakłamane wspólne interesiki osadników, którzy już dawno powinni zostać uznani za organizację terrorystyczną, Arabii Saudyjskiej i Trumpa niestety nie dziwią. Łączy ich specyficzna moralność i oparta na niej wizja świata.

Joanna Sarnecka

Odebrano telewizję PiS. I mamy rok wegetacji

To prawda, że wiele zależy od kadry. Im lepsza, tym firma bardziej fachowa. Wielość kanałów telewizyjnych być może służy do zarabiania na reklamach, do których dodatkiem są bezustannie powtarzane „kultowe" filmy, tasiemcowe seriale, pop-rozrywka, programy z wyprzedaży, smutne kabareciska.

Z rozmową znakomicie współbrzmią treści zawarte w książce prof. Andrzeja Karpińskiego „Jak ja to widziałem": „Telewizja powinna nieść radość. A gdy włączy się telewizor, ma się wrażenie, że świat to wyłącznie katastrofy, wypadki i zbrodnie". W rezultacie „telewizja w coraz większym stopniu wdziera się w nasze życie domowe i narusza spokój i intymność na równi z intruzami telefonicznymi i próbami okradania nas z zewnątrz. Bo okrada nas z wolnego czasu".

Dodam, że książka prof. Karpińskiego ma formę pogawędki z czytelnikiem, co jest jej plusem.

Dorota Kaczmarek

Worek bokserski

Czytam sympatyczne felietony Tomasza Jastruna. Zwykle trafia w sedno. Często wspomina ciepło znajomych z Izraela. Pisze: „To mały kraj, niemal każdy miał kogoś wśród porwanych". Pewnie można dodać, że niemal każdy ma kogoś wśród zabójców kobiet i dzieci palestyńskich. I są to tysiące Izraelczyków! Przy tak bezwzględnym traktowaniu okupowanego kraju nienawiść całej ludności jest zrozumiałą konsekwencją i nie wróży Izraelowi dobrej przyszłości, niestety.

Jan Dębek

ZDJĘCIE TYGODNIA

Wystawa „Jałta 2.0" w podjałtańskiej Liwadii. W 1945 r. w tamtejszym pałacu konferowali Stalin, Churchill i Roosevelt. Nowa Wielka Trójka to Trump, Putin i Xi Jinping. 8 lutego 2025 r.

FOT. ALEXEY PAVLISHAK/REUTERS/FORUM

eprasa.pl c938a05b9e

Premier Donald Tusk zapowiedział zainwestowanie w tym roku w polską gospodarkę ponad **650 mld zł**. Wydatki na kolej mają do 2032 r. przekroczyć **180 mld zł**. Porty do 2030 r. mają potroić swoje możliwości przeładunkowe. Najwięcej kontrowersji budzi zaproszenie Rafała Brzoski (InPost) do prac nad deregulacją przepisów, bo jeszcze niedawno w bardzo marnym stylu zamykał on swój poprzedni biznes.

•

Karol Nawrocki, pisowski kandydat na prezydenta, nie żałował państwowej kasy na swoje podróże. Od 2018 r. jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej zaliczył m.in. Chiny, Japonię, Nową Zelandię, Australię, Kazachstan i Rosję. A gdy przeszedł do IPN, poleciał do Zimbabwe, Meksyku i Argentyny. Objechał też Stany Zjednoczone. Jego **podróże kosztowały podatników prawie 800 tys. zł.** Z zadaniami muzeum i IPN miały tyle wspólnego, co Nawrocki z kandydatem obywatelskim **(„Gazeta Wyborcza").**

•

Między 21 a 25 lipca odbędzie się w Londynie proces ekstradycyjny Michała Kuczmierowskiego, byłego szefa Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Do tego czasu Kuczmierowski, po wpłaceniu 465 tys. funtów, ma zakaz opuszczania Wielkiej Brytanii. Ma zatrzymany paszport, całą dobę musi być pod telefonem i odbierać połączenia z sądu także nocą, musi przebywać pod zaakceptowanym adresem i stawiać się codziennie w komisariacie między godz. 16 a 20, między godz. 23 a 5 ma zaś godzinę policyjną monitorowaną elektronicznie.

•

Stajemy się coraz większym złomowiskiem starych aut. W 2024 r. do Polski trafiło **968 tys. używanych samochodów osobowych**. Ich średni wiek przekroczył 12 lat. Pół miliona aut przywieziono z Niemiec.

•

Z ukraińskiej 155. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej, mającej składać się z 4,5 tys. żołnierzy, a częściowo szkolonej we Francji, zdezerterowało przed pierwszym starciem 1,7 tys. żołnierzy. Dowódcę odwołano.

•

Polski golfista Adrian Meronk wygrał turniej golfowy w Rijadzie. Za zwycięstwo otrzymał 4 mln dol.

•

Śniadanie z premierem Tuskiem i wizytę w KPRM wylicytowano na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy na **kwotę 500 500 zł.** Co będzie jedzone? Śledzik po kaszubsku, jajecznica na szprotkach, czyli prażnica na brétlingach, i ruchanki, czyli racuchy po kaszubsku.

•

Są regiony, gdzie PiS ciągle rządzi i robi to w stylu, który pamiętamy z ośmiu lat rządów dojnej zmiany. W Lublinie samorząd wojewódzki powołał polityczkę PiS Beatę Mazurek na prezesa spółki Lubelskie Dworce. A przecież do prima aprilis jeszcze daleko.

•

Znakomity pisarz, reporter i nasz redakcyjny kolega Leszek Konarski otrzymał od ministry kultury i dziedzictwa narodowego Hanny Wróblewskiej Brązowy Medal **„Zasłużony Kulturze Gloria Artis"**. Gratulujemy!

PRZEBŁYSKI

Siemoniak dał lekcję Olejnik

Nareszcie. Paskudna maniera traktowania gości TVN 24 z buta i przerywania rozmów z nimi została oprotestowana przez szefa MSWiA.

Gdy Tomasz Siemoniak w „Kropce nad i" mówił o walce z mafiami i przestępczością zorganizowaną, Monika Olejnik nagle mu przerwała, bo reporter na londyńskiej ulicy złapał wypuszczonego z aresztu byłego szefa RARS Michała Kuczmierowskiego. Bezczelny do bólu wysłannik TVN 24 usiłował coś z niego wycisnąć. A minister Siemoniak czekał. Gdy w końcu przestępca zbył natręta, Olejnik jak gdyby nigdy nic wróciła do ministra. Siemoniak zachował się z klasą i powiedział, że bardzo mu się nie podoba, „że przerywacie wywiad, bo podejrzewany o poważne przestępstwa w Londynie ma coś na ulicy powiedzieć". Został w studiu, bo szanuje telewidzów, „których państwo nie uszanowali". Jakie maniery, takie wolne media.

Spustoszenie po Fałkowskim

Kupować, kupować i jeszcze raz kupować. Taki cel postawił sobie Wojciech Fałkowski, były dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie. A wcześniej wiceminister obrony narodowej u Antoniego Macierewicza.

Jacy myśliciele, takie dzieła. W MON też kupowali jak leci. Jak nikt w świecie mamy porąbany miks. Czołgi amerykańskie, koreańskie, niemieckie i radzieckie.

Fałkowski przez sześć lat wydał na zakupy 115 mln zł. Ponieważ chciał w zamku zrobić galerię sztuki europejskiej. Kompletne fiksum-dyrdum, bo niedaleko zamku jest Muzeum Narodowe. I to tam powinna trafić kasa na zakupy i te miliony, które wydał były dyrektor. Teraz Fałkowski opowiada, że oddał zamek Polakom. Prawdziwy dobrodziej, szkoda, że nie dodaje, którym konkretnie. Najbardziej zadowoleni z tego otwarcia byli bogaci Polacy, którzy organizowali tam swoje wesela.

Czego nie zauważyła Nykiel?

Pisanie komentarzy to proces wymagający sporego pomyślunku. Zwłaszcza gdy autorka ma całą kolumnę na początku numeru.

Marzena Nykiel (tygodnik „Sieci") dostała taką szansę. A jak ją wykorzystała? Brawurowo. Sięgnęła do głębi swojego serduszka. Żal by było nie pokazać tego, co napisała. Choćby tak głębokiej myśli, że Trump postawił na nogi świat, który do tej pory stał na głowie. Naprawdę, pani Marzeno? A dalej jeszcze ciekawiej: „Ruszyła wielka zmiana prowadząca do społecznego uzdrowienia". Czekamy więc, aż ta zmiana dotrze do „Sieci". I do pani Nykiel.

Gołe zapasy wikarego

Wśród skandalistów sytuacja bez zmian. Kler nie daje się zepchnąć z podium. Trzeba wreszcie przeciąć ten ropień, by kolejnych dzieci nie spotykały takie okropieństwa jak chłopców z parafii w Święcanach pod Jasłem. Buszował tam ks. Dominik R. – 34-letni wikary robił zdjęcia nagim ministrantom. Wymyślił nowy sport: zapasy w basenie gołych chłopców z gołym wikarym. Mógł ich sobie wtedy podotykać do woli. Pedofil trafił przed Sąd Okręgowy w Rzeszowie. A można mu było wcześniej przerwać szlak dewiacji. Skargi na ks. Dominika R. były już wtedy, gdy pracował z dziećmi w Boguchwale koło Rzeszowa.

FOT. YOUTUBE (2), KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, FACEBOOK

eprasa.pl c938a05b9e

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

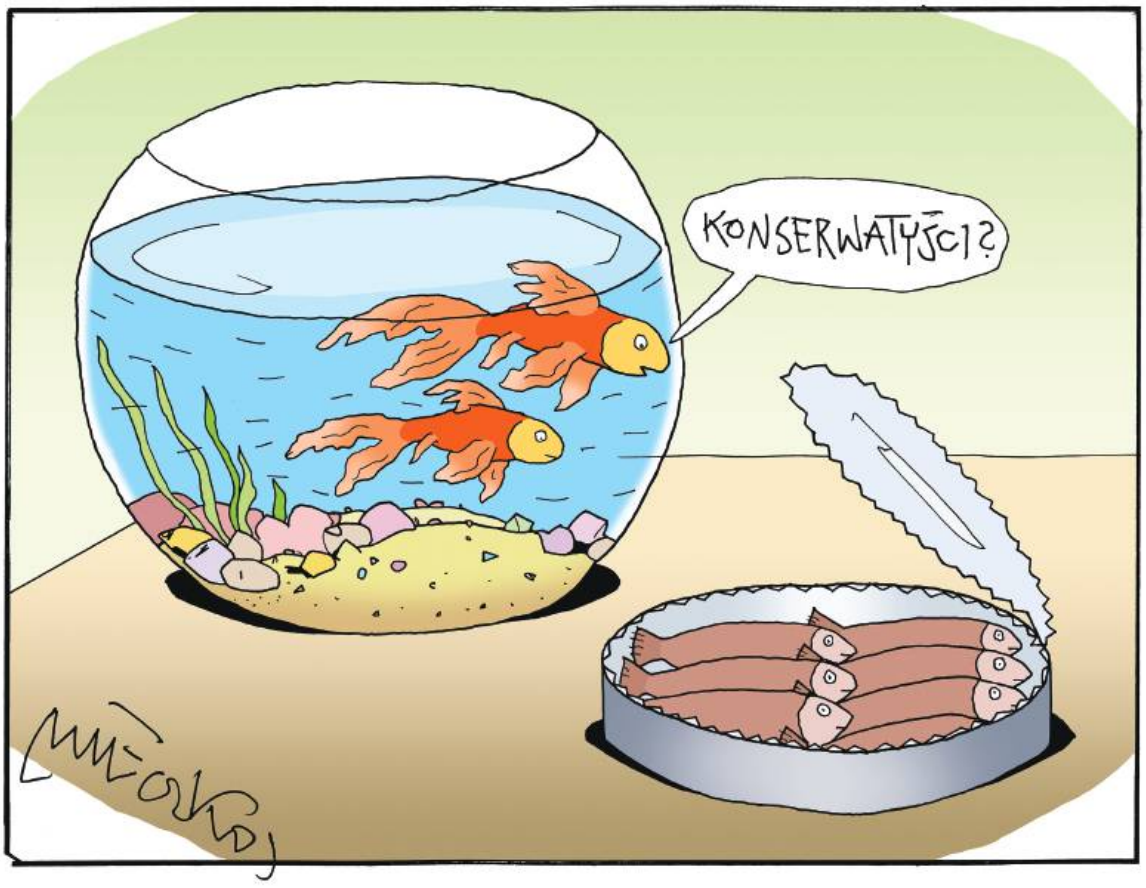

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Kto w Polsce jest wykluczony?

MAŁGORZATA SZUMOWSKA,
ambasadorka Konwencji ONZ o prawach osób z niepełnosprawnościami

W Polsce wykluczone są, i to po wielokroć, osoby z niepełnosprawnościami. Przede wszystkim przez brak dostępu do dobrej jakości usług społecznych, takich jak asystencja osobista czy mieszkalnictwo ze wsparciem. Warto zwrócić uwagę na dzieci z niepełnosprawnościami, które często są wykluczane z systemu edukacji, kojarzone tylko z potrzebą rehabilitacji, która z kolei dostępna jest głównie dla osób majętnych. Newralgicznym tematem są dzieci z niepełnosprawnościami pozbawione opieki rodziny biologicznej. Coraz częściej słyszymy o bytowaniu nawet małych dzieci w zakładach opiekuńczo-leczniczych, następnie domach pomocy społecznej. Zamiast wspierać rodzicielstwo zastępcze, przekazuje się te „niewidzialne dzieci" instytucjom, gdzie w świetle prawa są traktowane jak osoby dorosłe i znikają z orbity planowania ich podmiotowej przyszłości.

OLGA GITKIEWICZ,
autorka książki „Nie zdążę"

W mediach całkiem ładnie ta Polska wygląda, z badań, np. Eurostatu, wynika, że ponad 60% Polek i Polaków zalicza się do klasy średniej, ale uważam, że w Polsce jest sporo osób wykluczonych. Nie chcę nikogo zaliczać do tej kategorii na siłę, ale systemowo wykluczamy te osoby, które do średniej nie przystają. Rodziny wielodzietne, osoby bezrobotne, zwłaszcza długotrwale, migrantów i migrantki, osoby LGBT+, mieszkańców terenów wiejskich – tu szczególnie widać wykluczenie komunikacyjne. Brak transportu ma wpływ m.in. na możliwości edukacyjne i zawodowe, na dostęp do opieki zdrowotnej. Ktoś w zaawansowanym wieku, ktoś dotknięty chorobą czy niepełnosprawnością albo samotny rodzic odczuwa wykluczenie komunikacyjne mocniej niż osoba sprawna, w sile wieku.

PIOTR CISZEWSKI,
działacz społeczny

Jedną z podstawowych grup wykluczonych są osoby pracujące na śmieciówkach, które nie zarabiają nawet pensji minimalnej. Kolejna grupa to znaczna część lokatorów. Mieszkają w budynkach bez centralnego ogrzewania, więc problemem jest koszt ogrzania budynku zimą. To oznacza, że najbiedniejsi, czyli zamieszkujący na podstawie najmu socjalnego, którzy najczęściej nie mają centralnego ogrzewania, są zmuszeni ponosić ogromne koszty, aby mieć w czasie zimy ciepło. Istnieje też duża grupa wykluczonych, którzy według państwa są zbyt zasobni na to, aby otrzymać wsparcie z pomocy społecznej czy wsparcie mieszkaniowe, a jednocześnie są zbyt biedni, aby płacić czynsze komercyjne. To skłania ich do poszukiwania dodatkowego zatrudnienia czy innych dodatkowych, elastycznych form zarobkowania.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl c938a05b9e

HARCOWNICY ZIOBRY

POŁOWA PROKURATURY KRAJOWEJ BRUŹDZI ADAMOWI BODNAROWI

Prokuratorzy (od lewej) Bogdan Święczkowski i Krzysztof Sierak należą do najbardziej zaufanych ludzi Zbigniewa Ziobry. Nz. posiedzenie Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka. 14 lipca 2020 r.

Andrzej Sikorski

Zawiadomienie o zamachu stanu sprokurowane przez Bogdana Święczkowskiego wywołało powszechną ekscytację. Były prokurator krajowy i szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w rządach PiS oskarżył kilkaset osób – na czele z premierem, ministrami, marszałkami Sejmu i Senatu, parlamentarzystami wspierającymi rząd, niektórymi prokuratorami i sędziami – że działając w zorganizowanej grupie przestępczej, dopuścili się zbrodni. Zbrodnia polega na tym, że nie uznają utworzonej przez PiS i obsadzonej przez nominatów tej partii nielegalnej Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, nielegalnej i upolitycznionej Krajowej Rady Sądownictwa oraz działającej pod dyktando PiS atrapy sądu konstytucyjnego. „Puczyści" podważają też status neosędziów, ludzi często bez kompetencji i kręgosłupa moralnego, którzy zawdzięczają kariery układom politycznym.

A już największą zbrodnią Donalda Tuska i jego szajki jest to, że uchwalili budżet państwa, pozbawiając sutych pensji Święczkowskiego i innych tzw. sędziów TK.

Nie trzeba być wytrawnym prawnikiem, by dojść do wniosku, że mamy do czynienia z hucpą w wykonaniu Święczkowskiego. Jego metody działania polegają na fałszywym oskarżaniu i wrabianiu ludzi w przestępstwa. Tak było w przypadku Barbary Blidy. Wobec niewinnej kobiety uknuto zakończoną tragicznie intrygę, a okoliczności śmierci popularnej polityczki lewicy nigdy nie udało się wyjaśnić. Między innymi dlatego, że ślady na miejscu tragedii zostały dokładnie zatarte przez podległych Święczkowskiemu funkcjonariuszy.

eprasa.pl c938a05b9e

W podobny sposób jak Barbarę Blidę, tj. wrabiając w przestępstwa, Święczkowski chciał załatwić również byłego zastępcę prokuratora generalnego Andrzeja Kaucza, Romana Giertycha czy Jolantę i Aleksandra Kwaśniewskich. Nie ma więc co się dziwić, że wierny żołnierz PiS udający sędziego poszedł po bandzie i wykrył zamach stanu.

„Ostry" w natarciu

Donos o zamachu Święczkowski przekazał swojemu koledze i byłemu podwładnemu Michałowi Ostrowskiemu, zwanemu „Ostrym". To jeden z sześciu zastępców prokuratora generalnego, których Adam Bodnar dostał w spadku po Zbigniewie Ziobrze (Ostrowski został powołany w listopadzie 2023 r., już po przegranych przez PiS wyborach). Oprócz Ostrowskiego są to: Robert Hernand, Tomasz Janeczek, Krzysztof Sierak, Andrzej Pozorski i Beata Marczak. Ta ostatnia jednak w przeciwieństwie do pozostałych uznaje Dariusza Korneluka za prokuratora krajowego i nie sabotuje decyzji przełożonego. Ziobrowych buntowników nie można odwołać bez zgody Andrzeja Dudy, bo spodziewając się utraty władzy, PiS skutecznie zabetonowało prokuraturę, dając prezydentowi nadzwyczajne kompetencje.

Ostrowski szybko zabrał się do pracy. W ciągu kilku dni przesłuchał dziesięcioro świadków, w tym pierwszą prezes Sądu Najwyższego Małgorzatę Manowską i szefową neo-KRS Dagmarę Pawełczyk-Woicką. Zaraz jednak stracił zapał, bo okazało się, że nie miał prawa wszczynać prywatnego śledztwa. Posłusznie przekazał akta Adamowi Bodnarowi, a ten zawiesił Ostrowskiego w czynnościach na sześć miesięcy. Zbuntowanemu prokuratorowi grozi postępowanie dyscyplinarne, a nawet karne. Niewykluczone więc, że będzie on jedyną ofiarą „zamachu stanu".

Kariera Ostrowskiego jest ściśle związana z PiS. W latach 2006-2007 był prokuratorem okręgowym w Świdnicy i we Wrocławiu. 15 listopada 2007 r., dzień przed zaprzysiężeniem rządu Donalda Tuska, został prokuratorem Prokuratury Apelacyjnej we Wrocławiu, choć nie miał wymaganego czteroletniego stażu pracy w prokuraturze okręgowej. Ostrowskiego awansował Robert Hernand, wówczas prokurator apelacyjny we Wrocławiu. W 2016 r. Święczkowski ściągnął „Ostrego" do Prokuratury Krajowej i ulokował na stołku dyrektora Departamentu ds. Przestępczości Gospodarczej, gdzie ten zajmował się koordynacją spraw tzw. dzikiej reprywatyzacji i mafii VAT-owskich. Były to najbardziej medialne sprawy wykorzystywane przez PiS w walce politycznej przeciwko PO. Poza propagandowym przekazem niewiele z tego wynikało, a w sprawie tzw. mafii reprywatyzacyjnej w Warszawie nikogo nie skazano, jeden z głównych oskarżonych został zaś nieprawomocnie uniewinniony.

Adam Bodnar jest w ekstremalnie trudnej sytuacji. Odziedziczył prokuraturę umeblowaną przez Zbigniewa Ziobrę i do czasu zmiany prezydenta buntownicy będą mu bruździć.

Jako prominentny prokurator Prokuratury Krajowej Ostrowski wykorzystywał swoją pozycję do załatwiania prywatnych interesów. Jego żona w 2019 r. przeszła w Wojewódzkim Centrum Szpitalnym Kotliny Jeleniogórskiej (WCSKJ) zabieg wszczepienia endoprotezy stawu kolanowego. Nie była z niego zadowolona i zawiadomiła prokuraturę, że została narażona przez lekarzy na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Jednak opinia biegłych wykluczała, że medycy mogli się dopuścić jakichkolwiek nieprawidłowości. Wtedy na polecenie „z góry" sprawą zainteresowała się Prokuratura Regionalna we Wrocławiu i przejęła śledztwo prowadzone przez Prokuraturę Rejonową w Kędzierzynie-Koźlu.

Takie działanie było sprzeczne z wewnętrznymi przepisami wskazującymi, że prokuratury regionalne powinny się zajmować tylko najpoważniejszymi błędami medycznymi, gdzie skutkiem jest śmierć osoby małoletniej. Nowy prokurator, choć nie miał ku temu żadnych podstaw, wszczął zakrojone na szeroką skalę śledztwo, a polegało ono na nękaniu lekarzy i personelu medycznego ze szpitala w Jeleniej Górze. Medyków wzywano na wielogodzinne przesłuchania, przeszukano pomieszczenia szpitala, przeczesano nawet szpitalny system informatyczny. Zamówiono kolejne opinie biegłych, które… znów wykluczyły błąd lekarzy. Po pięciu latach, we wrześniu 2024 r., postępowanie zostało umorzone, choć powinno to się stać już w 2022 r.

Śledztwo w sprawie kolana żony Ostrowskiego zostało wymienione w raporcie Prokuratury Krajowej na temat tzw. politycznych śledztw prowadzonych za czasów Zbigniewa Ziobry. W konkluzji napisano: „Powyższe działanie jest zaprzeczeniem istoty funkcjonowania prokuratury jako instytucji, której zadaniem jest ściganie przestępstw oraz stanie na straży praworządności, a nie wykorzystywanie jej dla partykularnych interesów osobistych".

W prokuraturze zatrudnionych jest ok. 5,7 tys. prokuratorów, z czego nawet 1 tys. to ludzie byłego ministra sprawiedliwości.

Ziobryści trzymają się mocno

Ponieważ zbuntowani zastępcy prokuratora generalnego Michał Ostrowski, Robert Hernand i Krzysztof Sierak biorą gigantyczne pieniądze za nicnierobienie (pobierają pensje w wysokości ok. 47 tys. zł brutto), Adam Bodnar dał im możliwość wykazania się i skierował ich do pracy w wydziałach zamiejscowych (dolnośląskim, mazowieckim i śląskim) Departamentu ds. Przestępczości

eprasa.pl c938a05b9e

Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej, czyli tzw. pezetu, elitarnej jednostki zajmującej się najpoważniejszymi przestępstwami. Panowie solidarnie nie podporządkowali się decyzji przełożonego. Bo przecież Zbigniew Ziobro ulokował ich na szczycie hierarchii w prokuraturze nie po to, żeby ścigali przestępców, ale by pilnowali interesów PiS i swojego pryncypała.

Adam Bodnar jest w ekstremalnie trudnej sytuacji. Odziedziczył prokuraturę umeblowaną przez Ziobrę i do czasu zmiany lokatora w Pałacu Prezydenckim buntownicy nadal będą mu bruździć, tj. podważać jego decyzje, a być może nawet urządzać prowokacje jak ta z zamachem stanu. Co prawda, udało się pozbyć Dariusza Barskiego, którego Zbigniew Ziobro przywrócił do służby ze stanu spoczynku na podstawie nieobowiązujących przepisów i mianował prokuratorem krajowym w miejsce Bogdana Święczkowskiego delegowanego przez PiS do TK. Ale sytuacja w prokuraturze po ośmiu latach rządów PiS jest nieciekawa.

Trzeba mieć na uwadze, że Zbigniew Ziobro wyhodował sobie przez ten czas pokaźną armię stronników. Przy czym określenie wyhodował jest jak najbardziej stosowne. Otóż obejmując władzę w prokuraturze, Ziobro awansował i nagradzał finansowo młodych i niedoświadczonych prokuratorów, oczekując za to bezwzględnej lojalności.

We wstępie do wspomnianego raportu Prokuratury Krajowej o śledztwach prowadzonych pod presją polityczną napisano, że wprowadzone przez PiS zmiany w prokuraturze stały się dla wielu prokuratorów, w tym „dla młodych i ambitnych adeptów sztuki prokuratorskiej (…) otwarciem drogi do błyskawicznego i niezasłużonego awansu. W zamian za władzę i pieniądze gotowi byli świadczyć przysługi władzy politycznej i budować nowy podległy jej ustrój. (…) Nowe prawo stworzyło mechanizmy pozwalające na instytucjonalne »przekupstwo« prokuratorów, którzy za stanowiska, apanaże i szereg innych korzyści mieli dbać o oczekiwane funkcjonowanie politycznej prokuratury. Zamiarem było stworzenie nowej elity prokuratorskiej kosztem doświadczonych i przyzwoitych prokuratorów”.

Michał Ostrowski (z lewej) to jeden z sześciu zastępców prokuratora generalnego, których Adam Bodnar dostał w spadku od Ziobry. Nz. z posłem Michałem Wójcikiem podczas sejmowej debaty w sprawie komisji śledczych ds. wyborów kopertowych i Pegasusa. 28 listopada, 2023 r.

Być może ludzie ci zostali tak zdemoralizowani i tak przesiąkli ideologią PiS, że nie potrafią już normalnie funkcjonować, a swoją pracę traktują jako misję polityczną. A gdy jeszcze widzą wyczyny Hernanda i Ostrowskiego, którzy publicznie znieważają Adama Bodnara i Dariusza Korneluka, zarzucając im działalność przestępczą i grożąc odpowiedzialnością karną, to mogą nabrać wiatru w żagle.

W prokuraturze zatrudnionych jest ok. 5,7 tys. prokuratorów, z czego nawet 1 tys. to ludzie byłego ministra sprawiedliwości. Na samym szczycie, czyli w Prokuraturze Krajowej, na ok. 80 prokuratorów połowa ma opinię zdeklarowanych ziobrystów.

Stajnia Augiasza

Adam Bodnar zastał prokuraturę nie tylko skrajnie upolitycznioną i zabetonowaną, ale też niewydolną i przetrzebioną kadrowo (szczególnie na tzw. pierwszej linii w rejonach). Prokurator generalny nie jest mściwy, ale musiał usunąć część prokuratorów funkcyjnych – tych najbardziej kojarzonych ze Zbigniewem Ziobrą. Wycofał również z delegacji 144 prokuratorów. Byli to zazwyczaj ludzie o niewielkim doświadczeniu, skierowani z rejonu do prokuratur wyższego szczebla, gdzie często prowadzili tzw. śledztwa polityczne, otrzymując większe wynagrodzenie i inne profity. Zadośćuczyniono z kolei tym, których Ziobro zesłał do niższych jednostek. Dotyczyło to m.in. prokuratorów dawnej Prokuratury Generalnej, w tym Anny Adamiak, Andrzeja Janeckiego, Artura Kassyka, Marka Jamrogowicza i Marzeny Kowalskiej. Natomiast wobec prokuratorów, którzy dopuścili się nadużyć i zaniechań, prowadzone będą postępowania dyscyplinarne i karne.

Niektóre decyzje mogą się wydawać zaskakujące. Adam Bodnar zorganizował otwarte i transparentne konkursy m.in. na polskiego prokuratora Prokuratury Europejskiej (EPPO) i eksperta krajowego delegowanego

FOT. MAREK M. BEREZOWSKI/REPORTER, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl c938a05b9e

ZAMÓW PRENUMERATĘ POCZTOWĄ PRZEGLĄDU 2025 Z DOSTAWĄ DO DOMU

Cena bez zmian. Jeden egzemplarz w prenumeracie 7,50 zł

97,50 ZŁ – II KWARTAŁ 292,50 ZŁ – II, III, IV KWARTAŁ

Zamówienia są przyjmowane do 25 lutego 2025 r.
we wszystkich placówkach pocztowych lub u listonoszy
albo drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl

do Biura Prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego. Konkursy wygrały osoby kojarzone ze skompromitowanym układem władzy. W pierwszym wygrała Grażyna Stronikowska, która przez ostatnie osiem lat współpracowała z Ziobrą jako prokurator Prokuratury Krajowej i milcząco wspierała upolitycznienie prokuratury, a w 2016 r. została nawet delegowana jako polski przedstawiciel do Komitetu Nadzoru Europejskiego Urzędu ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF).

Natomiast Małgorzata Jaszczuk, która będzie ekspertem w Biurze Prokuratora MTK, za rządów PiS jako młoda prokuratorka Prokuratury Rejonowej w Mińsku Mazowieckim została delegowana do Mazowieckiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej. Był to klasyczny awans polityczny i finansowy, jakich wtedy mieliśmy wiele. Dla części środowiska prokuratorskiego, szczególnie zaangażowanego w obronę niezależności, takie wybory personalne są niezrozumiałe.

Zdaniem stowarzyszenia Lex Super Omnia skupiającego niezależnych prokuratorów „komisje, które wyłoniły kandydatów, nie położyły właściwego nacisku na kwestie oceny spełniania przez kandydatów wymogu cechowania się niekwestionowaną niezależnością prokuratora".

Czas rozliczeń

Jednak to nie sprawy kadrowe najbardziej interesują opinię publiczną, ale postępy w najgłośniejszych śledztwach. Poirytowania powolnym tempem rozliczeń PiS nie kryła prokurator Ewa Wrzosek. Niepokorna prokuratorka w programie TVP Info „Trójkąt polityczny" stwierdziła, że lepszym ministrem sprawiedliwości byłby Roman Giertych i konieczne są zdecydowane działania. Potem w rozmowie z Wirtualną Polską krytykowała Adama Bodnara za „brak doświadczenia i znajomości realiów prokuratury".

Wrzosek ma częściowo rację. Śledztwa toczą się powoli, ale to nie wina prokuratora generalnego. O licznych nadużyciach ze strony PiS wiadomo było głównie z doniesień medialnych. Postępowanie prokuratorskie toczy się według ściśle określonych reguł. Większość spraw to skomplikowane, wielowątkowe śledztwa, gdzie trzeba przesłuchać wielu świadków, zamówić opinie biegłych oraz przeprowadzić liczne czynności dowodowe. Końcowym etapem postępowania jest sporządzenie aktu oskarżenia.

Tymczasem akt oskarżenia tylko w jednym wątku nadużyć w Funduszu Sprawiedliwości, dotyczącym dotacji dla Fundacji Profeto, gdzie oskarżonymi są ks. Michał O. i pięciu urzędników ministerstwa, ma 377 stron i 2 tys. stron załączników z dowodami. Samo napisanie takiego aktu oskarżenia trwa kilka tygodni. Oczywiście może się zdarzyć, że jakieś niewygodne dla PiS śledztwa będą przedłużane przez usłużnych prokuratorów. Ale wtedy powinni zareagować przełożeni. Tak miało być w przypadku Remigiusza Signerskiego z Prokuratury Regionalnej w Gdańsku, któremu odebrano sprawę przekopu Mierzei Wiślanej. Signerski jednak odpiera zarzuty o celowe przedłużanie postępowania, twierdzi, że sprawa jest skomplikowana, zgromadzono kilka tysięcy dokumentów, które muszą zostać dokładnie przeanalizowane.

Warto pamiętać, że do prokuratur w całej Polsce wpłynęło w ostatnim roku kilkaset zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez ludzi związanych z PiS. Sprawy te dotyczą nadużyć nie tylko w instytucjach państwowych, ale także w spółkach skarbu państwa. Śledczy wracają również do starych spraw, prowadzonych za rządów PiS pod dyktando polityczne.

> W zamian za władzę i pieniądze prokuratorzy gotowi byli świadczyć przysługi władzy politycznej i budować nowy podległy jej ustrój.

Adam Bodnar nie ma takiej siły przebicia jak Roman Giertych, nie wypada tak przekonująco przed kamerami, nie potrafi dawać ciętych ripost, pewnie też nie zna niuansów pracy prokuratorskiej, ale dobrał sobie współpracowników, którzy znają prokuraturę od podszewki. I wiedzą, jak powinna sprawnie funkcjonować. Problem w tym, że prokuratura nigdy nie działała dobrze, a po latach dewastacji dokonywanej przez ekipę Ziobry nie tak łatwo będzie ją skierować na właściwe tory.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl c938a05b9e

Mała partia, mały wynik

Lewica w wyborach prezydenckich

Robert Walenciak

Sondaże dla kandydatów lewicy w wyborach prezydenckich nie są łaskawe. Magdalena Biejat osiąga w nich 2-4% poparcia, Adrian Zandberg 1-2%, Piotr Szumlewicz – podobnie jak Joanna Senyszyn – regularnie poniżej 1%. I wciąż nie wiadomo, czy w ogóle zdołają wystartować, czy zbiorą wymagane 100 tys. podpisów. Dla lewicy to prognozy fatalne, choć mało zaskakujące. O jej kryzysie piszemy w „Przeglądzie" od miesięcy. Problemem nie jest brak wyborców, bo poglądy lewicowe deklaruje 15-20% Polaków, a może być ich więcej. Problemem jest to, że ugrupowania, które przedstawiają się jako lewicowe, nie są przez tych Polaków poważane ani darzone zaufaniem. Więź między wyborcą a jego partią w tym przypadku nie istnieje.

Tak dzieje się od lat. I nic nie zapowiada, by ta tendencja się zmieniła. Lewicę chcą dziś reprezentować dwie partie: jedna to Nowa Lewica, druga – Razem. Nową Lewicą kieruje od 2016 r. Włodzimierz Czarzasty i praktycznie jest to jego prywatna partia. Statut gwarantuje mu nieusuwalność, poza tym może zawieszać każdego członka, w każdej chwili.

Nowa Lewica to w zasadzie przedsięwzięcie okołopolityczne. Mechanizm jest prosty – partia przyciąga wyborców, dzięki nim jakaś grupa zdobywa mandaty. Potem wymienia je na posady w rządzie i w spółkach skarbu państwa. Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek, rezerwując sobie biorące miejsca na liście, wymienili je na posady europarlamentarzystów.

W tym przedsięwzięciu ważne jest, by aparat partyjny nie był zbytnio rozbudowany. Bo duży aparat dużo chce – posad, uwagi, dyskusji, jakiejś ideowości. Może wybrać nowe władze… A małą grupę łatwiej kontrolować.

I to dzieje się na naszych oczach – z wyborów na wybory wpływy partii Czarzastego się kurczą. W roku 2019 lewica uzyskała 2,319 mln głosów, czyli 12,56%. A 15 października 2023 r. – już tylko 1,859 mln głosów, czyli 8,61%. W kwietniu 2024 r. w wyborach samorządowych, do sejmików wojewódzkich, uzyskała 911 tys. głosów. A w wyborach europejskich w czerwcu 2024 r. – 741 tys. głosów (6,30%). Dlaczego więc miałaby dostać lepszy wynik w wyborach prezydenckich?

•

Koncepcja „małej partii" ma konsekwencje. Towarzyszy jej akcja likwidowania komórek partyjnych, ograniczania ich. Wiemy o tym – do redakcji „Przeglądu" regularnie przychodzą listy, w których czytelnicy informują, że właśnie w ich powiecie czy mieście zlikwidowano koło partyjne. Dzieje się to także pod hasłami wymiany wyborców – ponieważ elektorat SLD wymiera, trzeba go zastąpić młodzieżą. W efekcie 7 kwietnia 2024 r. w grupie 60+ na lewicę głos oddało 5%. A wśród kobiet – które miały być nowym żelaznym elektoratem – ledwie 7,5% (w październiku 2023 r. było to 10,1%).

A młodzi? W cytowanym przez „Rzeczpospolitą" sondażu z listopada 2024 r. dla ogółu młodych ludzi w wieku 18-29 lat najpopularniejszą partią była Konfederacja. Natomiast Nowa Lewica stanowiła dopiero piąty wybór, za KO, Polską 2050 i PiS.

Podobny wynik lewica uzyskała w grupie robotników – też wyprzedziły ją wszystkie partie, łącznie z Konfederacją. Aż się prosi zapytać, jakie są wpływy lewicy w ruchu związkowym, w OPZZ.

•

Odwrót wyborców to również efekt tego, że „mała partia" w zdecydowanie większym stopniu niż partie tradycyjne choruje na różne dworskie przypadłości. Po pierwsze, zamyka się na różnorodność, na pojawiające się nowe środowiska. Po drugie, ogranicza się do grona najwierniejszych.

Spójrzmy na inne partie – są składankami różnych środowisk, większych lub mniejszych. Najlepiej widać to na przykładzie Konfederacji, która w ogóle składa się z różnych ugrupowań, z których żadne nie przekroczyłoby progu 5%, a razem odniosły sukces. Każdy do wspólnego worka wrzuca jakieś grupy wyborców. W Nowej Lewicy jest odwrotnie – każde nowe środowisko, siłą rzeczy niezależne od wodza, jest uważane za zagrożenie.

W partii zamykającej się we własnym gronie o awansie decyduje nie poparcie struktur, talent polemiczny czy wiedza, ale to, że jest się przybocznym przewodniczącego. Widzimy to w mediach – odwiedza je stały zestaw polityków lewicy, nudnych, wygłaszających miałkie opinie, zniechęcające nawet największych fanów. Inni do mediów nie są wysyłani.

Skutkiem ubocznym tej sytuacji są kolejne skandale. W ubiegłym roku wiceminister sprawiedliwości

Dla ogółu osób w wieku 18-29 lat najpopularniejszą partią jest Konfederacja. Nowa Lewica jest dopiero piątym wyborem, za KO, Polską 2050 i PiS.

eprasa.pl c938a05b9e

Konferencja prasowa wicemarszałkini Senatu, kandydatki lewicy w wyborach prezydenckich Magdaleny Biejat na warszawskiej Patelni. 5 stycznia 2025 r.

z ramienia lewicy, Bartłomiej Ciążyński, został przyłapany na tym, że wybrał się z rodziną na wakacje do Słowenii służbowym samochodem, do tego nie płacąc z własnej kieszeni za wlewaną do baku benzynę. Parę tygodni temu dowiedzieliśmy się zaś, że prokuratura w Kielcach zaczęła badać kilometrówki wiceministra spraw zagranicznych i polityka Nowej Lewicy Andrzeja Szejny. W tym samym czasie okazało się, że ministerka ds. równości Katarzyna Kotula podała na stronie Sejmu, że jest magistrem, choć nim nie była. Głupie było przy tym jej tłumaczenie, że się pomyliła. Sytuacja ta sprowokowała Henryka Martenkę z „Angory" do słów: „Polityczka udająca magisterkę. Kotula jest ikoną lewicowej miernoty, jaka współrządzi dziś Polską, wyszczekanej, bezwzględnej, ale pozbawionej honoru, klasy i powagi".

Tak samo niepochlebnie można skomentować wpis Anny Marii Żukowskiej, przewodniczącej klubu lewicy, o gen. Jaruzelskim – na platformie X napisała: „Był karierowiczem, który robił czystkę antysemicką w wojsku, dławił Praską Wiosnę i który wprowadził stan wojenny niezgodnie z konstytucją".

•

Jeszcze przed wyborami 2023 r. Marcin Duma z IBRiS tłumaczył na łamach „Przeglądu", że lewicy bardzo zależy na udziale w rządzie, bo chce pokazać wyborcom, że potrafi rządzić i jest sprawcza. Eksperyment trwa i przynosi rezultaty zupełnie odmienne od oczekiwanych.

Wspomniana Katarzyna Kotula pilotuje kwestie związane z prawami kobiet i projektem ustawy ds. równości. Nic nie załatwiła. Organizacje kobiece, które liczyły, że po 15 października uda się przegłosować ustawę liberalizującą przerywanie ciąży, a przynajmniej depenalizującą pomoc w aborcji, nic nie dostały. W Sejmie głosowanie zostało przegrane, temat ucichł, jest na takim samym etapie jak za PiS.

Lewica opowiadała przed wyborami, że ma pomysł na tanie mieszkania czynszowe. Tu też nic się nie wydarzyło, poza tym, że wiceminister, który miał program pilotować, odszedł z rządu. Dziś sprawy mieszkalnictwa to domena polityków z PSL i od Hołowni.

Lewica otrzymała w rządzie stanowisko ministra nauki i szkolnictwa wyższego. O dziwo objął je Dariusz Wieczorek, inżynier. Uznano, że się nadaje, bo jest człowiekiem Czarzastego. Szkody, które poczynił dyletant Wieczorek w kontaktach ze środowiskami naukowymi, z zasady życzliwymi wobec obecnej koalicji i samej lewicy, będą trudne do naprawienia. Zwłaszcza że nauka z historii z Wieczorkiem poszła w las. Gdy premier go zdymisjonował, na jego miejsce Włodzimierz Czarzasty wysunął kolejnego zaufanego – Marcina Kulaska, doktora nauk rolniczych. Specjalizującego się w produkcji mleka w proszku. Czyżby wśród licznej profesury nie dało się znaleźć człowieka, który miałby autorytet w środowisku i sprawnie poprowadził ministerstwo ku chwale lewicy? Otóż taką osobę można znaleźć bez problemu, ale kierownictwo Nowej Lewicy szukać jej nie chce. Bo ministerstwo jest traktowane nie jako zobowiązanie wobec narodu, lecz jako partyjny łup, z którego trzeba ciągnąć profity.

•

Z tego punktu widzenia decyzja partii Razem, żeby opuścić klub lewicy i przejść do opozycji, mogła się wydawać zrozumiała. Lewica w rządzie się kompromituje, więc my – poza rządem – znajdźmy dojście do wyborców. Taka była kalkulacja. Ale na niej się skończyło. Razem istnieje od maja 2015 r. i jak było małe i skrajne – takie pozostało. Jest tam 800 osób – taka była liczba tych, którzy wzięli udział w referendum dotyczącym wyjścia z klubu lewicy. To dziesięć razy mniej, niż liczyła KPP.

Teraz więc Adrian Zandberg chce wykorzystać wybory prezydenckie, by się odbić. By pokazać w zderzeniu z Magdaleną Biejat siłę Razem. I odebrać Nowej Lewicy, przynajmniej na chwilę, miano tej silniejszej, bardziej wpływowej partii. To strategia na pognębienie najbliższych.

Czy się uda? Czy Biejat z Zandbergiem będą sobie wyrywać resztki wyborców? Możliwe. Zgodnie z logiką dworu, ponieważ Biejat za bardzo urosła i jest za bardzo niezależna, trzeba jej podstawić nogę. Obsadzono ją zatem w roli kandydatki, ma się bić i ma efektownie przegrać. Żeby potem mówiono, że nie jest lepsza od Magdy Ogórek.

Dlatego nie spodziewajmy się eksplozji poparcia dla lewicowych kandydatów ani efektownej kampanii lewicy. Oni dziś grają w inną grę – kto komu lepiej podstawi nogę.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl c938a05b9e

Beata Dżon-Ozimek

Popowodziowe powroty do życia

Głuchołazy to od ubiegłorocznej powodzi chyba najbardziej znane polskie miasteczko. Miesiąc po miesiącu odżywają

Dawny zdrój, gdzie z sukcesami leczono gruźlicę – Bad Ziegenhals, Kozia Szyja, Capri Collum. Kozia głowa na długiej szyi, herb miasta, jest symbolem Głuchołazów, upamiętnionym też na sympatycznym muralu przy ryneczku.

Mija piąty miesiąc od powodzi. – Cieszymy się, że funkcjonują wszystkie szkoły, prowadzone zarówno przez gminę, jak i przez stowarzyszenia, np. ta w Jarnołtówku, gdzie była zalana kotłownia, piec był niesprawny, ale wszystko zostało załatwione. Przedszkola pracują. Żłobek niebawem przyjmie wszystkie dzieci – wylicza burmistrz Głuchołazów Paweł Szymkowicz.

Remontowane są dom dziennego pobytu przy całkowicie zalanej alei Jana Pawła II oraz znajdujący się po jej drugiej stronie żłobek. – Niezalane piętro w dwupoziomowym budynku po wykonaniu pewnych prac sanepid dopuścił do użytku dla pięćdziesięciorga dzieci. Ten obiekt w czerwcu oddaliśmy po gruntownym remoncie. Był najnowocześniejszy w powiecie, na 125 miejsc, całkowicie zaspokajał potrzeby maluchów z gminy, mógł przyjąć dziecko niemal z dnia na dzień. Niestety, ta sytuacja trwała tylko do połowy września, kiedy stało się to, co się stało. Remont za kwotę 1 mln zł sfinansuje Fundacja TVP – przy takiej pomocy to idzie bardzo szybko, prace trwają – mówi urzędnik.

Wielkim postępem jest udrożnienie długiej, pełnej domów i zakładów ulicy Andersa, biegnącej wzdłuż Białki (czyli Białej Głuchołaskiej) i łączącej część zdrojową z centrum. Ulica była kompletnie zniszczona powodzią tak jak domy, wille, działki do niej przylegające. Jest już w całości przejezdna.

Udało się zapewnić zaopatrzenie miasta w wodę, ukończono odbudowę kolektora ściekowego z Głuchołazów do Nysy, który był uszkodzony na odcinku kilometra. – Koszt ponad 6 mln zł pokryło państwo. Udało się też zrobić przerzut wody, taki docelowy, z basenów tzw. wody surowej do stacji uzdatniania wody, z prawego brzegu Białki na lewy. Nauczeni doświadczeniem z 15 września, kiedy zerwało most kratowy i podczepioną pod nim magistralę wodną, zrobiliśmy przewiert i w nim umieściliśmy rurociąg wody surowej do stacji uzdatniania. Nic już raczej nie powinno mu szkodzić – podkreśla Szymkowicz.

Mieszkania, mieszkania

W Głuchołazach jest 140 zalanych mieszkań komunalnych. Lokatorzy 100 zdecydowali się je remontować ze swoich środków, odszkodowań, a przede wszystkim z pieniędzy, które rząd przeznaczył na zasiłki (do 200 tys. i 100 tys. na pomieszczenia gospodarcze). – Pozostaje 40 mieszkań osób, które nie poradziłyby sobie z różnych powodów z takim zadaniem. Te będą remontowane na koszt gminy. Wtedy oczywiście ich lokatorom nie będzie przysługiwał zasiłek. Wciąż w hotelach i schronisku przebywa 27 osób, dwie rodziny i samotna pani w Pokrzywnej, reszta osób – w ośrodku Banderoza w Głuchołazach. Część rodzin mieszka u bliskich, znajomych. Będą przystępować do remontów mieszkań wiosną. Jako gmina dodatkowo przebudujemy i przystosujemy dotychczasowe pustostany i lokale niezamieszkane. W sumie jest ich 97 i docelowo, jako mieszkania komunalne, gminne, będzie można je dzierżawić. Niewykluczone, że część lokali wystawimy na sprzedaż – zapowiada burmistrz.

Krajobraz popowodziowy to wciąż dużo problemów pojedynczych ludzi.

eprasa.pl c938a05b9e

Tymczasowy most wojskowy w Głuchołazach – główna przeprawa w mieście.

mieszkaniu. Takich spraw jest dużo – opowiada gospodarz miasta.

Piąty miesiąc po powodzi, a wciąż napływają wnioski o zasiłki, można je składać w przedłużonym terminie do 15 marca. Jest ich bardzo dużo. Składanie ich tak późno, jak praktyka pokazuje, to również efekt tego, że „sąsiad dostał, więc ja też muszę". Procedury wymagają opracowania każdego wniosku, powołania komisji szacunkowej, która na miejscu oceni straty, sporządzi dokumentację, wyda decyzję. – Wydawanie tylu decyzji trwa, a faktycznie poszkodowani czekają. Na szczęście rząd w pewnym momencie wprowadził zaliczki do 50 tys. i ludzie mogli zacząć coś robić – zaznacza burmistrz.

Burmistrz Głuchołazów Paweł Szymkowicz mówi, że powódź postawiła przed urzędnikami nowe wyzwania, wymogła wyjście poza schematy. Wrzesień 2024 r.

Na przykład małżeństwo mieszkające na parterze w jednym z budynków komunalnych przy zalanej w całości ulicy zostało poszkodowane po raz drugi, pierwszy raz w 1997 r. Byli przekonani, że mają bardzo dobre ubezpieczenie, a okazuje się, że nie obejmuje ono powodzi. – Oni już nie chcą tam mieszkać, chcą się przeprowadzić do mieszkania poza terenem zalewowym, mają niewystarczające, skromne oszczędności, a nie wiadomo co z odszkodowaniem. Ale jeśli chcą korzystać z zasiłku dla powodzian, muszą zostać w starym

Mieszkańcy gminy narzekają na problemy z pieniędzmi na remonty.

– W tym naborze dla powodzian myśmy się „nie załapali". Wniosek był złożony w terminie, ale nie rozpatrzono go z powodu wyczerpania środków. Okazało się, że decyduje kolejność zgłoszeń gmin, a te, które nie były tak bardzo zalane, ale były gminami na terenie powodziowym i ich to oczywiście także dotyczyło, złożyły bardzo wysokie wnioski. Na przykład Głogów na 130 mln zł – i je dostał. My składaliśmy na 56 mln, ale nie dostaliśmy grosza, z powodu braku środków. Uspokajam wszystkich, mamy zapewnienie, że te środki dla nas się znajdą. Już przystępujemy do remontów mieszkań komunalnych – dodaje Szymkowicz.

Mosty, mosty

Jest w Głuchołazach, w części zdrojowej, most św. Wojciecha, zniszczony przez Białą Głuchołaską. To jedyna droga do tej części miasta dla samochodów jadących w kierunku granicy. Inny most, kratowy, też został zabrany przez wodę.

– Mieliśmy w pierwszych dniach powodzi problem, żeby dojechać z pomocą. Dostarczaliśmy ją pieszo, przez las, z wodą i jedzeniem w plecakach. Potem udało się zasypać dziury na promenadzie wzdłuż rzeki i z zaopatrzeniem mogły jeździć quady. Wojsko w miejscu mostu kratowego zrobiło most tymczasowy

Krajobraz popowodziowy to wciąż dużo problemów pojedynczych ludzi.

i tamtędy dało się wywozić śmieci. W jedną stronę pomoc, w drugą stronę wywóz śmieci – nigdzie tak się nie bałem o wybuch epidemii jak tam. Po powodzi było bardzo ciepło, a ośrodki na miejscu, głównie Czerwony Kozioł i Skowronek, miały turystów. Nie było prądu, przygotowane jedzenie trzeba było usuwać z lodówek, to wszystko leżało, a słońce prażyło. Oczyściliśmy to przy pomocy wojska i wolontariuszy, nic się nie stało, ale w razie pożaru wciąż nie da się tam szybko dojechać ciężkim sprzętem. Dlatego tak nam zależy, żeby jak najszybciej był zrobiony most św. Wojciecha, żeby ciężkie pojazdy mogły tam dotrzeć. Za chwilę ośrodki będą chciały wznowić działalność, ważne, by autobusy z turystami też tam mogły dojechać. Niektóre miejsca turystyczne żyły z konferencji, powoli to odżywa – mówi z nadzieją urzędnik.

Zaczyna się budowa nowego mostu św. Wojciecha, ze względu na uszkodzenia dopuszczono go do

eprasa.pl c938a05b9e

Zapora i wał w Jarnołtówku.

Głuchołazy, granica państwa – widok na Góry Opawskie, zlewnie dopływów Białej Głuchołaskiej.

użytku dla pojazdów do 3,5 tony. Wojskowy most tymczasowy pojawi się wiosną, potem nowy, docelowy.

Ta powódź postawiła nowe wyzwania. Nie wystarczają rutynowe urzędnicze schematy, trzeba nowego planowania, przeprojektowania ulic, np. Andersa. Zostanie przebudowana, a nie tylko odtworzona tam, gdzie były największe zniszczenia. – Takich dróg jest w gminie 40, każda ulica musi mieć osobny projekt, we wsiach są np. drogi transportu rolnego, które zostały zniszczone, tego naraz nie da się zrobić – przyznaje burmistrz.

Główny problem, z którym codziennie zmagają się nie tylko mieszkańcy Głuchołazów, ale i przejeżdżający przez miasto, to nieszczęsny remont drogi krajowej prowadzącej na drugą stronę rzeki.

– Już wiemy, że nowy most na rzece będzie projektowany tak, jak chcą mieszkańcy, czyli będzie to most łukowy, bez filaru w rzece, na czym bardzo nam zależy. To pokazuje, że jesteśmy słuchani i nasze zdanie jest uwzględniane. Potrzebny jest też inny ważny most – na drodze powiatowej w Polskim Świętowie, żeby umożliwić połączenie z drogi wojewódzkiej do Nysy. Ma tu stanąć most tymczasowy, jego budową ma się zająć armia turecka w ramach wymiany NATO. My tam jeździmy pomagać po trzęsieniu ziemi, oni do nas po powodzi – uśmiecha się Paweł Szymkowicz. – Przerobiliśmy już współpracę międzynarodową z żołnierzami niemieckimi; z początku były nieprzychylne komentarze, ale po pierwszym tygodniu ich pracy to się diametralnie zmieniło – dodaje.

Z fundacjami raźniej

– Fundacja Radia ZET bardzo nam pomaga. Oprócz remontu mieszkania jednej z powodzianek zrobiła coś, wydawałoby się, niewielkiego, ale bardzo ważnego – ufundowała piękną choinkę na rynku miasta, ku wielkiej radości szczególnie dzieci. Podarowała nam też bony wartości ok. 2 mln zł. Z kolei dzięki Fundacji TVP od Wigilii działa lodowisko, poprzednie zostało zniszczone przez powódź. Dostaliśmy na ten cel 1 mln zł – na taflę lodową oraz bandy. Warunkiem był dostęp dla mieszkańców za darmo, gmina wzięła na siebie koszty utrzymania. Frekwencja jest niesamowita, były takie dni, to rodzice mi opowiadają, że dzieci wręcz trzeba było zatrzymywać w domach. „Mamo, ale ja się spóźnię i będę godzinę musiał czekać”, mówiły dzieci, bo ze względu na bezpieczeństwo na tafli może być maksymalnie 60 osób. To był strzał w dziesiątkę! W tym sezonie nie zdążyliśmy, ale w ramach tej samej pomocy fundacyjnej będzie zrobione zadaszenie i zostanie zakupiona tzw. rolba, profesjonalna maszyna, która co jakiś czas czyści taflę, żeby bezpiecznie można było jeździć. Dach będzie szczególnie przydatny w dni, kiedy słońce będzie przygrzewać, nie będzie topiło lodu, chociaż dowiedziałem się od obsługi lodowiska, że nie tyle słońce jest szkodliwe, ile ciepły wiatr. Dach pozwoli też jeździć przy brzydkiej pogodzie. Fundacja TVP pomaga remontować i wyposażyć na nowo wspominany żłobek, a Fundacja Królewskiego Orderu Świętego Stanisława sprowadziła do gminy 15 domów modułowych, to ok. 60 kontenerów, które można łączyć. Jak jest duża rodzina, łączy się nawet cztery takie moduły i można mieszkać – wylicza burmistrz.

Polsko-czeskie rozmowy o wodzie

– Trwają rozmowy ze stroną czeską o ewentualnym poszerzeniu zbiornika. Jak to jednak wpłynie na tamę, która była projektowana pod określoną kubaturę wody? – zastanawia się Szymkowicz. – Gdy patrzyć z korony wału, dno tego suchego zbiornika jest oczyszczone z przyniesionych przez wodę pozostałości. Kiedy jednak idzie się dalej wzdłuż Złotego Potoku w stronę granicy, widać, że wciąż zalegają tam kłody, rumosz skalny. To bardzo niebezpieczne – gdyby ponownie pojawiła się woda, mogłoby dojść do uszkodzenia tamy i skończyć się bardzo groźnie. Najważniejsze w tej chwili

eprasa.pl c938a05b9e

jest wysprzątanie dna suchego zbiornika, żeby w razie wysokiej wody nie było zagrożenia po polskiej stronie. Całe rozlewisko dochodzi niemalże do samej granicy.

Komisja polsko-czeska jeszcze nie zdążyła się zebrać (sezon chorobowy). W odróżnieniu od Dolnego Śląska, ziemi kłodzkiej, gdzie cała zlewnia rzeki Nysy Kłodzkiej jest w granicach Polski, Biała Głuchołaska ma ponad 60% zlewni na terenie Czech. – Trzeba rozmawiać z Czechami o zabezpieczeniu przeciwpowodziowym. Logiczne, że im bardziej Czesi będą zabezpieczeni, tym my będziemy bezpieczniejsi. Jest niestety wyjątek: jedna z metod przeciwdziałania powodzi polega na tym, żeby wody jak najszybciej się pozbyć. Wtedy koryta rzek są prostowane, betonowane, robi się wały, żeby ta woda jak najszybciej spływała. Dla nas to niebezpieczne, bo w ten sposób szybciej i więcej wody będziemy mieli u siebie. Do tego nie możemy dopuścić. Musimy rozmawiać o budowie zbiorników suchych, mniejszych zbiorników wodnych, bo układ urbanistyczny wsi, miejscowości w dolinie Białej Głuchołaskiej jest taki, że na duży zbiornik nie można liczyć. Moim zdaniem trzeba się skoncentrować na mniejszych zbiornikach na polderach, czyli terenach przeznaczonych pod zalewanie, na dopływach, żeby główne koryto Białej przyjmowało z nich jak najmniej wody. Zlewnia Białej jest bardzo duża, niemalże od szczytów Śnieżnika do Pradziada. Poprosiłem ministra Kierwińskiego, bym mógł wziąć udział w obradach tej komisji, znam teren. Te rozmowy nie mogą się odbyć bez nas – mówi zdecydowanie burmistrz Głuchołazów. Komisja ma się zajmować dwiema rzekami, Białą Głuchołaską i Olzą w województwie śląskim.

Cały czas pojawiają się niespodzianki, ziemia pracuje. Budynki osiadają, w kościele zrobiło się zapadlisko, odkryła jakaś krypta.

Popowodziowe odkrycia

Cały czas pojawiają się niespodzianki, ziemia pracuje. – Teraz mamy zimę, która jest porą najtrudniejszą, bo raz jest ciepło, w następnym tygodniu ściska mróz, potem znowu ciepło i to wszystko pracuje. Budynki osiadają, pojawiło się zapadlisko w kościele, odkryła jakaś krypta. Czy te szkody pójdą dalej? Czy to jednorazowe zapadlisko, które mnie jako historyka może cieszyć, bo czegoś nowego się dowiemy, ale z drugiej strony martwi, bo to cenny kościół. Problemy pojawiają się też w kościele tzw. młodzieżowym, podobnie jest w Nowym Świętowie. To skutki powodzi – w urzędniku włącza się badacz i miłośnik tych terenów.

W Głuchołazach, Jarnołtówku i Pokrzywnej, perle gminy w Górach Opawskich, jest bezpiecznie. Turyści nie mają czego się tu obawiać. – Szlaki turystyczne są drożne, jedyny zamknięty to ścieżka dydaktyczna w Dolinie Bystrego Potoku z Cichą Doliną, moim zdaniem najładniejszy. Tam szkody były tak duże, że chyba do końca wakacji będzie zamknięty, ale pozostałe są otwarte. Schronisko na Kopie Biskupiej działa, wieża widokowa po stronie czeskiej na szczycie jest otwarta – wymienia burmistrz-przewodnik turystyczny.

Jarnołtówek to przygraniczna wioska w Górach Opawskich, z kamienną zaporą i wałem kamienno-ziemnym na Złotym Potoku. Dzięki doświadczeniu i wyczuciu operatora i służb tama uratowała okoliczne wsie. Podczas dni wolnych, ferii zimowych, bardzo dużo ludzi wchodzi na wał i zaporę – taka bezmyślność grozi naruszaniem i niszczeniem struktury wału, stwarza niebezpieczeństwo. – Administrator, RZGW Gliwice, jest informowany. Najważniejsze, żeby wał nie uległ uszkodzeniu, żeby kiedyś nie runął, jak to miało miejsce w Stroniu Śląskim – zaznacza burmistrz Głuchołazów, apelując: – Proszę unikać „turystyki powodziowej". Utrudnia pracę służbom, a mieszkańcy naprawdę przeżyli tak dużo, że ich nerwy są mocno napięte. Turyści „powodziowi" nie liczą się z czyjąś własnością, wchodzą na teren prywatny, bo np. nie ma płotu i „co mi ktoś zrobi". A dlaczego nie ma płotu? Bo woda zabrała, zniszczyła. Pamiętajmy, że to wciąż trudny czas dla naszych mieszkańców.

Czy nadal Szymkowiczowi śni się powódź? – Zdarza się, ale już nie tak, jak było, że ledwo się człowiek zdrzemnął, to tę wodę widział i słyszał.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

FOT. AFP/EAST NEWS, BEATA DŻON (3)

eprasa.pl c938a05b9e

Oszustwa na mObywatela

Z podrobioną wersją e-dowodu można nie tylko kupić piwo, ale również zagłosować

Kornel Wawrzyniak

Podrabianie e-dokumentów było tylko kwestią czasu. Od lat znane były oszustwa z użyciem analogowych podróbek dowodów, sprzedawanych jako kolekcjonerskie. Dziś obserwowany jest podobny proceder, tyle że z użyciem telefonów. Rynek podróbek oficjalnej aplikacji mObywatel kwitnie. Sprawę szerzej opisało Stowarzyszenie Demagog, które od ponad dekady zajmuje się weryfikowaniem informacji.

Dzięki ustawie z maja 2023 r. Polacy zyskali możliwość potwierdzania tożsamości za pomocą aplikacji, np. w okienku na poczcie. Podobnie jak klasyczna analogowa wersja dokumentu tożsamości cyfrowy dowód zawiera wiele zabezpieczeń, pozwalających sprawdzić jego autentyczność. Niestety, oszuści szybko się zorientowali, że niewiele osób wie, jak to zrobić prawidłowo.

Handel podróbką aplikacji trwa zatem w najlepsze. „To wyłącznie dowód kolekcjonerski, stworzony w celach rozrywkowych i edukacyjnych", zapewnia jeden z kanałów internetowych, gdzie można kupić podróbkę, która oczywiście „nie jest związana ani powiązana z oficjalną aplikacją mObywatel, ani z żadnymi instytucjami państwowymi". Jedna z grup, na których można znaleźć tego typu oferty, ma ok. 6,5 tys. członków, a podobnych kanałów jest w sieci przynajmniej kilkanaście. Na większości znajdziemy filmiki promujące produkt i zachwalające jego jakość. Dowiadujemy się, że mDowód ma powiewającą flagę zupełnie jak oryginał oraz zielony napis „dokument ważny". Co lepsze wersje mają nawet zegarek wyświetlający aktualną godzinę, tak jak to robi rządowa aplikacja.

Z dostępnością podróbek nie ma problemu. Wystarczy wpisać odpowiednią frazę w wyszukiwarce Google. Kod źródłowy całej aplikacji można kupić już za 200 zł. Chociaż najprostsze wersje mDowodu chodzą w sieci nawet za 20 zł. Dlatego sprzedawcy prześcigają się w dodatkowych usługach. Niektórzy proponują nawet „wsparcie techniczne", a inni współpracę za promocję. Wystarczy zachwalać ich produkt w dowolnym medium społecznościowym i mieć odpowiednią liczbę wyświetleń. Oszuści są też sprytni. Na każdym kroku podkreślają, że nie wolno używać ich aplikacji jako oryginału.

Handel podróbką aplikacji trwa w najlepsze.

Nikomu jednak nie przeszkadza, że jego produkt jest zachwalany właśnie jako idealna podróbka, dzięki której kupiło się piwo czy napój energetyczny, nie mając 18 lat. – Oferty, z którymi się spotkałem, były skierowane do osób poniżej 18. roku życia, szukających sposobów, żeby kupić alkohol, tytoń i wszystko to, co jest niedostępne dla małoletnich. Widziałem relacje osób, które pokazywały fałszywy mDowód, kiedy spisywała je policja – mówi mediom Marcin Kostecki ze Stowarzyszenia Demagog, który badał sprawę. Podkreśla również, że poza przypadkiem, kiedy wyjeżdżamy poza granice naszego państwa, z mObywatelem możemy załatwić dziś wszystko.

Problem z fałszywkami generuje samo Ministerstwo Cyfryzacji. Według jego wytycznych pierwszym, na co należy zwrócić uwagę przy sprawdzaniu mDowodu, jest falująca flaga. Według specjalistów stworzenie takiego efektu w podróbce aplikacji to żaden problem. Paradoksem jest zaś to, że mObywatel ma bardzo dobry sposób weryfikacji autentyczności – zakładkę z kodem QR, który jest właściwie niepodrabialny.

– Nie spotkałem się jeszcze z podrobioną wersją aplikacji, która oferowałaby taką możliwość. Tego nie udało się jeszcze skopiować fałszerzom i nie wyobrażam sobie, jak technicznie miałoby to zostać przeprowadzone bez włamywania się do systemów rządowych – podkreśla Kostecki i dodaje: – Polegając na tej metodzie, mObywatel mógłby być nawet bezpieczniejszy niż tradycyjne dowody. Tymczasem ministerstwo nieświadomie wypromowało sprawdzanie autentyczności aplikacji na oko.

Po interwencji Demagoga ministerstwo zapowiedziało kampanie informacyjne, jak prawidłowo sprawdzać elektroniczne dokumenty. Pozostaje mieć nadzieję, że ludzie ministra Gawkowskiego będą kłaść nacisk na sprawdzanie kodów QR, co, jak sam minister cyfryzacji powiedział w Polskim Radiu, jest najbardziej profesjonalnym sposobem weryfikacji.

Najważniejsze jednak, aby do czasu wyborów wypracować regulacje, które pomogą w zwalczaniu ewentualnych fałszerstw wyborczych dokonywanych za pomocą podrobionych aplikacji. Obecnie w lokalach wyborczych można oddawać głos, pokazując dowód z mObywatela. Zamiast akcji PR-owych wystarczy jedno rozporządzenie, w którym określi się, że głos za pomocą mObywatela oddaje się tylko po weryfikacji aplikacji kodem QR. Na razie komisja wyborcza nie ma nawet obowiązku posiadania urządzenia, np. telefonu, którym można byłoby sprawdzić rzeczony kod QR. Z oszukaniem systemu poradzi sobie średnio rozgarnięty urwis. Brzmi zabawnie, póki nie dojdzie do skandalu, który może podważyć zaufanie do procesu wyborczego.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c938a05b9e

PRUS DLA JOANNY SOLSKIEJ

Joanna Solska z „Polityki" została laureatką Nagrody im. Bolesława Prusa. Nagroda za całokształt dokonań dziennikarskich przyznawana jest przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej.

Laureatami, wręczanej od roku 1969 nagrody, byli m.in. Ryszard Kapuściński, Janusz Rolicki, Zygmunt Kałużyński, Hanna Krall, Helena Ciemińska-Kowalik. A po 2015 r. – Jacek Żakowski, Grzegorz Sroczyński, Tomasz Sekielski, Robert Walenciak.

Laureatem Zielonego Prusa przyznawanego młodym dziennikarzom (w przeszłości trafił m.in. do Rafała Wosia, Janusza Schwertnera i Mateusza Lachowskiego) został nasz redakcyjny kolega Kornel Wawrzyniak.

Kapituła przyznała również Niebeskiego Prusa dla wydawcy – otrzymał go Jurek Jurecki, wydawca „Tygodnika Podhalańskiego".

Po raz pierwszy przyznano Nagrodę Specjalną, ponad podziałami – dostał ją legendarny reporter Romuald Karaś.

„Joasia potrafi ciąć rzeczywistość słowami jak brzytwą. Z precyzją, bez zbędnych ruchów – mówił o Joannie Solskiej Jacek Żakowski. – »Państwo to Jan« – mało jest tekstów, które odegrały w życiu państw tak istotną rolę. Warto przypomnieć sobie okoliczności jego powstania i publikacji, 26 kwietnia 2003 r. To jest tekst, który zatrzymał proces oligarchizacji Polski. W Polsce proces oligarchizacji, naturalny element transformacji od gospodarki planowanej do gospodarki rynkowej, został gwałtownie zatrzymany w 2003 r. przez zatrzymanie potęgi Jana Kulczyka, która narastała i obrastała tymi mniejszymi oligarchami".

Przyjmując nagrodę, Joanna Solska mówiła: „Wolność słowa – potrafimy o nią walczyć, potrafimy wychodzić na ulice. Ale ja boję się czegoś innego. Boję się zamachu na wolność myśli, gdyż tutaj dziennikarze okazują się bezbronni. Ponieważ o tym, o czym mamy myśleć, decydują wielkie big techy i póki co jesteśmy bezbronni. I na pytanie, czy wolne media, czy dziennikarze, czy jesteśmy jeszcze potrzebni – nie media odpowiedzą. Muszą odpowiedzieć sobie społeczeństwa, a one, mam wrażenie, nie do końca są świadome tego wyzwania".

Wśród gości na uroczystej gali byli: podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego Sławomir Rogowski, Artur Gasiński (Izba Wydawców Prasy), Janusz Fogler (ZAiKS), profesorowie Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW Janusz Adamowski, Robert Cieślak i Tadeusz Kononiuk, Zbigniew Bajka – honorowy przewodniczący SDRP, oraz Krystyna Mokrosińska – honorowa przewodnicząca SDP.

Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej reprezentowali Jerzy Domański – przewodniczący, i Andrzej Maślankiewicz – sekretarz generalny.

(rw)

Laureatka nagrody Joanna Solska oraz Janusz Adamowski i Sławomir Rogowski.

Nagrodzony Zielonym Prusem Kornel Wawrzyniak, Tomasz Miłkowski i Janusz Adamowski.

Wydawca „Tygodnika Podhalańskiego" Jurek Jurecki i Zbigniew Bajka.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl c938a05b9e

AfD przerwała kordon sanitarny

Po wyborach do Bundestagu Niemcy pójdą na prawo. Oby nie zaszły za daleko

Krzysztof Pilawski, Holger Politt

Gdy wychodzi się z Dworca Głównego w Düsseldorfie na rozległy plac Konrada Adenauera, przy którym znalazło się też miejsce dla kebabowni Lukasa Podolskiego, uwagę zwraca barwny tłum. Mieszają się w nim osoby o różnym kolorze i odcieniu skóry, przedstawiciele wielu kultur i religii, niedawni przybysze z mniej lub bardziej odległych zakątków świata, a także potomkowie migrantów mówiący po niemiecku z miejscowym akcentem. Są w tym tłumie posiadacze niemieckiego obywatelstwa, azylanci, nielegalni migranci, poszukiwacze ziemi obiecanej lub tylko miejsca, na które nie spadają bomby.

Tło migracyjne

Wszyscy oni oraz Niemcy przesiedleni w wyniku II wojny światowej podpadają pod kategorię osób z tłem migracyjnym (*Migrationshintergrund*) albo ludności z historią migracyjną (*Bevölkerung mit Einwanderungsgeschichte*). W zachodnich Niemczech obejmuje ona co trzeciego mieszkańca, a w całym niemal 85-milionowym kraju jest ich 25 mln, przeszło 17 mln to osoby urodzone w Niemczech.

Co czwarty düsseldorfczyk ma paszport innego państwa. Zgodnie z danymi Federalnego Urzędu Statystycznego w ostatnim dniu 2024 r. w Niemczech legitymowało się nim 14 mln mieszkańców. Spośród obywateli Unii Europejskiej najwięcej było Rumunów (909 tys.) i Polaków (865 tys.), a z państw pozostających poza UE Turków (ponad 1,5 mln), Ukraińców (1,3 mln), Syryjczyków (875 tys.), Afgańczyków (440 tys.) i Rosjan (300 tys.). W ciągu siedmiu ostatnich lat liczba mieszkających w Niemczech obywateli innych państw wzrosła niemal o 3,5 mln. Wszystkich, zarówno tych z Unii, jak i spoza niej, łączy brak możliwości wpływania na politykę na szczeblu federalnym poprzez udział w wyborach do Bundestagu.

Nie dali rady

Wir schaffen das! (Damy radę!) – zapewniała w czasie wielkiej wędrówki uchodźców przez Europę Angela Merkel. Zdecydowana większość Niemców uważa, że ogłoszona przez kanclerkę polityka powitalna (*Willkommenspolitik*) poniosła fiasko, a państwo nie poradziło sobie z napływem migrantów spoza UE. Ich obecność nie rozwiązała problemu braku pracowników w wielu branżach, procesy integracyjne nie przebiegają tak łatwo, jak sobie wyobrażano. W powszechnym przekonaniu migranci przyczynili się do pogorszenia stanu bezpieczeństwa w kraju i zaostrzenia problemów społecznych – choćby braku mieszkań. Te nastroje potęgowane są wzrostem liczby zagrożonych ubóstwem niemieckich emerytów i dzieci oraz niekorzystną sytuacją gospodarczą kraju. Najlepszy czas fabryk Volkswagena w Chinach minął, za to tamtejsze marki motoryzacyjne szturmują niemiecki rynek. Chińska ekspansja i odcięcie od rosyjskich surowców obniżyły konkurencyjność przemysłu, niemiecki PKB skurczył się w ostatnich dwóch latach.

Turbulencje objęły również politykę. Wybory do Bundestagu powinny się odbyć dopiero 28 września, ale kryzys rządowy przyśpieszył je o pół roku. Koalicję tzw. sygnalizacji świetlnej (*Ampelkoalition*) rozsadził jej najmniejszy uczestnik – Wolna Partia Demokratyczna (FDP). Minister finansów z ugrupowania symbolizowanego przez kolor żółty, Christian Lindner, tak zaciekle bronił dyscypliny budżetowej, przywołując konstytucyjną zasadę hamulca długów (*Schuldenbremse*), że w listopadzie zdymisjonował go kanclerz z partii „czerwonych" Olaf Scholz. Oznaczało to nieuchronny upadek gabinetu, bo Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (SPD) i Zieloni nie mają większości w Bundestagu. Wobec tego wyznaczono przedterminowe wybory na 23 lutego.

> Na koniec 2024 r. paszportem innego państwa legitymowało się 14 mln mieszkańców Niemiec.

Trump tumani i przestrasza

Kryzys polityczny i kampania wyborcza do Bundestagu zbiegły się w czasie ze zmianą gospodarza Białego Domu. Zachodnioniemieckie elity – wschodnioniemieckie po zjednoczeniu zostały wykarczowane – przyzwyczajone, że USA są niezawodnym parasolem bezpieczeństwa, stabilności i spokoju nad Renem, okazały się zupełnie nieprzygotowane na prezydenturę Donalda Trumpa i forsowaną przez niego politykę transakcyjną, czyli np. wy zwiększacie wydatki na zbrojenia, ja obiecuję wam większe wsparcie w razie zagrożenia. Nakłady RFN na obronę dopiero w 2024 r. osiągnęły poziom

eprasa.pl c938a05b9e

2% PKB. Utrudnianie dostępu do amerykańskiego rynku poprzez wprowadzanie zaporowych ceł także może dotknąć Niemcy, jeśli nawet bezpośrednio ich nie dotyczy, np. Volkswagen ma fabrykę w Meksyku sprzedającą w USA model Audi Q5.

Trudne do zrozumienia przez niemieckie elity są roszczenia terytorialne do Grenlandii należącej do Królestwa Danii – członka NATO od początku istnienia paktu – czy zapowiedź „przyłączenia" do USA jako kolejnego stanu natowskiej od 1949 r. Kanady. Retoryka amerykańskiego przywódcy kojarząca się z Władimirem Putinem przeczy podkreślanej przez dziesięciolecia euroatlantyckiej wspólnocie wartości. Na to wszystko nakładają się „występy" wspierającego faszyzującą Alternatywę dla Niemiec (AfD) bliskiego współpracownika Trumpa, Elona Muska, właściciela wielkiej fabryki samochodów Tesla, zbudowanej w brandenburskim sosnowym lesie – wyciętym wbrew ścierającym się z policją aktywistom – wśród objętych ochroną zbiorników wodnych. Zakład uruchomiono za rządów koalicji sygnalizacji świetlnej. Poparcie dla AfD i innych sił eurosceptycznych rodzi niepokój, czy administracja Trumpa nie dąży do rozsadzenia UE od środka.

Nowy prezydent USA mimowolnie wpłynął w zasadniczy sposób na przebieg kampanii wyborczej w Niemczech. Przejmując inicjatywę w sprawie wojny w Ukrainie, deklarując podjęcie bezpośrednich rozmów z Władimirem Putinem i znalezienie szybkiego sposobu jej zakończenia, sprawił, że ciężar odpowiedzialności za sytuację na wschodzie Europy spadł na Waszyngton. Dlatego kwestia wojny niespodziewanie straciła na znaczeniu w wyścigu do Bundestagu.

Populistki prawicowa i lewicowa grające polityką migracyjną. Kto w górę, kto w dół? Partia Alice Weidel może być w wyborach druga, dla Sahry Wagenknecht sondaże są złe.

Niemiecka kultura ponad wszystko

Najważniejszym tematem kończącej się kampanii wyborczej stała się polityka migracyjna, zaostrzona już za socjaldemokratycznego kanclerza Scholza. Niemcy wprowadziły tzw. tymczasową kontrolę granic, uzasadniając to koniecznością powstrzymania dalszego napływu migrantów. To rozwiązanie wywołało napięcie w relacjach z Polską, premier Donald Tusk zarzucił Berlinowi faktyczne „zawieszenie strefy Schengen na dużą skalę". Ale działania Scholza są zdecydowanie zbyt mało radykalne dla siostrzanej partii Platformy Obywatelskiej – Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU). Jej kandydat na kanclerza, 69-letni Friedrich Merz, jest przedstawicielem starej zachodnioniemieckiej elity, politykę łączy z biznesem, w 2018 r. twierdził, że zarabia 1 mln euro rocznie, pilotuje własny samolot.

Pochodzący z konserwatywnej rodziny Merz jest przywiązany do pojęcia kultury wiodącej (*Leitkultur*). Po raz pierwszy użył go w 2000 r., gdy był przewodniczącym frakcji CDU w Bundestagu. Przekonywał wówczas: „Zasadniczo chodzi o to, aby obcokrajowcy mieszkający w Niemczech byli przygotowani na przyłączenie się do wiodącej kultury niemieckiej".

20 grudnia, już w czasie kampanii wyborczej, w Magdeburgu, stolicy Saksonii-Anhalt, saudyjski imigrant wjechał samochodem na wypełniony ludźmi jarmark bożonarodzeniowy. W następstwie ataku terrorystycznego zginęło sześć osób, 200 zostało rannych. To wydarzenie przysłoniło inne tematy debaty przedwyborczej, reflektory skierowano na politykę migracyjną.

22 stycznia w bawarskim Aschaffenburgu imigrant z Afganistanu zaatakował nożem kuchennym grupę przedszkolaków, zabijając dwuletnią dziewczynkę i mężczyznę, który próbował przyjść dzieciom z pomocą. Tydzień później, na fali oburzenia po tej zbrodni, Friedrich Merz przedstawił w Bundestagu wniosek CDU/CSU zawierający pięciopunktowy plan zaostrzenia polityki migracyjnej i azylowej. Przewidywał on m.in. wprowadzenie stałych kontroli na wszystkich granicach, zwiększenie uprawnień struktur siłowych, odrzucanie wniosków o azyl osób usiłujących przedostać się do Niemiec i zawracanie ich do kraju, z którego przybyły (to samo dotyczy wszystkich nielegalnych migrantów), stworzenie wielu tysięcy miejsc w tzw. aresztach deportacyjnych, np. w opuszczonych koszarach i kontenerach, deportacje przebywających w Niemczech nielegalnych migrantów, ograniczenie możliwości łączenia rodzin.

Wprowadzenie w życie planu Merza groziłoby deportacją przeszło

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c938a05b9e

200 tys. migrantów. W czasie głosowania w Bundestagu projekt poparli, poza deputowanymi CDU i jej bawarskiej siostry, Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU), także posłowie AfD, FDP i grupy parlamentarnej Sojuszu Sahry Wagenknecht, powstałej w wyniku rozłamu Lewicy (partii Die Linke). Przeciwko opowiedzieli się parlamentarzyści SPD, Zielonych oraz grupy parlamentarnej Lewicy. Kanclerz Scholz przypomniał o zawracanych na granicach Żydach i okropnościach rządów nazistowskich, które nakładają na Niemcy szczególny obowiązek uznania prawa do azylu dla prześladowanych politycznie. Jednak stosunkiem głosów 348 do 345 uchwała została podjęta. Po raz pierwszy dokument Bundestagu został przegłosowany dzięki faszyzującej partii, wokół której miał być zbudowany szczelny kordon sanitarny (*Brandmauer* – dosłownie zapora ogniowa).

Spośród obywateli UE najwięcej jest Rumunów (909 tys.) i **Polaków (865 tys.)**, a z państw pozostających poza Unią Turków (ponad 1,5 mln) i Ukraińców (1,3 mln).

Na barykady

Zgodnie z sondażami CDU i AfD mogą liczyć łącznie na przeszło 50% głosów i teoretycznie utworzyć tzw. groko (skrót od *Grosse Koalition*), czyli wielką koalicję złożoną z ugrupowań, które uzyskają najlepsze wyniki w wyborach. Spoiwem obu partii poza migracją jest stanowisko wobec wojny w Ukrainie – jedna i druga chce oddania Rosji zajętego terytorium i ułożenia się Berlina z Moskwą w celu przywrócenia zerwanych więzi gospodarczych, w pierwszym rzędzie uruchomienie gazociągu pod Morzem Bałtyckim. W AfD, w której znalazło się wielu byłych polityków CDU, w tym dobrze znana w Polsce Erika Steinbach, zdecydowanie przeważają zwolennicy koalicji z chadekami. Byłby to kolejny krok partii, która dzięki tematowi migracji wyrwała się z kordonu sanitarnego i weszła do głównego nurtu niemieckiej polityki, na drodze do przejęcia pełnej władzy w Niemczech. AfD po raz pierwszy wysunęła w tych wyborach kandydatkę na kanclerza, przywódczynię partii Alice Weidel, zwolenniczkę zamknięcia granic oraz tzw. reemigracji – „oczyszczenia" Niemiec z migrantów poprzez ich masową deportację.

Po głosowaniu salę posiedzeń Bundestagu rozpaliło niespełna trzyminutowe wystąpienie 36-letniej Heidi Reichinnek, deputowanej Lewicy z tatuażem na przedramieniu. Zwracając się do Friedricha Merza, Reichinnek grzmiała, że dwa dni po uczczeniu ofiar Auschwitz chrześcijańscy demokraci zawarli pakt z partią skrajnej prawicy odwołującej się do ideologii nazizmu. Lewicowa polityczka zapowiedziała walkę z faszyzmem: „Wszyscy wyjdziemy na ulice, wszyscy pójdziemy na wybory". Mowę zakończyła wezwaniem: „Na barykady!".

Następstwem głosowania były masowe protesty w Niemczech przeciwko współpracy CDU i AfD. Główne hasło wielu manifestacji, w tym w Düsseldorfie, gdzie demonstranci zebrali się obok siedziby CDU, brzmiało: „To my jesteśmy kordonem sanitarnym! Wszyscy razem przeciwko faszyzmowi!". Merza skrytykowali m.in. Angela Merkel i ocalali z Holokaustu. Jeden z nich, więzień Auschwitz Albrecht Weinberg, zapowiedział zwrócenie Federalnego Krzyża Zasługi.

31 stycznia, w czasie drugiego czytania, projekt ustawy zaostrzającej prawo migracyjne przepadł, przeciwko niemu głosowało 350 deputowanych, za 338. Żaden przedstawiciel CDU/CSU nie naruszył dyscypliny partyjnej, jednak niektórzy zrezygnowali z udziału w głosowaniu.

Mimo tej porażki CDU może być pewna zwycięstwa w wyborach, a Friedrich Merz przygotowywać się do zamiany gabinetu szefa partii na gabinet kanclerza. Koalicja chadeków z AfD na razie nie wchodzi w rachubę, Merz odżegnuje się od współpracy z partią Alice Weidel. Za to pierwsza debata telewizyjna Olafa Scholza z Friedrichem Merzem wskazuje, że mimo różnych poglądów na kwestię migracji czy polityki społeczno-gospodarczej – Scholz chce np. podniesienia płacy minimalnej, z kolei Merz obniżenia podatków – obie partie są gotowe do zawarcia koalicji. Tym razem byłaby to nie koalicja ugrupowań z najlepszymi wynikami w wyborach, lecz sojusz zwycięskiej CDU z partią, która zgodnie z sondażami powinna zająć trzecie miejsce. Drugie wydaje się zarezerwowane dla AfD – ta partia może podwoić wynik z poprzednich wyborów, przeskakując 20-procentowy próg.

Od wyniku FDP, Lewicy i BSW zależy, czy chadecy i socjaldemokraci uzyskają razem większość mandatów w Bundestagu. Jeśli wszystkie mniejsze partie weszłyby do parlamentu, CDU/CSU i SPD będą musiały dobrać kolejnego partnera.

Na lewo od SPD

Polityka migracyjna okazała się paliwem dla Lewicy. Ta partia po odejściu grupy Sahry Wagenknecht poniosła klęskę w wyborach do Parlamentu Europejskiego i wyborach w landach wschodnioniemieckich, w tych których tradycyjnie mogła liczyć na największe poparcie. Jednak w ciągu ostatnich tygodni jej sondażowe notowania wzrosły z 3% do 5-6%. Temu trendowi towarzyszy wzrost liczby członków – w ciągu 14 dni przybyło ich 11 tys. Obecnie Lewica skupia w swoich szeregach przeszło 71 tys. osób (wszystkie polskie partie lewicowe łącznie mają ok. 25 tys. członków).

Z kolei sondaże są ostatnio niekorzystne dla BSW, której deputowani poparli zaostrzenie przepisów migracyjnych. Sahra Wagenknecht, świetna mówczyni, bohaterka telewizyjnych talk-show, ma powody, by drżeć o wynik wyborów i trwałość swojego nowego projektu politycznego.

Krzysztof Pilawski i Holger Politt są autorami książek wydanych w Hamburgu „Polens Rolle rückwärts", „Rosa Luxemburg: Spurensuche" i „Ein Krieg, der keiner sein sollte".

eprasa.pl c938a05b9e

Z Galicji

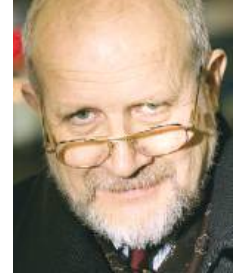

Jan Widacki

Polityka wschodnia a mit Kresów

O Kresach Wschodnich nasłuchałem się od dziecka. Moi rodzice przyjechali pod koniec wojny do Krakowa z Tarnopola, w którym mieszkali przed wojną i w którym urodziła się jeszcze moja starsza siostra. W Krakowie zostali na resztę życia. Ja urodziłem się już w tym mieście. Po wojnie do rodziców dołączyli dziadek z babcią jako repatrianci. Przed wyjazdem dziadek zdążył posiedzieć parę tygodni w NKWD-owskim więzieniu, z którego szczęśliwie go wypuszczono.

Po wojnie kolonia lwowiaków (jak się okazuje, kategoria dość pojemna, obejmująca mieszkańców całej dawnej Galicji Wschodniej) nie była zbyt duża. Większość repatriowała się na Śląsk, szczególnie do Bytomia, ale najwięcej do Wrocławia i na cały Dolny Śląsk. Ta krakowska kolonia lwowiaków trzymała się razem. Mieli swoje stałe miejsca spotkań, nawet zęby wszyscy leczyli u dentystki lwowianki, która otworzyła gabinet w Krakowie przy ulicy Karmelickiej. Poczekalnia tego gabinetu to był istny klub kresowian! Nawiasem mówiąc, prawdziwego klubu założyć nie było wolno. W tej poczekalni wymieniano się wiadomościami o znajomych sprzed wojny, wspominano Lwów, Tarnopol i inne miasta wschodniej Galicji, informowano się, kto umarł, a kto odezwał gdzieś z zagranicy.

Przez nasze mieszkanie też przewinęło się wielu lwowiaków. Różni wujkowie, ciotki, znajomi… Wszyscy żyli wspomnieniami, tęsknotą, nadzieją na powrót. Czasem nawiązywano do wielkiej polityki. Wojna koreańska budziła nadzieję, a gdy prezydentem USA został gen. Eisenhower, zapamiętałem, że moja babcia, nieinteresująca się polityką, mówiła do kuzynki z nadzieją: „Jak prezydentem Ameryki został generał, to już na pewno będzie wojna z bolszewikami". Nie chodziłem jeszcze do szkoły, nie bardzo rozumiałem, co tak babcię cieszy, więc zapytałem, czy to dobrze, jeśli będzie wojna. Babcia zapewniła mnie, że tak, bo Amerykanie pobiją bolszewików i wrócimy do Lwowa. Nie bardzo też rozumiałem, gdzie ten Lwów i po co tam wracać, zresztą dlaczego, skoro nasz dom jest w Krakowie?

Ojciec studiował we Lwowie prawo. Nieraz wspominał Uniwersytet Jana Kazimierza i swoich profesorów. Często wspominał też stryja zamordowanego w Katyniu (jak później się okazało, nie w Katyniu, tylko w Bykowni), który dowodził 51. pułkiem piechoty w Brzeżanach, a po przejściu w stan spoczynku był prezydentem Tarnopola i posłem na Sejm. Opowiadał także o rodzinie, która przez Sybir, a później Persję i Liban, przedostała się do Anglii, uprzednio grzebiąc swoich zmarłych w Kazachstanie.

Ten rys martyrologiczny nie był jednak dominujący. Przeważał opis szczęśliwych lat w pięknym Lwowie, w Tarnopolu, gdzie ojciec dostał pracę po skończeniu studiów, wspomnienie wycieczek na Huculszczyznę i pięknego Podola. Ten raj utracony z roku na rok pięknniał w opowieściach, a szczęście żyjących w nim ludzi było z roku na rok większe. Wszyscy tam się kochali, Polacy współżyli z Rusinami (nazwy Ukraińcy nie używano), a jedni i drudzy żyli w zgodzie z Żydami. Nie pamiętam, by wspominano, choćby na marginesie, o okropnym antysemityzmie, o pogromie Żydów dokonanym przez „obrońców Lwowa", o numerus clausus czy numerus nullus na uniwersytecie, albo o burzeniu przez wojsko cerkwi. A przecież to też było!

Z czasem jednak już nikt z moich najbliższych nie mówił o powrocie, nie wierzył, że Amerykanie przegonią bolszewików, nawet chyba o tym nie marzył. Ale każdy chciał tam choć raz przed śmiercią pojechać, co zrazu było zupełnie niemożliwe, a do końca istnienia ZSRR bardzo trudne.

Popatrzmy na Kresy nie jako na „raj utracony", ale jako ziemie, z którymi nasza historia przez wieki była związana.

Ale sentymentalny obraz Kresów pozostał. Co tam sentymentalny! Mitologiczny. I niestety bardzo nieprawdziwy. Choć od końca wojny, a więc od czasu opuszczenia tego „raju na ziemi", minęło kilkadziesiąt lat, minęły dwa pokolenia, ten mitologiczny obraz wciąż istnieje w polskiej świadomości. Mało tego, wciąż jest istotnym czynnikiem wpływającym na polską politykę wschodnią. Do tych sentymentów ukrytych w podświadomości Polaków odwołują się, często instrumentalnie, politycy prawicy. Podejrzewam, że w aktualnej sytuacji na Ukrainie te sentymenty próbuje wykorzystać też Rosja. W latach 40. czy 50. XX w. repatriowani z Kresów w większości mieli nadzieję, że tam wrócą. Marzyli o tym i śnili. Ale ich wnukowie? Jak we Wrocławiu czy Szczecinie dojrzało już trzecie pokolenie Polaków, którzy tam się urodzili i uznają te miasta za swoje, tak we Lwowie, Grodnie czy Wilnie dojrzało już trzecie pokolenie Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów, którzy miasta swego urodzenia uważają – i słusznie – za swoje. Popatrzmy na Kresy nie jako na „raj utracony", ale jako ziemie, z którymi nasza historia przez wieki była związana. Tak jak historia Niemców związana była z Wrocławiem czy Szczecinem. I patrzmy na Lwów tak, jak chcielibyśmy, aby Niemcy patrzyli na Wrocław. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c938a05b9e

Kochali USA, bo dostawali pieniądze

Polacy też na liście płac USAID

Grzegorz Rudnik

Przez dekady Agencja Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID) była dla Kremla ekspozyturą CIA, finansującą i organizującą przewroty w krajach Azji, Ameryki Południowej i Afryki, a ostatnio także w republikach postradzieckich. Dziś identyczny pogląd lansuje amerykańska prawica.

Robert F. Kennedy Jr., sekretarz zdrowia i opieki społecznej, jeden z bliskich współpracowników prezydenta Donalda Trumpa, w rozmowie ze znanym dziennikarzem Tuckerem Carlsonem oskarżył USAID o zorganizowanie w 2014 r. rewolucji na Ukrainie: „Na Ukrainie dochodzi do zamieszek zwanych Majdanem, ale nikt nam nie mówi, że to my je finansujemy. Gazety nigdy nam nie powiedziały, nasz rząd nigdy nam nie powiedział, że USAID, będąca przykrywką CIA, przeznaczyła 5 mld dol. na sfinansowanie tych zamieszek".

Na początku lutego Elon Musk, mianowany przez prezydenta Trumpa szefem Departamentu Efektywności Rządu (DOGE), nazwał agencję „organizacją przestępczą", dodając: „Była ona prowadzona przez grupę radykalnych szaleńców, a my ich wyrzucimy".

Tak też się stało. Prezydent Trump zdecydował o zamrożeniu na 90 dni realizacji wszystkich projektów agencji, którą oskarżono o marnowanie ogromnych sum pieniędzy amerykańskich podatników (również podczas jego pierwszej prezydentury w latach 2017-2021). W tym czasie miał być przeprowadzony audyt. Z 10 tys. pracowników zatrudnienie utrzymało 300, a resztę wysłano na trzymiesięczne urlopy.

By przekonać Amerykanów, że USAID była kierowana przez lewaków i zajmowała się marnotrawieniem publicznych pieniędzy, urzędnicy nowej administracji opublikowali listę wątpliwych przedsięwzięć, na które łącznie poszło ok. 400 mln dol.

Nowa rzeczniczka prasowa Białego Domu Karoline Leavitt na specjalnie zwołanej konferencji prasowej podała, że:

- setki milionów dolarów rozdano w celu zniechęcenia afgańskich rolników do uprawy maku na opium, a ci zainwestowali pieniądze w rozwój owych upraw, co przyniosło korzyści talibom;
- 2,5 mln dol. przeznaczono na budowę zakładu produkującego ładowarki dla pojazdów elektrycznych w Wietnamie;
- 6 mln dol. wydano na promocję turystyki w Egipcie;
- 1,5 mln dol. przeznaczono na wsparcie osób LGBT w ich miejscach pracy w Serbii;
- 70 tys. dol. wydano na produkcję musicalu promującego tematykę LGBT w Irlandii;
- 47 tys. dol. wydatkowano na transseksualną operę w Kolumbii;
- 32 tys. dol. poszło na występy transseksualnego komika w Peru.

Najlepsze na koniec – Leavitt oświadczyła, że „ok. 50 mln dol. z pieniędzy podatników miało zostać wydanych na finansowanie prezerwatyw w Strefie Gazy". Prezydent Trump poszedł krok dalej i powiedział: „Zidentyfikowaliśmy i zatrzymaliśmy 50 mln dol. wysłanych do Gazy na zakup prezerwatyw dla Hamasu!". Szybko jednak okazało się, że na potwierdzenie tej rewelacji nie ma żadnych dowodów. Lecz kto by się tym przejmował! Informacja o kondomach dla Arabów obiegła świat.

Kto płaci, ten wymaga

Przez dekady Agencja Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego była ważnym elementem budowy autorytetu USA w świecie. To tzw. soft power – miękka siła – która czasem w obronie interesów danego państwa bywa równie skuteczna jak armia, więc żaden duży kraj nie rezygnuje z wykorzystywania jej atutów.

Z tego względu decyzję prezydenta Trumpa o zamrożeniu działalności USAID przyjęto z zaskoczeniem i niedowierzaniem. Ale przy okazji światło dzienne ujrzała jakże ekscytująca część aktywności tego podmiotu – finansowanie niezależnych mediów w interesujących Stany Zjednoczone regionach. Ze środków agencji korzystało i nadal korzysta ponad 6 tys. dziennikarzy. Dziś znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji, bo Trump z Muskiem zakręcili kurek.

W ostatnich latach najwięcej pieniędzy USAID przeznaczyła na wsparcie ukraińskich mediów. Około 80% tamtejszych rozgłośni radiowych, stacji telewizyjnych, gazet, portali internetowych oraz popularnych influencerów znalazło się na utrzymaniu Amerykanów.

Takie wyliczenie podała Oksana Romaniuk, dyrektor Instytutu Informacji Masowej na Ukrainie. Forsa szczególnie szerokim strumieniem popłynęła na Ukrainę po rosyjskiej agresji w roku 2022. Nikt nie miał

eprasa.pl c938a05b9e

Protest pod Kapitolem przeciw zamrożeniu amerykańskiej pomocy zagranicznej i demontażowi USAID. Waszyngton, 5 lutego 2025 r.

głowy do wydatków na reklamę, więc z pomocą ruszył Wuj Sam.

Takich beneficjentów nazywa się na Ukrainie „grantososami" (czyli tymi, którzy zasysają granty) albo „sorosiatami" (od nazwiska amerykańskiego miliardera i filantropa, George'a Sorosa).

Za pośrednictwem Internews Ukraine USAID sfinansowała sieć platform informacyjnych opartych na mediach społecznościowych na Ukrainie, w tym New Voice of Ukraine, VoxUkraine, Detector Media i Institute of Mass Information.

Internews Ukraine to założona w 1982 r. organizacja non profit, która wspiera niezależne media w 100 krajach. W 2023 r. dysponowała budżetem w wysokości ponad 123 mln dol., z czego przeszło 94 mln pochodziły ze źródeł rządowych.

Były też większe pieniądze – 290 mln dol., które Amerykanie wydali na inicjatywy dotyczące demokracji, praw człowieka i zarządzania.

W przypadku ukraińskich mediów lokalnych dotacje wynosiły od kilku do kilkunastu tysięcy dolarów rocznie. Granty dla dużych ogólnokrajowych wydawców liczono w dziesiątkach tysięcy.

Dotacje USAID dla popularnego portalu internetowego Ukraińska Prawda stanowiły 10% jego rocznego budżetu.

Ogólnokrajowa telewizja Hromadśke.TV z powodu zamrożenia środków z USAID zmuszona była zawiesić część zaplanowanych na ten rok projektów. Możemy tylko zgadywać, o jakie kwoty chodziło.

Specjalizujący się w dziennikarstwie śledczym portal internetowy Bihus.Info podał, że dotacje USAID stanowiły dwie trzecie jego finansowania i obecnie poszukuje on wsparcia ze strony przedsiębiorstw oraz odbiorców zewnętrznych. Na kancelarię prezydenta Ukrainy nie może liczyć. Założyciel portalu Denys Bihus od dawna ma na pieńku zarówno z administracją rządową oraz prokuraturą, jak i ze Służbą Bezpieczeństwa Ukrainy, bo chętnie publikuje „kompromaty". Na początku obecnego roku na kanale YouTube pojawił się materiał, w którym pokazano z kolei, jak podwładni Bihusa zażywają substancje zabronione. Chodziło o skompromitowanie twórcy portalu i jego ludzi.

Inny ukraiński portal śledczy, NGL.media, jak poinformowała dyrektor ds. rozwoju Iryna Podoliak, utracił dwa granty na produkcję swoich materiałów, co zmusiło jego kierownictwo do rozważenia bardziej oszczędnego modelu finansowego.

Agencja Rozwoju Mediów Lokalnych ABO według współzałożycielki Lery Laudy otrzymywała 70-80% finansowania ze Stanów Zjednoczonych. Z powodu zamrożenia środków konieczne były redukcja zespołu, obniżenie stawek i drastyczne zaciśnięcie pasa.

Informacja o tym, że większość działających w kraju niezależnych ukraińskich mediów jest finansowana przez Amerykanów, wywołała niesmak. Na Ukrainie wiedzą, że o żadnej „niezależności" nie może być mowy. Zwłaszcza że nie brakuje ukraińskich dziennikarzy, którzy z powodu krytycznego stanowiska wobec administracji prezydenta Zełenskiego zostali zmuszeni do emigracji. Są obecni w mediach społecznościowych, na YouTubie oraz na popularnym komunikatorze Telegram. Często mają milionowe zasięgi i na pewno nie są finansowani przez USAID.

W jeszcze gorszej sytuacji znalazły się media mołdawskie. Ze względu na położenie między Ukrainą a Rumunią oraz silne wpływy rosyjskie Mołdawia już dawno stała się obiektem zainteresowania państw Zachodu. Do kraju na wsparcie wolnych mediów, za pośrednictwem Internews in Moldova oraz innych równie szlachetnych organizacji, trafiły miliony dolarów. Na przykład Association „Media Alternativă", zarejestrowana jako organizacja pozarządowa i będąca właścicielem

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c938a05b9e

jednego z najpopularniejszych kanałów telewizyjnych, TV8, otrzymała z Waszyngtonu 1,85 mln dol.

Ujawnianiem przypadków korupcji w Mołdawii, które łączono zazwyczaj z rosyjskimi firmami bądź instytucjami, zajmowały się kanały śledcze będące częścią sieci Ziarul de Gardă i NewsMaker, które – przez pośredników – były wspierane gotówką przez USAID.

Środki zza oceanu wsparły też programy mające umocnić zachodnią tożsamość mieszkańców Mołdawii. Na ten cel wydano 20 mln dol.

Organizacja Internews in Moldova realizowała finansowany przez rząd brytyjski i USAID program „Media Enabling Democracy, Inclusion, and Accountability in Moldova" (Media łączące demokrację, integrację i odpowiedzialność w Mołdawii). W założeniach miał on służyć budowie niezależnych i odpornych na naciski polityczne mediów. W praktyce, kto płacił, ten zamawiał muzykę.

Czy nad Wisłą było podobnie?

Za co kochamy Amerykę?

Zamrożenie działalności Agencji Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego zostało natychmiast zauważone w Polsce. Okazało się, że część niezależnych mediów i organizacji pozarządowych chętnie korzystała z pieniędzy płynących zza oceanu. Najbardziej znany przykład to wydawca „Krytyki Politycznej", czyli Stowarzyszenie im. Stanisława Brzozowskiego. Nie wiadomo, ile dokładnie środków otrzymało ono od Amerykanów. Redaktor naczelna „Krytyki Politycznej" Agnieszka Wiśniewska ogłosiła, że musi wstrzymać wszystkie działania finansowane z pieniędzy rządu USA i zawiesza wszystkie dotacje i kontrakty.

W podobnym duchu wypowiedziała się Karolina Wigura, związana z „Kulturą Liberalną". Podkreśliła, że decyzja Trumpa zmusiła redakcję do zawieszenia projektów finansowanych ze środków amerykańskich. Przy okazji pożaliła się na „ataki prawicowych trolli".

Na razie pieniędzy nie dostanie również „Tygodnik Powszechny", lecz nie są to wielkie kwoty.

Mariusz Szczygieł, prezes Fundacji Instytut Reportażu, wrzenie świata, musiał wstrzymać realizację programu szkoleń dla mediów lokalnych z Wołowa, Trzebnicy, Elbląga i Trzebini. Środki w kwocie od 70 do 90 tys. zł na jedną redakcję plus budżet szkoleniowy pochodziły z USAID. Szacuje się, że z amerykańskiego wsparcia mogło korzystać od 25 do 30 ogólnopolskich i lokalnych tytułów.

Ze wsparcia USAID mogło korzystać od 25 do 30 ogólnopolskich i lokalnych tytułów.

Były też organizacje społeczne. Pieniądze otrzymywała np. Helsińska Fundacja Praw Człowieka oraz Kampania Przeciw Homofobii. Wypłaty wstrzymano organizatorom akcji „Tour de Konstytucja dla szkół", promującej świadomość prawną i obywatelską.

Wstrzymane zostało także wsparcie dla organizacji zajmujących się migrantami. Na przykład Polskie Forum Migracyjne utraciło 11% budżetu. Inne podobne podmioty jeszcze więcej.

Fundacja Szkoła z Klasą nie otrzyma ok. 560 tys. zł na program społeczny obejmujący 20 szkół oraz 40 nauczycieli w całym kraju. W jego ramach dzieci, również z Ukrainy, miały pracować w zespołach międzykulturowych, ucząc się współpracy poprzez wspólne działanie.

Ucierpiała Fundacja Centrum Edukacji Obywatelskiej, która miała dostać ok. 404 tys. zł „na pokrycie kosztów organizacji dziewięciodniowej akademii obywatelskiej dla uczniów szkół średnich". Projekt miał się zakończyć do 24 lutego br. Ale zakończony nie zostanie. Kolejny przyznany fundacji grant, na program „Szkoła demokracji dla przedstawicieli samorządów uczniowskich w polskich szkołach", w kwocie ok. 314 tys. zł, miał zostać zakończony w czerwcu br. Nie będzie. Tak jak w wielu innych przypadkach.

A ponieważ bez amerykańskich sponsorów żadne „niezależne" media i fundacje działać nie mogą, pojawił się pomysł, by USAID zastąpił rząd Donalda Tuska i wydzielił z budżetu stosowne środki. Jest szansa, że tak się stanie. Na razie więc trudno mówić nad Wisłą o zmierzchu „grantososów".

To koniec miłości do Wuja Sama? Na pewno nie. Choć ostatnie decyzje, które zapadły w Waszyngtonie, jednoznacznie wskazują miejsce, jakie nasz kraj zajmuje w amerykańskiej polityce. Poślednie.

Najpierw administracja Bidena umieściła Polskę na liście państw, do których wolno sprzedawać ograniczoną liczbę procesorów służących rozwojowi sztucznej inteligencji. Rzecz miała znaczenie bardziej symboliczne, gdyż nie jesteśmy tytanem prac nad tą technologią i nie potrzebujemy setek tysięcy bardzo drogich procesorów.

Kolejny nieprzyjazny krok uczynił prezydent Trump, który ogłosił program deportacji nielegalnych imigrantów. Okazało się, że może nim zostać objętych ok. 30 tys. rodaków. Wygląda na to, że góralskie kapele będą dyżurowały na Okęciu, przy każdym lądowaniu boeinga z Nowego Jorku grając smętnie „Góralu, wracaj do hal". Pierwsi pechowcy już wylądowali.

Trzecim krokiem było owo wstrzymanie finansowania „niezależnych" mediów i organizacji pozarządowych. Kwoty nie są oszałamiające. Znacznie więcej otrzymują Ukraińcy. Liczył się jednak gest, oceniony jako nieprzyjazny.

Ostatni (jak na razie) wraży krok wobec Polski to rozmowa telefoniczna prezydenta Trumpa z prezydentem Putinem. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewaliśmy. W 80. rocznicę Jałty ktoś nad naszymi i ukraińskimi głowami toczy debatę o nowym światowym ładzie. Na tle tego wydarzenia sprawa Agencji Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego nie ma najmniejszego znaczenia.

Grzegorz Rudnik

eprasa.pl c938a05b9e

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Make Germany Great Again!

Umizgi Elona Muska do skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD) mają już parotygodniową metrykę, ale są na tyle niesłychane, że pisać winno się o nich bez przerwy. Po pierwsze bowiem, Musk dysponuje platformą X – orężem docierającym do milionów ludzi na świecie i kształtującym ich opinię. Po drugie, nie jest on osobą prywatną, lecz członkiem ścisłego kierownictwa USA. Po trzecie, ponieważ ekscesy miliardera nie wywołują reakcji prezydenta, wolno przyjąć, że mówi on to, czego Trumpowi – mimo wszystko – powiedzieć nie wypada. Jeżeli zaś tak, to – po czwarte – mocarstwo pozaeuropejskie ingeruje w sprawy jednego z państw Unii Europejskiej. Czy będzie ingerować także w nasze sprawy? Thomas Rose, nowy ambasador USA w Warszawie, informujący kłamliwie o zamiarze aresztowania przez polski rząd premiera Izraela, budzi uzasadnione obawy. A Musk? Politolodzy twierdzą, że byłoby dziwne, gdyby prób ingerencji nie powtarzał.

Kontekst jego wybryków jest zaś jeszcze bardziej porażający. Najpierw ze względu na niego samego, popierającego skrajną prawicę na całym świecie, a słynącego też z niedawnego – nazwijmy to tak – „salutu rzymskiego". Potem ze względu na sytuację wewnętrzną Republiki Federalnej, pogrążonej w kryzysie politycznym. I rzecz oczywiście nie w tym, że po wyborach 23 lutego niemiecka socjaldemokracja niechybnie odda władzę i że zastąpi ją CDU. Rzecz w tym, że CDU to nie jest już partia Helmuta Kohla i Angeli Merkel, lecz partia Friedricha Merza, której retoryka antyimigrancka zbliża się do AfD. Przy tym partia ta (razem z FDP) złamała ostatnio kordon sanitarny otaczający AfD: wspólne głosowanie tych ugrupowań za zaostrzeniem polityki imigranckiej uznano za czarny dzień niemieckiej demokracji. Jeżeli nawet była w tym przesada, to w każdym razie Niemcy widowiskowo przesunęły się w prawo. I to na tym polu będzie teraz hasał Musk.

Rozwój sytuacji w Niemczech powinien – jeśli nie w świecie, to na pewno w Polsce – uruchomić dzwonki alarmowe. Nie twierdzę oczywiście, że AfD to nowa NSDAP, nie twierdzę też, że Niemcy nie mają prawa do dumy z historii swego narodu, znacznie starszej niż Polaków. Oczywiście, że mają takie prawo. Twierdzę jednak, że wzywanie do odrzucenia niemieckiego wstydu za II wojnę światową jest igraniem z ogniem, budzeniem demonów. Może być – kto wie? – zaproszeniem do powtórki z historii.

Demokratyczne Niemcy pogodziły się z wynikiem ostatniej wojny, a więc i z oddaniem Polsce 20% swego terytorium. Po roku 1990 stały się w dodatku promotorem europejskich aspiracji Polski. Jesteśmy dłużnikami Niemiec i przykro, że tak niechętnie to przyznajemy. Teraz jednak, po nadchodzących wyborach, Niemcy mogą stać się inne. Zdominowane przez prawicę, może i przez nadającą ton prawicę skrajną, już teraz stają się wielką niewiadomą. Będą nową Republiką Weimarską czy od razu rozpoczną etap nacjonalistyczny?

A prawica polska? Co mają do powiedzenia nasi dzielni patrioci, tak zawsze straszący Niemcami? Co mówią prawicowi dziennikarze, dowcipnie kiedyś publikujący fotomontaż Angeli Merkel w mundurze esesmanki? Więc nasza prawica bała się tylko Niemiec niegroźnych, pacyfistycznych, które mogła bezkarnie strofować za niewystarczającą pomoc Ukrainie? A tych nowych Niemiec, które wyglądają zza horyzontu – już nie? Po pochwałach Muska pod adresem AfD polska prawica nie wydała nawet pisku. Jej rabski stosunek do nowych władz w Waszyngtonie niszczy w niej zdolność rozumowania. Jak napisała Estera Flieger, „bezkrytyczni wyznawcy Trumpa i Muska na polskiej prawicy, to by tym panom Polskę sprzedali za koraliki. Tylko dlatego, że im ideolo pasuje".

Dawniej prawica, przy całej swej kłamliwości i demagogii, była jeszcze jakoś poważna. Dziś jest już tylko groteskowa.

Sprzedać Polskę – cóż za problem. Nasza prawica nie od dziś zagraża Polsce. Nie mówię już o dokonywanym po roku 2015 anarchizowaniu i rozgrabianiu państwa. Nie mówię o stałej wojnie z Unią Europejską. Ani o kpinach z prawa, jakie demonstruje dziś Zbigniew Ziobro. Nie mówię o prawicowym warcholstwie. Mówię, że „to, co było, może przyjść". Nasza prawica jest jak straszni mieszczanie z wiersza Tuwima: widzi wszystko oddzielnie. Przypomnijmy sobie, co zawsze było dla niej ważniejsze: Polska czy tzw. antykomunizm? A co jest ważniejsze dziś: Polska czy kwestie aborcji i zmiany płci?

Dawniej prawica, przy całej swej kłamliwości i demagogii, była jeszcze jakoś poważna. Dziś jest już tylko groteskowa. Ale groźna być nie przestała. Czy pod przewodem Elona Muska mamy się starać, by Niemcy były znów wielkie?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c938a05b9e

Joe Biden – katalog błędów

Strategiczne pomyłki i decyzje polityczne zmniejszyły amerykańskie wpływy w świecie

Randall L. Schweller jest profesorem nauk politycznych na Uniwersytecie Stanowym Ohio. Jako akademik reprezentuje szkołę realistycznego myślenia o polityce. Wymieniany jest nieraz obok takich realistów strukturalnych jak Kenneth Waltz czy – goszczący na łamach „Przeglądu" – Stephen Walt, chociaż w pracach naukowych wchodzi z nimi w polemiki. Jego najważniejsze książki to „Deadly Imbalances: Tripolarity and Hitler's Strategy of World Conquest" oraz „Unanswered Threats: Political Constraints on the Balance of Power". Prace te nie doczekały się jeszcze polskich przekładów.

W prezentowanych fragmentach obszernego artykułu Schweller wylicza błędy popełnione przez byłego już prezydenta Bidena i jego administrację. Niewątpliwie jest rzeczą godną zastanowienia, dlaczego polityk o niezwykle długim stażu i ogromnym doświadczeniu nie zdołał się ustrzec choćby części z nich. Stawia to pod znakiem zapytania mocne przekonanie realistów, że w polityce trzeba słuchać ludzi starszych i bardziej doświadczonych. Bardzo poważnie brzmi zarzut, że działania administracji Bidena zmierzały do wydłużania wojen zamiast ich kończenia. Rzeczywiście, czy w kontekście wojny w Ukrainie nie temu służyło powtarzane przez Biały Dom jak mantra zdanie, że o końcu wojny mogą zdecydować tylko sami Ukraińcy? Zupełnie tak, jakby nasz sąsiad nie otrzymał jedynie od USA pomocy w wysokości 225 mld dol.

Przekład pomija wskazane przez Schwellera błędy Bidena związane z amerykańską polityką wewnętrzną. Koncentruje się wyłącznie na polityce międzynarodowej. Taki wybór wydaje się ciekawszy dla Czytelników „Przeglądu", bo pośrednio lub bezpośrednio dotyczy także Polski. Z całością artykułu, opublikowanego 3 lutego 2025 r., można się zapoznać, odwiedzając witrynę internetową The American Conservative, pod adresem: www.theamericanconservative.com/bidens-legacy-of-unprincipled-stagnation/.

Randall L. Schweller

(...) Politykę zagraniczną Joego Bidena można najlepiej scharakteryzować jako serię strategicznych pomyłek i decyzji politycznych, które zmniejszyły amerykańskie wpływy w świecie, zaogniły regionalne konflikty i naraziły na znaczne ryzyko bezpieczeństwo narodowe USA oraz stabilność międzynarodową. Polityka ta była raczej reaktywna aniżeli wyprzedzająca, często przyczyniała się do przedłużania konfliktów, a nie do ich rozwiązywania. Przykłady to Ukraina i Bliski Wschód. Dlaczego taka była, zważywszy na to, że Biden kreował się przed Amerykanami na przywódcę z 50-letnim doświadczeniem? Przede wszystkim dlatego, że administracji Bidena – i jemu samemu – zabrakło zdefiniowanego systemu wartości i wielkiej strategii. Ich wizja interesu narodowego była mglista albo w ogóle jej nie było. Skutkowało to serią decyzji podejmowanych post factum, będących desperacką próbą zachowania status quo. Brak strategicznej wizji był szczególnie widoczny w niekonsekwentnym podejściu Bidena do sojuszy i w nieumiejętności zdecydowanego przeciwstawienia się wyzwaniom rzucanym przez Chiny i Iran.

(...) To reaktywne stanowisko, pozbawione myśli przewodnich i długoterminowych celów, spowodowało, że Stany Zjednoczone miotały się między jednym kryzysem a drugim, usiłując prowizorycznie naprawić sytuację, zamiast doprowadzić ją do spójnego stanu końcowego. W efekcie spuścizną Bidena okazała się polityka niespójności i straconych szans. Była to polityka zagraniczna cechująca się „sterylnością i stagnacją, odwagą tam, gdzie należało być ostrożnym, słabością tam, gdzie należało demonstrować siłę, podejściem militarnym tam, gdzie było ono bezużyteczne, autodestrukcyjnością i obroną status quo, które było nie do obrony". Powyższych sformułowań użył Hans Morgenthau (XX-wieczny klasyk realizmu politycznego, autor fundamentalnej pracy „Polityka między narodami" – przyp. P.K.) do określenia polityki zagranicznej Dwighta Eisenhowera pod koniec 1958 r., ale jeszcze lepiej opisują one ostatnie cztery lata.

Nieudana operacja wycofywania się z Afganistanu w 2021 r. była pierwszą poważną porażką Bidena w polityce zagranicznej. O ile decyzja o zakończeniu amerykańskiej obecności wojskowej po prawie 20 latach konfliktu i klęsce Al-Kaidy nie była błędem, o tyle sposób, w jaki operację przeprowadzono – pozostawiając kraj w rękach talibów – podważał strategiczną logikę wycofania się. Wprowadzaniu w życie decyzji administracji Bidena towarzyszył taki chaos, że skutkiem była

W Ukrainie polityka Bidena sprowadzała się bardziej do utrwalenia niż rozwiązywania problemów.

eprasa.pl c938a05b9e

śmierć 13 żołnierzy oraz przejęcie przez talibów wartego miliardy dolarów sprzętu wojskowego. Ta porażka nie tylko położyła się cieniem na wizerunku Stanów Zjednoczonych, ale także wzmogła wśród sojuszników sceptycyzm co do kompetencji Amerykanów i ich zdolności przewidywania.

W Ukrainie polityka Bidena sprowadzała się bardziej do utrwalenia niż rozwiązywania problemów. Mimo przyznania pomocy w kwocie przekraczającej 175 mld dol. – plus 50 mld w postaci pożyczek, które nigdy nie zostaną spłacone (ogłoszonych w grudniu 2024 r.), ukraińskie zwycięstwo nie rysuje się na horyzoncie. Paradoksalnie pomoc ta podsyciła wojnę, która przyniosła ogrom ludzkich cierpień, nadwerężyła strategicznie USA i doprowadziła do niebezpiecznej eskalacji konfliktu z Rosją. Skutkowała także absurdalną obietnicą przyjęcia Ukrainy do NATO. Niechęć administracji do negocjacji pokojowych lub poszukiwania drogi do nich to kolejny argument za tym, że polityka Bidena bardziej skupiała się na przedłużaniu konfliktu niż na doprowadzeniu do pokoju.

Warto przypomnieć, że wybitni realiści nawoływali do wynegocjowania porozumienia (…). Jak powiedział Henry Kissinger w trakcie Światowego Forum Ekonomicznego w maju 2022 r., wojna z Rosją wywołałaby „przewroty i napięcia, których przezwyciężenie nie będzie łatwe" (podczas wspomnianego wystąpienia w Davos Kissinger zalecał w kontekście wojny rosyjsko-ukraińskiej powrót do stanu sprzed 24 lutego 2022 r., sama Ukraina miała być państwem neutralnym – przyp. P.K.). Na przekór tym radom Biden oświadczył, że „Putin nie może pozostać przy władzy", a sekretarz obrony Lloyd Austin dodał, że celem Ameryki powinno być „trwałe osłabienie Rosji". Prezentując konflikt jako wybór pomiędzy systemem współdzielonej odpowiedzialności za bezpieczeństwo a systemem rywalizacji potęg i stref wpływów, sekretarz stanu Antony Blinken oświadczył, że administracja nie będzie dyskutować na temat rosyjskich obaw związanych z członkostwem Ukrainy w NATO, gdyż „dany kraj nie ma prawa do wyznaczania strefy wpływów. Samą tę koncepcję należy wyrzucić na śmietnik historii". Jak na ironię administracja Bidena traktowała cały świat jako amerykańską strefę wpływów, nie przyjmując do wiadomości ograniczeń amerykańskiej potęgi ujawnionych po okresie jednobiegunowości.

(…) Administracja Bidena nie wzięła pod uwagę szerszych, geopolitycznych konsekwencji swojej polityki w Ukrainie, szczególnie wzmocnienia osi Rosja-Chiny. Coraz bliższe relacje Rosji z Chinami, Koreą Północną i Iranem są bezpośrednim skutkiem toczącej się wojny i wsparcia Zachodu dla Ukrainy. Zmieniły one równowagę sił w Eurazji i postawiły przed Stanami Zjednoczonymi bardzo trudne zadanie równoczesnego powstrzymywania Chin i Rosji. (…) Administracji nie udało się sformułować spójnej, długoterminowej strategii radzenia sobie z rosnącymi wpływami Chin i ich asertywnością militarną. Niespójny przekaz na temat Tajwanu pogłębił problem, ponieważ Stany Zjednoczone wahały się między wspieraniem prawa Tajwanu do samoobrony a ostrzeganiem przed ryzykiem prowokowania Chin. Jednocześnie administracja nie zdołała zachęcić Tajwanu do istotnego wzmocnienia zdolności obronnych ani do przyjęcia strategii zwiększającej jego odporność na potencjalną chińską inwazję. Ten brak jasno wytyczonego kierunku sprawił, że ani Tajwan, ani regionalni sojusznicy nie mieli pewności co do intencji USA i postawił pod znakiem zapytania wiarygodność amerykańskich możliwości odstraszania. Administracja Bidena zdefiniowała także rywalizację z Chinami jako ideologiczną walkę demokracji z autorytaryzmem. Takie ujęcie nie pozwala na uwzględnienie bardziej pragmatycznych aspektów stosunków amerykańsko-chińskich, takich jak handel, technologia i konkurencja w zakresie wojskowości. Określając stosunki przede wszystkim w kategoriach ideologicznych, Stany Zjednoczone ryzykują zrażeniem do siebie potencjalnych partnerów w regionie, takich jak kraje ASEAN (stowarzyszenie zrzeszające 10 państw Azji Południowo-Wschodniej, w tym Indonezję, Malezję, Filipiny i Singapur – przyp. P.K.), które mogą nie podzielać wiary w zachodnie wartości demokratyczne, ale postrzegają wzrost potęgi Chin jako zagrożenie. (…)

Administracja Bidena walczyła również o wzmocnienie bezpieczeństwa europejskiego po zakończeniu konfliktu w Ukrainie. Chociaż USA głośno opowiadały się za rolą NATO w powstrzymywaniu rosyjskiej agresji, nie udało im się zająć strukturalnymi słabościami sojuszu ani kwestią podziału obciążeń. Mimo wezwań Bidena do jedności NATO Stany Zjednoczone w dalszym ciągu ponoszą lwią część ciężarów finansowych i militarnych związanych z bezpieczeństwem europejskim. Zarazem administracja nie rozważyła alternatywnych ram bezpieczeństwa wykraczających poza NATO. Brak bardziej kompleksowego podejścia do bezpieczeństwa europejskiego, obejmującego państwa spoza NATO i nowych ustaleń dotyczących bezpieczeństwa, sprawił, że Europa jest podatna na zagrożenia zewnętrzne i zależna od przywództwa USA. Wcześniej niż później będzie musiała jednak odzwyczaić się od ochrony zapewnianej przez amerykańską potęgę. Bogaci sojusznicy USA nie mogą oczekiwać, że amerykańscy podatnicy będą nadal płacić rachunki i utrzymywać ich zależność od amerykańskiej ochrony wojskowej w coraz bardziej konkurencyjnym, postamerykańskim świecie. (…)

Wcześniej niż później Europa będzie musiała się odzwyczaić od ochrony zapewnianej przez amerykańską potęgę.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla; tytuł pochodzi od tłumacza

eprasa.pl c938a05b9e

Zmarnowana sytuacja – Mateusz Żukowski podczas meczu Śląska Wrocław z Ruchem Chorzów w 30. kolejce PKO Ekstraklasy. 27 kwietnia 2024 r.

O potędze kiksu

Futbol ma swoją gramatykę: odpowiednikiem zdania jest akcja, którą buduje ciąg celnych podań zmierzających do wykrzyknika w postaci strzału

Wojciech Kuczok

Poezja na przejęzyczeniach stoi, zwłaszcza ta lingwistyczna. Tak zwany słuch językowy obejmuje też zdolność autora do malowniczych przesłyszeń, błędów i niepoprawności, które poszerzają pole znaczeniowe słów i działają na wyobraźnię. Poeci nierzadko z oszczędnych przemieszczeń w obrębie frazeologizmów, a nawet wskutek wymiany pojedynczych liter, budują nowe jakości. I zamiast poprawiać cudze błędy językowe, zachwycają się nimi.

Kiedy np. matka chwaliła moje juwenilia, twierdząc, że mam „ikrę Bożą", byłem zachwycony wizją wielkiego Pana Jesiotra, który podczas niebiańskiego tarła swoim wszechmocnym mleczem zapładnia ludzkie talenty – sam bym tego nie wymyślił.

Poetom dobrze jest być nieco przygłuchymi krótkowidzami, bo dzięki przywidzeniom i przesłyszeniom mogą wyginać śmiało język i czerpać z niego nowe jakości. Mam głębokie przekonanie co do tego, że piłka nożna jest jednym z najpiękniejszych gatunków lirycznych, a więc rola kiksów jest w niej również niepoślednia. O ile oczywiście tyczy się to futbolu na poziomie najwyższym, gdzie błąd w przyjęciu lub rozegraniu jest rzadkością, białym krukiem, rarytasem niejako humanizującym na co dzień nadludzko precyzyjnych mistrzów.

Właśnie ruszyły równolegle wiosenne rundy polskiej Ekstraklasy i Ligi Mistrzów – można zatem gołym okiem zauważyć zasadniczą różnicę między grafomanią a poezją futbolową: polscy ligowcy kiksują ile wlezie, kiksy to ich chleb powszedni, rzucają nimi jak z rękawa, ale żadna fraza z tego powstać nie może. Tymczasem kiedy piłkarzom z ligi europejskich czempionów przytrafia się błąd w przyjęciu albo nieczyste uderzenie, często wychodzi to wszystkim na dobre. Futbol ma swoją gramatykę: odpowiednikiem zdania jest akcja, którą buduje ciąg celnych podań – zdanie rozwija się w swej złożoności i zmierza do wykrzyknika w postaci strzału. Tak odczytując język piłki, moglibyśmy porównać barcelońską tiki-takę do wielokrotnie złożonych zdań Faulknera, z całą ich misterną konstrukcją, karkołomnością i polifonią.

Styl Nottingham Forest, największej sensacji tego sezonu w ligach

eprasa.pl c938a05b9e

europejskich, oparty na doskonałej efektywności kontrataków, grze z pierwszej piłki i idei dotarcia do bramki przeciwnika w jak najkrótszym czasie, można by porównać do telegraficznego stylu Hemingwaya. Bywa, że gol pada w ciągu kilkunastu sekund od rozpoczęcia gry, wtedy mamy do czynienia z arcydziełem minimalizmu, jak w przypadku najkrótszego z opowiadań Janusza Rudnickiego, które uwielbiam cytować przy każdej okazji: „I wtedy mama połknęła klucze, żeby tata nie odszedł".

W przypadku polskich ligowców, niestety, budowa zdań jest niemożliwa, albowiem seria celnych podań do przodu zdarza się nader rzadko. Jeśli w naszej lidze gubi się piłkę po podaniu czwartym z rzędu, mamy już do czynienia z akcją tygodnia, jeśli zaś finalizuje ją strzał, komentatorzy zgodnie uznają, że to „stadiony świata". Na ogół zatem polska piłka ligowa wygląda jak kłótnia pijaczków na przystanku, kiedy i tak ograniczone możliwości werbalne są dodatkowo powściągane alkoholowym otępieniem – wygrywa ten, kto pierwszy uzna, że szkoda gadać, trzeba od razu dać w ryj: czyli strzeli z daleka, licząc na jakiś pomocny rykoszet, lub zacentruje na aferę. Nadzwyczaj cenieni są w polskiej piłce ligowej obrońcy, którzy potrafią „wyjaśnić zamieszanie", czyli zakończyć chaotyczną szamotaninę w polu karnym wybiciem piłki. Jest to zaiste oczyszczająca interwencja redaktorska, korygująca bełkotliwą mamrotaninę – jak skreślenie nieporadnie kleconego zdania lub postawienie kropki, kiedy autor zanadto zaufał przecinkom.

Problem z „lirycznymi" kiksami z happy endem w naszej Ekstraklasie polega na tym, że są właściwie niewykrywalne – bodaj ostatnim, który się przyznał, że trafił niechcący, był Jan Domarski, kiedy przed z górą półwieczem tłumaczył, że na Wembley piłka mu „przyszła, naszła, zeszła, weszła". Nasi piłkarze nie tak znów rzadko strzelają wspaniałe gole, ale jeśli tylko skauci zwąchają, że te bramki były zdobyte intencjonalnie, biorą chłopaków za granicę. Z tej to przyczyny najbardziej spektakularne gole zdobywane na polskich boiskach są dziełem przypadku, którego jednak ich autorzy gorliwie się wypierają – komu wyszedł strzał życia, twierdzi, że codziennie tak trafia na treningach, a już najbardziej wstyd się przyznać, że gol padł wskutek spartaczonego dośrodkowania. Tak zwany centrostrzał jest prawdziwym crème de la crème polskiej piłki – nawet w Lidze Mistrzów tego nie potrafią, bo też nauczyć się tego nie można: tak zacentrować z ostrego kąta, żeby piłka zmyliła wszystkich z bramkarzem na czele i wpadła do bramki.

W ćwierćfinale mundialu 2002 Ronaldinho trafił „za kołnierz" Davida Seamana najbardziej epickim centrostrzałem wszech czasów – w przypadku tego akurat piłkarza trudno uznać, że cokolwiek mogło mu wyjść przypadkiem. Uderzył, jak chciał, nadał piłce trajektorię doskonałą, choć efekt przerósł jego oczekiwania – nie wierzył, że bramkarz tego nie złapie, miał nadzieję, że może potknie się podczas nagłego cofania i zaskoczony odbije piłkę jakoś niezgrabnie. Od tamtej pory jeśli komuś wyjdzie gol „strzelony dośrodkowaniem", udaje, że posiadł tę umiejętność drogą treningów i wyrzeczeń – nasi ligowcy co prawda nie ogarniają wielu prostszych, by nie rzec elementarnych kwestii technicznych, ale centrostrzały wychodzą im zadziwiająco często. Doskonalona sztuka nieudolnych dośrodkowań powoduje, że bramkarze na polskich boiskach głupieją, nie wiedzą, czy ustawić się do łapania centry, czy baczyć, by im piłka za plecami nie wpadła do bramki – oto dlaczego tyle goli pada u nas po stałych fragmentach.

Mamy zatem i w rodzimym wydaniu jeden kiks, który daje mistrzowski efekt, polską szkołę poezji futbolowej, z której możemy być dumni – nasz ligowiec i z zerowego kąta gola ustrzeli, o ile tego NIE zechce uczynić. Podobnie z nadzwyczaj efektownymi no-look passes, cechującymi największych pomocników świata, którzy potrafią kątem oka widzieć wszystko i rozegrać piłkę w zaskakującą stronę, uruchamiając napastnika – na naszych boiskach często podaje się piłkę do innego zawodnika, niźli to było w pierwotnym zamierzeniu.

W miniony wtorek podczas starcia tytanów w Champions Leauge mogliśmy zobaczyć prawdziwie mistrzowski błąd, kiks doskonały, arcydzieło nieczystego uderzenia, którego autor zarówno zaskoczył sam siebie, jak i obezwładnił bramkarza rywali. Kylian Mbappé, który długo aklimatyzował się w Madrycie, doszedł wreszcie do swojej zwyczajowej formy i trafia dla Realu regularnie, goniąc w tabeli snajperów Roberta Lewandowskiego. Rozswobodził się do tego stopnia, że nawet jak mu schodzi, to mu wchodzi: w meczu Realu przeciw Manchesterowi City wyszedł na czystą pozycję po genialnej asyście Daniego Ceballosa i uderzył piłkę piszczelem tak nieudacznie, że aż nie do obrony. Piłka poleciała wolno, lobem i w bok, na co żaden bramkarz świata nie mógłby się przygotować – zatem i Edersonowi pozostało tylko odprowadzić ją wzrokiem. Wybitność takich kiksów polega na tym, że są nie do powtórzenia, gdyby Mbappé chciał tak strzelić, na sto strzałów udałoby mu się to może raz – potężny efekt paradoksu czyni tę bramkę niezapominalną.

Tak oto najpiękniejsze w poezji, także futbolowej, okazuje się to, co niegramatyczne. ■

FOT. P. DZIURMAN/REPORTER

eprasa.pl c938a05b9e

Rozmawia Emilia Padoł

Dar pomagania

Pierwsze wejścia na oddziały onkologiczne, do poszczególnych sal, były dla mnie dramatem

JOLANTA KWAŚNIEWSKA
– pierwsza dama RP w latach 1995-2005, prawniczka, bizneswoman, założycielka i prezeska Porozumienia Bez Barier

Zaczęła pani wkraczać do trudnej emocjonalnie przestrzeni – przestrzeni szpitali. Często nie wiemy, jak się tam zachować, czasami wręcz boimy się wchodzić. To było zderzenie z nieznanym światem?

– Dla mnie to nie do końca był obcy świat, bo znałam sytuacje, w których chorowali najmłodsi – takich przypadków było wśród znajomych kilkanaście. Wiedziałam, co to oznacza dla rodziny, a co dla samego dziecka. I z jakim zaangażowaniem rodzice w tamtych czasach walczyli, żeby pomóc swoim dzieciom.

W Polsce mieliśmy zawsze świetnych, oddanych lekarzy i pielęgniarki. Głęboko podziwiam medyków, sama przecież chciałam być lekarką – wciąż uważam, że możliwość pomagania ludziom to najpiękniejszy dar. Natomiast lekarze onkolodzy, zwłaszcza onkolodzy dziecięcy, to kategoria szczególna. W latach 90., kiedy umieralność była znacznie wyższa, zajmowanie się dziećmi, patrzenie w ich oczy i przekonywanie, że mimo wszystko będzie dobrze – chociaż wiadomo, że czas, jaki im został, jest bardzo krótki… To było potwornie trudne.

Przywoływałyśmy dane dotyczące przeszczepów szpiku kostnego. Zaledwie kilkadziesiąt na 1,2 tys. chorujących dzieci rocznie miało szansę na przeszczep. Trudno nie poczuć się przytłoczoną tymi liczbami. A przecież problemów było więcej.

– Jak opowiadałam, od samego początku, od kiedy mąż został wybrany na urząd prezydenta, otrzymywałam bardzo wiele listów – potem zaczęły one przychodzić lawinowo. Pisali do mnie wszyscy, którzy po prostu nie mieli pieniędzy, żeby zadbać o swoją rodzinę, o bliskich. Ludzie załamani niespodziewanie trudnymi sytuacjami, które na nich spadły. To właśnie nawał listów i opisywane w nich historie stały się potężnym motorem powstania fundacji.

Wiele listów dotyczyło przeszczepu szpiku kostnego. Dołączona była do nich gruba dokumentacja medyczna. Do tego informacja, że przeszczep jest możliwy tylko w Stanach Zjednoczonych. Koszt: 100 tys. dol. Gros zdesperowanych rodziców prosiło mnie o zebranie środków, ale przecież nie czułam się Panem Bogiem, który ma prawo decydować, do kogo powinny trafić pieniądze, a do kogo nie. Skrajnie trudno przecież wybrać, że opłaci się procedurę transplantacji u jednego z dzieci, a pozostałe kilkadziesiąt, które również aplikowało, nie będzie miało takiej szansy… Wtedy zbiórki społeczne nie były znane, nie istniały żadne serwisy fundraisingowe, starałam się więc prosić różne instytucje, żeby nas wspomagały.

Bardzo ważnym postulatem, ujętym w statucie fundacji, było wyrównywanie szans ludzi chorych,

eprasa.pl c938a05b9e

z niepełnosprawnościami, przede wszystkim dzieci.

Od czego zaczęły się pani działania?

– Przychodziły do mnie setki zaproszeń na różne spotkania, wydarzenia, konferencje, ale na swój pierwszy wyjazd wybrałam międzynarodowe dni osób niepełnosprawnych, które odbywały się w 1996 r. w Zgorzelcu.

Tuż przy polsko-niemieckiej granicy. Co pani tam zobaczyła?

– Rewelacyjne warsztaty terapii zajęciowej dla osób z niepełnosprawnościami. Mieli świetny pomysł – dostawali wózki inwalidzkie z Niemiec, naprawiali je na warsztatach, a potem rozdawali potrzebującym. Pomyślałam: wow, robią to genialnie! Zobaczyłam *role model* dla innych organizacji. Osoby z niepełnosprawnościami mogły tam pracować i zarabiać.

To był dosyć daleki wyjazd jak na standardową aktywność pierwszej damy. I, przyznam szczerze, zainteresowanie było niewiarygodne. Dla organizatorów takiej konferencji – na dodatek w przygranicznym mieście, a nie w Warszawie, Krakowie czy innym dużym ośrodku – przyjazd małżonki prezydenta był czymś niezwykle zaskakującym.

Trudno się dziwić.

– Ostatnio przeglądałam stare zdjęcia, upchnięte w moich przepastnych pudłach, i znalazłam fotografię właśnie z tego spotkania. Zostałam tam wyjątkowo ciepło przyjęta i na własne oczy zobaczyłam, jak wiele można zrobić dla osób z niepełnosprawnościami – jeśli tylko mamy chęci i determinację.

Pomyślałam: ta symbioza jest fantastyczna – włączenie ludzi w proces, który służy im samym, dzięki któremu czują się potrzebni, sprawczy, w jakiś sposób decyzyjni. Proszę pamiętać, że w tamtych czasach bardzo wiele osób na wózkach to byli ludzie młodzi, po wypadkach, np. ci, którzy skoczyli do wody na główkę.

Tak, pamiętam wiele takich historii z czasów swojego dzieciństwa, były one mocno nagłaśniane przez media.

– To była częsta przyczyna gwałtownej utraty sprawności. Ale te osoby miały sprawne ręce i – przede wszystkim – sprawne głowy.

Zgorzelec zrobił na mnie naprawdę niesamowite wrażenie. Utrzymywałam kontakt z organizatorami przez długie, długie lata. Wielokrotnie podpowiadałam, także tym, którzy powinni zmienić swój sposób myślenia na temat osób z niepełnosprawnościami: jedźcie do Zgorzelca, zobaczcie, jak świetnie to tam funkcjonuje, jak działają władze miasta, stowarzyszenie na rzecz osób z niepełnosprawnościami, jak wyglądają warsztaty terapii zajęciowej, jak cenne są bliskie kontakty z Niemcami.

No właśnie, podróżując po świecie, widziała pani z pewnością różnice między życiem osób z niepełnosprawnościami na Zachodzie a ich życiem w Polsce.

– Oczywiście, podczas wizyt starałam się oglądać również ośrodki dla osób z niepełnosprawnościami. Najwspanialsze pod każdym względem rozwiązania? Naturalnie w Skandynawii, gdzie te osoby były najpełniej włączane do społeczeństwa i – przede wszystkim – otrzymywały odpowiednie środki. W Szwecji oglądałam choćby domy, w których mogły one funkcjonować samodzielnie. Już kilkunastoletni ludzie mieli swój domek, w którym mieszkali np. we czwórkę, razem z opiekunem, z którego wsparciem robili zakupy, gotowali, wybierali film, który chcą oglądać. Stopień usamodzielnienia był imponujący.

Tymczasem w Polsce osoby z niepełnosprawnościami nie tylko były marginalizowane, ale nierzadko głęboko wykluczone. Kiedy przyjeżdżali do nas goście z zagranicy, mówili: och, to niesamowite, w Polsce nie macie niepełnosprawnych. Oczywiście to by było zupełnie nierealne – a taka obserwacja mogła się pojawić tylko dlatego, że osoby z niepełnosprawnościami po prostu nie miały możliwości wyjścia z domu, nie było ich nigdzie widać: na ulicach, w sklepach, w kinach.

Co najwyżej w oknie.

– Tak, siedzieli w czterech ścianach, a cała opieka była zepchnięta na rodzinę – bardzo często, np. w przypadku dzieci z porażeniem mózgowym, wyłącznie na matki. Nierzadko ojcowie nie wytrzymywali ogromnego napięcia i trudu związanego z zajęciem się dzieckiem. Wielokrotnie odwiedzałam takie domy. Przy małym dziecku wszystko było – oczywiście stosunkowo – łatwiejsze, bo matka była w stanie je przenieść, włożyć do wanny i tak dalej. Schody zaczynały się później, kiedy rosło. Mówimy tu o dzieciach z porażeniem czterokończynowym, z którymi de facto nie ma też kontaktu. Rzecz jasna według nas nie ma, bo mama dokładnie wie, co każdy mały gest, ruch ciała, poruszenie gałkami ocznymi znaczy.

Gdy mąż został wybrany na urząd prezydenta, otrzymywałam wiele listów. Opisywane w nich historie stały się potężnym motorem powstania fundacji.

Na szczęście doczekaliśmy momentu, w którym dzięki rozwojowi technologii komunikacja osób z niepełnosprawnościami staje się możliwa – i to nie tylko z rodziną czy bliskimi, ale i z całym światem.

– Tak, są one w stanie wypowiedzieć lub spisać swoje myśli. Kiedyś wielu wydawało się, że nie mają oni niczego do powiedzenia i że rozmowa z nimi w ogóle nie jest możliwa. A tu raptem okazało się, że jest sposób na porozumienie się – właśnie dzięki nowym metodom.

Zresztą większość nowoczesnych rozwiązań widziałam wcześniej w bardzo wielu światowych ośrodkach. Kiedy tylko wracałam do Polski, od razu robiłam posiedzenie rady fundacji i mówiłam: słuchajcie, myślmy, jak wprowadzić te rozwiązania w Polsce, kontakty mam – bo zawsze brałam namiary na kogoś, kto opiekował się instytucją lub był jej dyrektorem. Miałam szczęście przywozić z wyjazdów nowe idee. I sprawiały mi one odrobinę radości, bo wierzyłam, że jeśli znajdą się

eprasa.pl c938a05b9e

Jolanta Kwaśniewska w Klinice Onkologii Dziecięcej (Szpital Motylkowy) w Gdańsku. Fundacja Porozumienie Bez Barier przekazała gdańskiemu szpitalowi najnowocześniejszy sprzęt USG. 14 lutego 2014 r.

odpowiednie osoby i jeśli będą środki, to będziemy w stanie w podobny sposób zaopiekować się osobami z niepełnosprawnościami w Polsce. Mówię „odrobinę radości", bo przecież towarzyszyła mi też frustracja, wręcz złość, że u nas to wszystko wygląda inaczej.

I prawdę mówiąc, choć minęło tyle lat, sytuacja osób z niepełnosprawnościami i ich rodziców wciąż nie jest taka, jak być powinna. To ciągła walka o świadczenia pielęgnacyjne, orzeczenia o niepełnosprawności, konieczność udowadniania, że potrzebuje się pieniędzy albo że w ogóle ma się niepełnosprawność.

– To mnie najbardziej boli – że opiekunowie wciąż walczą o uznanie prostego faktu, że to oni odciążają państwo w systemowej opiece. Kiedy pomyślimy, ile kosztuje jedno miejsce w szpitalu, w dowolnym ośrodku, w domach pomocy społecznej – a jest to przeszło cztery, pięć tysięcy złotych miesięcznie – to widzimy, jaka to jest gigantyczna oszczędność dla państwa.

Państwo wymusza ciągłe udowadnianie, że ktoś nie jest w stanie samodzielnie funkcjonować, że nie radzi sobie bez opieki. A ta jest po stronie państwa, czego ono bardzo często nie widzi i zobaczyć nie chce. Na co jeszcze bardziej było ślepe w pierwszych latach prezydentury mojego męża.

Wróćmy na chwilę do wizyt w szpitalach, bo mam wrażenie, że trochę uciekła pani od odpowiedzi.

– Bo nie są to łatwe wspomnienia, a ja nie jestem ich pierwszoplanową bohaterką. Ale pierwsze wejścia na oddziały onkologiczne, do poszczególnych sal, były dla mnie dramatem. Powiedzieć, że serce mi krwawiło, to nic nie powiedzieć. Zawsze mówiłam – kiedy pytano mnie, dlaczego z takim oddaniem pracuję jako wolontariuszka, dlaczego wpłacam moje honoraria na konto fundacji, dlaczego zadecydowałam, że nikt z rady fundacji, nikt z osób, które współpracują z nami, nie pobiera żadnego wynagrodzenia – że to jest podziękowanie za mój dobry los. Mam zdrowe dziecko, które ma możliwość dokonywania dowolnych wyborów. Może robić, co tylko jej się zamarzy. A przecież istnieje tyle rodzin i tyle dzieci, które mają tak wiele ograniczeń już na starcie…

To dla mnie straszne, więcej niż straszne, kiedy niemowlę ma białaczkę. A walka rodziców od pierwszych dni, żeby dzieciątko przeżyło, to kompletny heroizm. Tyle razy zdarzyło mi się pomyśleć: jestem szczęśliwą osobą, mam szczęśliwą i generalnie zdrową rodzinę – choć przecież wiadomo, różnie to bywa, nas także nie omijały i nie omijają choroby. Ale w momencie, kiedy podejmowałam decyzję o założeniu fundacji, myślałam prostolinijnie: jestem szczęściarą i będę robiła wszystko, żeby w Polsce przeszczepów szpiku kostnego mogło być jak najwięcej. Żeby nie było sytuacji, w których trzeba zbierać gigantyczne pieniądze i organizować transplantację gdzieś na świecie. A ponieważ o przeszczepach chciałam dowiedzieć się jak najwięcej, to w końcu usłyszałam, że u nas jest bardzo niewiele osób zarejestrowanych w banku dawców szpiku kostnego.

Więc pani prezydentowa sama się zarejestrowała – w kwietniu 2000 r.

– Tak, zgłosiłam się, nie mogło być przecież inaczej. Byłam młodą osobą, miałam 45 lat, piękny wiek. Pamiętam, że byłam w Klinice Hematologii i Transplantacji Szpiku Kostnego w Katowicach, oddawałam krew przed kamerami, zrobiło się z tego wielkie wydarzenie. Chciałam namówić Polaków, żeby się rejestrowali, bo im więcej szpiku, tym większa zgodność, lecz my kupowaliśmy go w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych. A to oczywiste, że największa zgodność będzie w tym kraju, w którym dokonuje się przeszczepu.

Państwo wymusza ciągłe udowadnianie, że ktoś nie jest w stanie samodzielnie funkcjonować, że nie radzi sobie bez opieki.

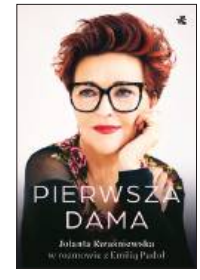

Fragmenty książki *Pierwsza dama. Jolanta Kwaśniewska w rozmowie z Emilią Padoł*, W.A.B., Warszawa 2024

FOT. TOMASZ URBANEK/EAST NEWS, PRZEMEK ŚWIDERSKI/ REPORTER

eprasa.pl c938a05b9e

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Antydemokratyczny kapitalizm totalny

Z zafascynowaniem obserwuję sytuację w USA, kraj ten bowiem stanowi dziś swoiste laboratorium polityczno-ekonomiczne. Dla kogoś takiego jak ja, zajmującego się zawodowo ideami politycznymi, gratka to nie lada. Oto po raz kolejny w dziejach próbuje się wprowadzić w życie pomysły, które dotąd były jedynie projektami filozoficznymi.

Chodzi mi o anarchokapitalizm, bliski ideowo skrajnemu liberalizmowi (libertarianizmowi). Wymyślony, a także, w Ameryce w XIX w. i lansowany wtedy przez mało znanych filozofów, uważanych za dziwaków. W wieku XX ich idee były odgrzewane przez wielu amerykańskich intelektualistów, ze szczególnie wpływową pisarką i filozofką Ayn Rand na czele. Nietraktowane nigdy serio przez główny nurt ideowy w Stanach, przesunęły się nagle z marginesu do centrum, a stało się to możliwe także za sprawą neoliberalizmu w polityczno-ekonomicznym wydaniu Ronalda Reagana i Margaret Thatcher. To poprzez ich działania doszło do spuszczenia kapitalizmu ze smyczy. A teraz prezydent Trump przy pomocy Elona Muska i innych baronów z Doliny Krzemowej próbuje ten proces uwalniania się kapitalizmu od wszelkich regulacji prawnych doprowadzić do końca.

Głównym założeniem anarchokapitalizmu jest teza, że państwo z definicji jest złe i należy je albo zlikwidować, albo przynajmniej maksymalnie osłabić i przechwycić. Wszystko po to, aby zatriumfować mógł totalny kapitalizm. Przez totalność rozumiem tutaj objęcie logiką wymiany wolnorynkowej całości życia społecznego, a nawet prywatnego jednostek. Wtrącanie się państwa w ową logikę, dokonujące się np. za pomocą regulacji prawnych, uznaje się za szkodliwe. Z definicji złe jest także obejmowanie przez państwo opieką tych, którzy w grze rynkowej się nie odnajdują albo ponoszą w niej klęskę.

Drugą stroną anarchokapitalizmu jest zatem socjaldarwinizm, przekonanie, że tylko silni powinni przetrwać, a słabi muszą iść na dno. Anarchokapitalizm to pochwała brutalności i walki jako sposobu na zapewnienie dobrobytu klasie zwycięzców oraz wymierzenie jakoby sprawiedliwej kary klasie przegranych (i jedni, i drudzy rzekomo są kowalami swojego losu – bajka opowiadana przez ideologów kapitalizmu od jego początków). Nie ma tu miejsca dla żadnych sentymentów, a tym bardziej dla zrozumienia uwarunkowań zewnętrznych sukcesów i porażek, takich jak miejsce urodzenia, pochodzenie, stan zdrowia, dziedziczenie majątku. To skrajnie prymitywna, wręcz prostacka filozofia, stawiająca na piedestale kapitalistycznych „nadludzi" i programowo gardząca przegranymi. Wynosząca butę i chamstwo do poziomu cnót, a solidarność między ludźmi i chęć pomocy widząca jako wady i słabości. Chwaląca egoizm i chciwość. To odrażające moralnie odwrócenie znaków wszystkich tradycyjnych wartości – pochwała tego, co przez wieki słusznie uchodziło za zło, i potępienie tego, co słusznie uchodziło za dobro. Jej wyznawanie nie przypadkiem wiąże się z osobowościami psychopatycznymi i socjopatycznymi. Niech nas zatem nie dziwi dziwaczne zachowanie Elona Muska czy innych baronów z Doliny Krzemowej.

Najgorsze jest jednak co innego. Oto kapitalizm totalny w wydaniu Muska czy Petera Thiela, miliardera, niezwykle wpływowego libertarianina z Doliny Krzemowej (to on powiedział: „Nie wierzę już, że wolność i demokracja mogą iść w parze"), jedynie mały krok dzieli od totalitaryzmu.

Brednią jest bowiem przekonanie, tak typowe dla większości liberałów, że kapitalizm idzie ręka w rękę z demokracją. Nic podobnego. Dla kapitalizmu totalnego demokracja jest przeszkodą. W wyniku jej wyroków władza ekonomiczna, tradycyjnie zamieniana na polityczną (vide Musk i inni miliarderzy), może bowiem zostać zagrożona. Trzeba więc pozbyć się demokracji, najlepiej na zawsze. Dlatego nieuchronną konsekwencją kapitalizmu totalnego jest staczanie się w kierunku totalitaryzmu.

Przykładem owej totalitaryzacji kapitalizmu jest powstanie „kapitalizmu inwigilacji" (wyrażenie amerykańskiej politolożki Shoshany Zuboff), w obrębie którego każdy krok jednostki jest śledzony, aby skłonić ją do wyborów preferowanych przez Wielkich Manipulatorów, władców mediów (pseudo)społecznościowych. To atmosfera zastraszenia i bezwzględności rodząca się dziś w Ameryce. To chęć likwidacji niezależnych mediów, zdobycia monopolu ideowego i skłonienia wszystkich do tego, aby uznali kapłanów kapitalizmu totalnego za zbawicieli ludzkości. To wreszcie typowy dla wszelkich totalitaryzmów kult jednostki obdarzanej boską czcią i uznawanej za cudotwórcę.

Wszystko to obserwujemy w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych. Niezwykły to paradoks, że kraj uznawany za wcielenie ideałów demokracji wyznacza ścieżki nowego totalitaryzmu. I staje się wzorem dla każdego, kto marzy o połączeniu totalnego kapitalizmu z zamordystycznymi rządami. Nie muszę nikogo przekonywać, że nie brakuje takich ludzi ani w Europie, ani w Polsce. A wszystko to odbywa się pod sztandarem wolności. Zaiste, wspaniała to wolność, która prowadzi do powszechnego zniewolenia. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c938a05b9e

Niechciane dziedzictwo lewicy

Polska lewica padła ofiarą wielkiej socjotechnicznej operacji narzucenia społeczeństwu antykomunistycznej i klerykalnej świadomości narodowej

Paweł Siergiejczyk

35 lat temu Polska Zjednoczona Partia Robotnicza przeszła do historii. Obradujący wtedy w warszawskiej Sali Kongresowej XI Zjazd PZPR 29 stycznia 1990 r. zdecydował o rozwiązaniu partii, która rządziła Polską przez ponad cztery dekady. W jej miejsce utworzono tego samego dnia nowe ugrupowanie, o bardzo wymownej nazwie: Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej. Z jednej strony, wybrano zatem drogę demokratycznej lewicy zachodnioeuropejskiej, ostatecznie żegnając się z bankrutującą radziecką wersją ruchu komunistycznego, a z drugiej – w nazwie partii uwzględniono nową (choć jednocześnie dawną) nazwę państwa polskiego, wprowadzoną zaledwie kilka tygodni wcześniej do konstytucji. Tym symbolicznym gestem ludzie PZPR – a przynajmniej ich najaktywniejsza część – przeszli z PRL do III RP. I tak jak nigdy nie zdradzili Polski Ludowej, uważając ją za jedyne państwo polskie, które w powojennym świecie mogło istnieć, pozostali wierni III Rzeczypospolitej, choć większość jej elit nimi pogardzała i do dziś pogardza.

35 lat temu Polska Zjednoczona Partia Robotnicza przeszła do historii.

Nieuchronne

To, co wydarzyło się w styczniu 1990 r., było nieuchronne. PZPR była formą organizacyjną polskiej lewicy w epoce dominacji radzieckiej nad wschodnią częścią Europy. A ponieważ dominacja ta narzucała system autorytarnej władzy jednej partii głoszącej „jedynie słuszną" ideologię (w Polsce i tak znacznie złagodzony istnieniem ZSL i Stronnictwa Demokratycznego oraz stowarzyszeń katolickich), to w praktyce PZPR stała się partią wewnętrznie pluralistyczną. Dawała przestrzeń aktywności ludziom o różnych poglądach – od skrajnie lewicowych po skrajnie prawicowe, wskutek czego przez jej szeregi przechodzili zarówno (nieliczni co prawda) wyznawcy Trockiego, jak i (znacznie liczniejsi) wyznawcy Dmowskiego.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że zdecydowana większość członków rozwiązanej PZPR nie przystąpiła do SdRP. Nurt socjaldemokratyczny istniał w partii rządzącej Polską Ludową właściwie zawsze – wszak PZPR powstała w grudniu 1948 r. z połączenia komunistów z PPR i socjaldemokratów z PPS. I trudno byłoby udowodnić, że tacy ludzie jak Józef Cyrankiewicz, Adam Rapacki czy Henryk Jabłoński nagle stali się komunistami tylko dlatego, że zmienili legitymację partyjną. Socjaldemokratów w PZPR nie brakowało nigdy, tyle że mieli do wyboru dwie drogi. Jedni – jak prof. Edward Lipiński czy Jan Strzelecki – w latach 70. porzucali partię, wiążąc się z opozycją. Drudzy zostali w partii do końca, a w latach 80. stanowili nieraz intelektualne zaplecze ekipy gen. Jaruzelskiego. Mowa o takich ludziach jak prof. Jerzy J. Wiatr, prof. Andrzej Werblan, prof. Hieronim Kubiak czy Mieczysław F. Rakowski, których na Kremlu traktowano jako „socjaldemokratów" właśnie – przy czym to słowo na łamach moskiewskiej „Prawdy" oznaczało skrajny brak zaufania.

Socjaldemokracja była bowiem tym nurtem światowej lewicy, który odniósł sukces, szczególnie w zachodniej Europie, gdzie po wojnie udało się jej przedstawicielom połączyć ekonomiczną wydajność kapitalizmu z autentycznym awansem socjalnym i kulturowym ludzi pracy, dokonującym się w ramach sprawnie działającego „państwa opiekuńczego". Nic dziwnego, że będący w coraz gorszym stanie system radziecki widział w socjaldemokracji głównego konkurenta, podejrzenie zaś o sympatie socjaldemokratyczne nie ułatwiało kariery w PZPR.

Lewica stanie twardo na nogi

Przez wiele lat doświadczał tego Rakowski, którego droga polityczna w PRL była wyboista. Jako redaktor naczelny tygodnika „Polityka", w niczym nieprzypominającego nudnego organu partyjnego, a także człowiek świetnie mówiący po angielsku i niemiecku oraz mający dobre kontakty w zachodnich elitach (zwłaszcza w niemieckiej SPD) pierwszą ważną funkcję – wicepremiera – objął dopiero w wieku 55 lat. Premierem został siedem lat później, na czele partii zaś mógł stanąć dopiero w lipcu 1989 r., po wyborze gen. Jaruzelskiego na prezydenta. Tyle że wtedy była to już partia, która faktycznie przegrała wybory i traciła władzę, więc Rakowskiemu pozostało odegrać rolę grabarza PZPR. Lecz to on stał się jednocześnie akuszerem nowej polskiej lewicy, choć nie było mu dane stanąć na czele

eprasa.pl c938a05b9e

Aleksander Kwaśniewski i premier Mieczysław Rakowski. Rada Ministrów, 1 kwietnia 1989 r.

SdRP. Ta rola przypadła działaczom młodszego pokolenia, którym ostatni I sekretarz KC przekazał pałeczkę w lewicowej sztafecie.

W dzienniku pod datą 29 stycznia 1990 r. Rakowski zanotował: „Późnym wieczorem kongres zakończył swoje obrady. Sala Kongresowa opustoszała. Byliśmy zmęczeni, bo przecież nie był to łatwy dzień. Mimo to odczuwaliśmy potrzebę porozmawiania o tym, co działo się na sali. Ktoś zaproponował szklaneczkę whisky. Na zapleczu sceny stał fortepian. Stanęliśmy przy nim. Olek, Leszek, Marek Ungier, Marek Siwiec i ja, ale nie na długo. Żegnając się, powiedziałem: no, chłopy, za wasze zdrowie i powodzenie. Za dziesięć, piętnaście lat lewica stanie twardo na nogi".

Rakowski oczywiście się pomylił. Nie minęły bowiem nawet cztery lata, jak ludzie dawnej PZPR wrócili do władzy. Zawiązany przed wyborami do Sejmu I kadencji wokół SdRP Sojusz Lewicy Demokratycznej już wtedy, w październiku 1991 r., okazał się drugą siłą na scenie politycznej, a we wrześniu 1993 r. wygrał wybory, tworząc rząd w koalicji z PSL. Najwyższym stanowiskiem państwowym, jakie wówczas objął przedstawiciel lewicy, był marszałek Sejmu – został nim Józef Oleksy (warto zauważyć, że w XX w. ten urząd sprawowało tylko dwóch polityków lewicowych: Ignacy Daszyński w latach 1928-1930 i właśnie Oleksy w latach 1993-1995). Przełomowy był rok 1995, gdy III RP najpierw doczekała się pierwszego od czasów Rakowskiego lewicowego premiera – tego samego Józefa Oleksego, którego po roku zastąpił Włodzimierz Cimoszewicz – a niedługo potem pierwszego (i jedynego) prezydenta z SLD, Aleksandra Kwaśniewskiego. Do tego zbioru liderów lewicy z pokolenia urodzonego niedługo po wojnie trzeba dodać oczywiście Leszka Millera, który na swoją szansę czekał nieco dłużej: przewodniczącym partii został w 1997 r. (jako trzeci – po Kwaśniewskim i Oleksym), a szefem rządu dopiero w 2001 r.

29 stycznia 1990 r. XI Zjazd PZPR zdecydował o rozwiązaniu tej partii, rządzącej Polską przez ponad cztery dekady.

Z takim kwartetem świetnych i zgodnie współpracujących liderów – Kwaśniewskim, Millerem, Oleksym i Cimoszewiczem – lewica stanowiła wyjątek na scenie politycznej w pierwszej dekadzie III RP. Pozostałe ugrupowania, zwłaszcza o rodowodzie solidarnościowym, miały zwykle charakter wodzowski, przez co łatwo dochodziło w nich do rozłamów i równie łatwo konfliktowały się z innymi partiami. Nie mogła sobie na to pozwolić lewica jako formacja przez długi czas izolowana przez środowiska solidarnościowe. Tylko zewnętrzna jedność i wewnętrzna współpraca umożliwiły czołówce SLD odnoszenie kolejnych sukcesów wyborczych, których miarą był ciągle rosnący odsetek głosów w wyborach do Sejmu: od 12% w 1991 r., przez 20% w 1993 r. i 27% w 1997 r., aż po 41% w 2001 r.

Między tymi datami rozciąga się „złota dekada" polskiej lewicy, której ważnymi momentami były dwa sukcesy prezydenckie Aleksandra Kwaśniewskiego: prawie 52% głosów w II turze wyborów z 1995 r. i niemal 54% w I turze z 2000 r.

Ale nie tylko w kategoriach ilościowych można oceniać te najlepsze czasy SLD. W ostatnich dwóch dekadach swojego istnienia – czyli w czasach Gierka i Jaruzelskiego – PZPR z partii robotniczej przemieniała się w formację inteligencką. Szczególnie w młodszym pokoleniu działaczy partyjnych brak wyższego wykształcenia (a często pobytu na stypendiach zagranicznych) nie wchodził już w grę. Nic dziwnego zatem, że demokratyczna lewica po 1990 r. dysponowała najlepiej przygotowanymi merytorycznie kadrami, z którymi partie solidarnościowe nie mogły się równać.

Zresztą chodzi nie o samo formalne wykształcenie, lecz także o doświadczenie polityczne uzyskane w czasach PRL. Rządzenie niesuwerennym i niedemokratycznym, ale przecież realizującym interes narodowy państwem okazało się świetną szkołą realnej polityki, przez którą ludzie prowadzący zwykle nielegalną działalność opozycyjną wobec władz

FOT. LESZEK ŁOŻYŃSKI/REPORTER

eprasa.pl c938a05b9e

tego państwa nie przeszli. O ile opozycjoniści często żyli w świecie iluzji i przeświadczenia o własnej wyższości moralnej nad ludźmi władzy, o tyle ci drudzy musieli na co dzień mierzyć się ze społeczną, gospodarczą, prawną i – co najważniejsze – geopolityczną rzeczywistością Polski Ludowej. Dzięki temu doświadczeniu rządy SLD w latach 1993-2005 (przedzielone chaotycznymi rządami koalicji AWS-UW z lat 1997-2001) cechowały rozsądek, umiar, odpowiedzialność za państwo, umiejętność współpracy z innymi partiami i środowiskami, a to zaowocowało największymi sukcesami w historii III RP: wejściem Polski do Unii Europejskiej i NATO oraz uchwaleniem konstytucji.

Dziś przepowiednia Rakowskiego z 1990 r. brzmi jak gorzka ironia: „Za dziesięć, piętnaście lat lewica stanie twardo na nogi". Bo właśnie po 15 latach od jej wygłoszenia polska lewica znalazła się w kryzysie, z którego nie może wyjść do dziś. Po Kwaśniewskim żaden kandydat lewicy nie liczył się już na poważnie w wyborach prezydenckich: ani Marek Borowski w 2005 r., ani Grzegorz Napieralski w 2010 r. Z kolei wyniki dwojga ostatnich – Magdaleny Ogórek w 2015 r. i Roberta Biedronia w 2020 r. – są wyłącznie świadectwem kompromitacji tych, którzy ich wystawili. Nic nie wskazuje, by tegoroczne wybory mogły tę niechlubną passę przełamać.

Również wyniki innych wyborów, szczególnie parlamentarnych, sytuują lewicę coraz niżej. W 2005 r. SLD uzyskał 11% głosów, w 2007 r., idąc jako koalicja Lewica i Demokraci – 13%, w 2011 r. – zaledwie 8%, a w 2015 r. jako Zjednoczona Lewica – 7,5%, co oznaczało, że po raz pierwszy w powojennej Polsce lewica znalazła się poza Sejmem. Jej powrót po czterech latach nastąpił na poziomie 12,5%. Ale już w 2023 r. Nowa Lewica – która w międzyczasie zastąpiła „stary" SLD – uzyskała ledwo 8,6%. Liderzy tej formacji podkreślają wprawdzie, że taki wynik umożliwił po 18 latach powrót lewicy do rządu, tyle że jest to rząd o większości centroprawicowej, w którym ministrowie i wiceministrowie z Nowej Lewicy są kwiatkiem do kożucha. Zupełnie nie da się tego porównać z rolą PZPR w Polsce Ludowej ani z rolą SLD w pierwszym 15-leciu III RP.

Upadek

Czy upadek polskiej lewicy był nieunikniony? Tego pytania niemal nikt nie zadaje, a nawet jeśli zadaje, to odpowiedzi niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Trzeba bowiem zauważyć kolosalną zmianę, jaka nastąpiła pomiędzy latami 90. XX w. a pierwszym ćwierćwieczem naszego stulecia. Paradoksalnie w tym pierwszym okresie polskie społeczeństwo było znacznie mniej zainfekowane antykomunizmem i klerykalizmem niż dzisiaj, choć przecież wspomnienia czasów PRL były całkiem świeże, a przywiązanie Polaków do Kościoła silniejsze. Ale właśnie dlatego, że większość Polaków potrafiła trzeźwo spojrzeć na najnowszą historię i ocenić faktyczną rolę Kościoła, sukcesy antykomunistycznej i klerykalnej prawicy były ograniczone, SLD pod wodzą Kwaśniewskiego i Millera mógł zaś być autentyczną „partią ludu". To jednak zaczęło się zmieniać po 2000 r., gdy powstał Instytut Pamięci Narodowej – prawicowe „ministerstwo prawdy", którego celem od początku było nie tylko ukaranie prawdziwych bądź urojonych „zbrodni komunistycznych", lecz przede wszystkim ukształtowanie nowej świadomości Polaków, szczególnie tych, którzy nie mogą już pamiętać czasów sprzed 1989 r.

PZPR stała się partią wewnętrznie pluralistyczną. Dawała przestrzeń aktywności ludziom o różnych poglądach – od skrajnie lewicowych po skrajnie prawicowe.

Ćwierć wieku intensywnej działalności IPN, prowadzonej za gigantyczne pieniądze z budżetu państwa, przyniosło wymierne rezultaty. Obraz powojennego 45-lecia, który dominuje teraz w naszym społeczeństwie, przybrał rysy skrajnie karykaturalne, o czym może się przekonać każdy, kto ogląda polskie filmy czy seriale telewizyjne albo czyta książki bądź czasopisma historyczne. Ulegają temu również młode środowiska lewicowe (w rodzaju partii Razem, „Krytyki Politycznej" itd.), rytualnie odcinające się od dziedzictwa PZPR i SLD – tak jakby istniała tradycja jakiejś innej lewicy, która miała wpływ na losy Polski.

Także polski Kościół uczestniczy w skutecznym zafałszowywaniu własnej przeszłości, bezkrytycznie przyjmując IPN-owską wersję historii PRL, a skazując na zapomnienie realizm polityczny prymasów Wyszyńskiego i Glempa oraz papieża Wojtyły, którzy nigdy nie mieli oporów przed konstruktywną współpracą z rządzącymi Polską ludźmi PZPR i SLD.

Polska lewica padła więc ofiarą wielkiej socjotechnicznej operacji narzucenia społeczeństwu antykomunistycznej i klerykalnej świadomości narodowej. Coś, co było nie do pomyślenia w pierwszej dekadzie III RP, udało się w kolejnym ćwierćwieczu. To dlatego prezydentem od 10 lat może być ktoś tak mierny pod każdym względem jak Andrzej Duda. A realne szanse na zostanie jego następcą ma jeszcze bardziej prostacki krzykacz kierujący dziś IPN. Druga strona zaś nie ma odwagi, by używać innej retoryki – co najwyżej uprawia antykomunizm i klerykalizm bardziej stonowany, nie negując „jedynie słusznej" wizji polskości, którą produkuje IPN.

To oczywiste, że w tej wizji nie ma miejsca na żadną lewicę, a już na pewno nie na tę, która prowadziła najważniejsze sprawy państwa i narodu polskiego od zakończenia II wojny światowej do momentu wejścia Polski do UE. O jej dziedzictwo nikt nie ma odwagi się upomnieć.

Paweł Siergiejczyk

eprasa.pl c938a05b9e

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Rzeczpospolitomat SA

Po ośmiu latach w opozycji i wkrótce półtora roku rządów premier Donald Tusk wjechał na białym koniu zapowiedzi rozwojowych. „Polska. Rok przełomu". Dalej idą wielkie słowa: bezpieczeństwo, energia, deregulacja i inwestycje. Żeby nie było, padają ukonkretnienia: „Zainwestujemy w infrastrukturę kolejową, transportową, logistykę, CPK. Do roku 2037 przeznaczymy na polską kolej 180 mld zł". Elektrownie jądrowe. Jedna, jak mówi Tusk, „u mnie na Kaszubach". I giganty technologiczne: Google, Amazon, IBM i Microsoft. I zapowiedź uwolnienia jeszcze jednej, w mniemaniu premiera znaczącej energii: energii przedsiębiorców. Równocześnie pada rytualne zaklęcie neoliberalnej filozofii, która poza Polską przeszła do niechlubnego wspomnienia: „Deregulacja".

Deregulację jako hasło ekonomii politycznej wskrzesił ostatnio Donald Trump, wciągając do tej działalności miliardera nad miliarderami Elona Muska. Jaki kraj, taki Musk, Tusk wciąga na pokład Rafała Brzoskę, właściciela sieci paczkomatów InPost, wołając doń ze sceny: „Niech pan się za to weźmie" (za „deregulację"). Brzoska chętnie się weźmie, cały jego biznes to jedna wielka deregulacja, degeneracja – praw pracowniczych – oraz rozkwit cięcia kosztów pracowników. Podążanie za trendem jest proste, przekłada się też na to, że media korporacyjne łykają temat bez zbędnych pytań i wątpliwości – przecież wielki Trump tak robi, a najbogatszy z miliarderów chętnie zdereguluje.

I tak jak sam impuls rozwojowo-inwestycyjny jest zasadniczo dobrym krokiem (zauważcie, że nagle w świecie, gdzie „nie ma kasy", gdzie trzeba ciąć po najsłabszych, choćby po 800+ dla ukraińskich dzieciaków – nagle na pstryk jest 650 mld – dwa budżety roczne), ustawka z Brzoską i nawiązywanie w XXI w. do Chrobrego to jeden marny i wielki zarazem spektakl propagandowy. Rafał Brzoska, który jest symbolem i wzorcem wyzysku pracujących dla niego kurierów, nie ma ani kompetencji, ani interesu, żeby w jakiejkolwiek działalności dla „państwa" („regulacje wiodą wprost do katastrofy") zadbać o sprawy inne niż własne, własnej klasy i świata najbogatszych – nawet nie potrafi dostrzec innych potrzeb.

Wirus deregulacji jest niewykorzenionym nigdy elementem śmiertelnej choroby zwanej kapitalizmem, szczególnie w wersji neoliberalnej. Dbałość ludzi doglądających wyłącznie własnych pieniędzy (plus żona zajmująca się charytatywnością jako listek figowy) o finanse państwa, czyli publiczne, zawsze kończy się tak samo – więcej pieniędzy państwa popłynie do kieszeni „deregulatorów", a dla słabych, uboższych po prostu potem nie starczy. Bo przecież tak to działa: bogatym więcej bogactwa, biednym – więcej biedy, tak wszyscy mają więcej, nieprawdaż? Wypuszczony z dzbana ekonomicznej historii dżin deregulacji nigdy nie ma wymiaru pro publico. Jest zaklęciem, jest zasłoną dymną, jest zabobonem i, co najśmieszniejsze, z powodu udawanej racjonalności zdobywa wsparcie także tych, którzy na tym stracą, bo przecież nie są Brzoskami, Muskami. W USA już ogromne grupy społeczne, które w dużej mierze umościły swoimi głosami Trumpa w Białym Domu (np. rolnicy), zaczynają odczuwać skutki jego ideologicznej dekretozy.

Nie chcę tu wygłosić jakiejś pochwały biurokracji, nadprodukcji przepisów, gąszczu regulacji. Są one zresztą często tworzone po to, aby w nich ukryć tych kilka słów albo tylko przecinków, które dla kogoś konkretnego okażą się żyłą złota. Jeśli zatem istnieje uzasadniona potrzeba uproszczenia procedur, to po prostu nie powinien tego robić ktoś, kto raczej dostrzeże i wykorzysta szansę zrobienia dobrze swoim interesom.

Nie wiedzieć czemu ludzie zamożni, szczególnie nieprzyzwoicie bogaci, dostają jakiś niewidoczny dyplom czy glejt kompetencyjny. Stają się z racji zasobności konta ekspertami, specjalistami, autorytetami. Ich kompetencje (jeśli w ogóle jakieś mają) są najczęściej bardzo wąskiej natury, wycinkowe i skupione na przynoszeniu im korzyści. To nie są umiejętności czy wiedza, które w jakimkolwiek stopniu pozwalałyby im podejmować decyzje czy nawet określać pole koniecznych „deregulacji".

W świecie współczesnego kapitalizmu rodzi się jakaś nowa algebra kompetencji: zarobił – zna się. Ma miliardy – przecież nie może być głupcem. Do podejmowania istotnych dla funkcjonowania państwa decyzji naprawdę nie wystarczy kumulowanie majątku na boksach na przesyłki i stosunkowo sprawnie działającej aplikacji. Państwo to nie paczkomat ani nie bankomat dla posiadacza sieci paczkomatów.

W tej całej opowieści chodzi nawet nie o samego Brzoskę, bardziej o symboliczną rolę, w której chciałby go obsadzić szef rządu. Może nie trzeba było przez lata zabijać ideału i statusu funkcjonowania służby publicznej? Bo to jest dla niej właśnie zadanie. Ale teraz jeszcze zwolni się 8 tys. pracowników Poczty Polskiej i Brzoska pomoże im zostać ajentami Żabki.

Taki mamy czas: Polska – kraj między paczkomatem a Żabką. No, przełom jak Missisipi ogromny. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c938a05b9e

Tomasz Miłkowski

Dośpiewanie

PARADA RÓL

Czyli sceniczne autoportrety Jana Peszka

Rzadko się zdarza, by aktorzy sami siebie portretowali na scenie. U malarzy to chleb powszedni, można przywołać setki, ba, tysiące autoportretów. Z aktorami rzecz inna – nader rzadko demaskują się na scenie. Raczej ukrywają się za maskami.

Przypomnieć można zaledwie kilka takich przypadków. Przed laty Nina Andrycz z okazji 65-lecia pracy scenicznej wystawiła w Teatrze Polskim w Warszawie monodram „Lustro" (współautor Andrzej Kondratiuk, reż. Tomasz Zygadło, 2000), w którym zagrała samą siebie. W roku 2024 Henryk Talar zaprosił do tego samego teatru na czytanie „78 lat i co nieco wincyj", monodramu jego córki Zuzanny Talar-Sulowskiej, którego bohaterem był on sam ze swoimi teatralnymi losami. Pewnie jeszcze kogoś można by dołączyć do tej reprezentacji aktorskich autoportretów, ale i tak nikt nie dorówna Janowi Peszkowi, który aż trzykrotnie podjął próbę stworzenia swojego portretu scenicznego.

Pierwsze było „Dośpiewanie", miało charakter spektaklu autorskiego, choć z udziałem reżysera Cezarego Tomaszewskiego. Następne, „Serce ze szkła" i „Sztuka wywiadu", powstały z okazji 80. urodzin artysty we współpracy z jego dziećmi, Marią i Błażejem Peszkami.

Premiera spektaklu „Dośpiewanie. Autobiografia" według konceptu i w reżyserii Cezarego Tomaszewskiego na podstawie materiału biograficznego aktora miała miejsce na Scenie Kameralnej Starego Teatru (2014). Trudno wyobrazić sobie „Dośpiewanie" bez „Scenariusza dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego" Bogusława Schaeffera. Nie przypadkiem Jan Peszek grywał te monodramy jednego wieczoru, nie ukrywając, jak głębokie inspiracje wiążą nowy monodram z tym „odwiecznym", który pozostaje w jego repertuarze od roku 1976!

Gdyby nie tekst Schaeffera, co aktor wielokrotnie potwierdzał, nigdy nie przyszłoby mu do głowy występować solo (stąd i tytuł dyptyku: „Podwójne solo"). O ile jednak „Scenariusz" nie jest tekstem własnym, choć został usynowiony przez aktora, o tyle nowy monodram wywodził się wprost z ważnych dla Peszka momentów w życiu osobistym i artystycznym. Toteż „Wariacje Goldbergowskie" Jana Sebastiana Bacha w porywającym wykonaniu Glenna Goulda, które stanowią muzyczne spoiwo monodramu, są przez aktora dośpiewywane w postaci fragmentów z biografii. Dośpiewania mają charakter nietypowy, bo to wykonania eksperymentalne, będące świadectwem poszukiwania muzycznych ekwiwalentów dla epizodów z życia.

Sam tekst również podlega transformacjom melodycznym za sprawą barwy, tempa, rytmu, głośności i dodatkowych efektów odkształcających „zwykłe" wypowiadanie tekstu. Peszek objawia w ten sposób nieskończenie wielkie możliwości plastycznego formowania dźwięku, budowania muzyki z pauz i głosu aktora. Towarzyszą temu działania

eprasa.pl c938a05b9e

Serce ze szkła

Sztuka wywiadu

plastyczne, zsynchronizowane z treścią opisywanego epizodu. Jednym z nich jest przywołane zabawne zdarzenie, kiedy Peszek, dostawszy się dzięki aktywności w sławnym krakowskim zespole MW2 (Młodzi Wykonawcy Muzyki Współczesnej) na warsztaty do Johna Cage'a, nie poddał się poleceniu obnażenia. Pozostali uczestnicy stanęli jak ich bóg stworzył, a Peszek pozostał w bieliźnie. Zaciekawiony Cage zapytał go, z jakiego kraju przybył. „Z Polski", odparł bez lęku aktor. „Aaa...", pokiwał głową ze zrozumieniem sławny kompozytor.

Takie to epizody przywołuje na świadków życiowej wędrówki, przede wszystkim demonstrując biegłość techniczną i zdumiewającą formę wykonania. „Dośpiewanie" Peszek przygotował z myślą o 50-leciu pracy artystycznej. Zamiast laudacji, listów gratulacyjnych i typowych jubileuszowych egzekwii zagrał spektakl potwierdzający najwyższą klasę aktorską. „Życie mi smakuje – komentował go w rozmowie z Łukaszem Maciejewskim – cieszy, rzadko przeraża. To uwielbienie życia, w całej jego rozmaitości, przejąłem zapewne od tych najważniejszych: dziadków, rodziców". Spektakl potwierdzał siłę tego zachwycenia.

•

Nad kolejnym autoportretem Jana Peszka, „Serce ze szkła. Musical zen", znowu czuwał Cezary Tomaszewski jako reżyser i autor ruchu scenicznego (koprodukcja Teatru Studio i Teatru Słowackiego, premiera warszawska 19 kwietnia 2024 r.). Spektakl inspirowany był baśnią Hansa Christiana Andersena „Królowa Śniegu" i książką „Naku*wiam zen" Marii Peszek.

Tytuł przedstawienia pasował jak ulał. Trudno byłoby znaleźć lepszy dla tej opowieści o czymś tak kruchym jak teatr i miłość. Musical powstał bowiem z niepokoju, który wywołują dręczące artystów pytania: czy aktor potrafi naprawdę kochać (skoro wciąż udaje i wszystko poświęca dla teatru?), czy można znaleźć spełnienie w sztuce niosącej tyle ryzyka?

Aktorzy nader rzadko demaskują się na scenie. Raczej ukrywają się za maskami.

Nałożenie formy baśniowej na osobiste wspomnienia, często o charakterze manifestu, opisujące doświadczenia rodziny artystycznej Peszków, nadało wymiar poetycki historii relacji w ich rodzinie. Prawdy, wiarygodności tego przekazu pilnują sami bohaterowie, występujący w głównych rolach Maria i Jan Peszkowie, odważnie mierzący się z przeszłością. Czasem ich opowieść zmierza wprost ku bolesnym doświadczeniom artysty – tego dotyczy cała sekwencja wspomnieniowa związana z łódzkim okresem teatralnym aktora, który trzymany przez kilka lat w zamrażalniku przez Kazimierza Dejmka usychał jako artysta i marniał jako człowiek. Swego rodzaju odwetem za te lata poniżenia jest pełna goryczy pieśń „Pan

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, MAGDA HUECKEL, NATALIA KABANOW

eprasa.pl c938a05b9e

jest ch...” adresowana do byłego dyrektora.

Niekiedy opowieść przeistacza się w deklarację ideową, kiedy dialogujący Peszkowie atakują skamieliny myślowe hierarchów katolickich i Jana Pawła II, wskazując ich jako głównych hamulcowych koniecznych przemian myślowych i obyczajowych. Te wszystkie miejsca trudne, bolesne, a piekielnie ważne dla bohaterów (i Polski) okala warstwa muzyki i śpiewu – teren, na którym Maria Peszek czuje się królową. I tak się dzieje na scenie Studia, na której cały zespół pracuje na sukces bohaterów, odsłaniających swój prywatny świat, aby opowiedzieć, jak oczyszczającą siłę ma prawda i potrzeba bliskości.

•

Najnowszy autoportret sceniczny Jana Peszka to „Sztuka wywiadu” Jarosława Mikołajewskiego. Nie tylko tytułem nawiązuje do „Sztuki intonacji” Tadeusza Słobodzianka. Obaj autorzy próbują zgłębić fenomen teatru. Słobodzianek bada pasje teatralne luminarzy europejskiego teatru XX w., szczególnie polskiego, Grotowskiego przede wszystkim, a w pozostałych dramatach o tej tematyce (tzw. dramatach otwockich) całej grupy koryfeuszy polskich scen. Mikołajewski skupia uwagę na fenomenie aktorstwa, poddając analizie sztukę Jana Peszka. Rzecz ma przy tym wymiar szczególny, bo w scenariuszu napisanym specjalnie dla aktora, z myślą o jego jubileuszu, w głównej roli egotycznego i unikającego kontaktu z dziennikarzami artysty występuje sam jubilat. Wprawdzie w sztuce wyreżyserowanej w Teatrze Polonia przez jego syna Błażeja ani razu nie pada nazwisko Peszka, ale wątpliwości rozprasza tekst, w którym aż rojno od nawiązań, cytatów, odprysków jego sławnych ról, w tym „Scenariusza dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego” i roli tytułowej w dramacie Thomasa Bernharda „Minetti. Portret artysty z czasów starości”. Pojawiają się też fragmenty innych utworów: „Sanatorium pod klepsydrą” Schulza, „Matki” Witkacego, „Trans-Atlantyku” Gombrowicza, „Scenariusza dla trzech aktorów” Schaeffera czy dramatów Szekspira.

Akcja zawiązuje się tu z pewnym trudem. Dość długo główny bohater pozostaje za kulisami, przybyłej dziennikarce (Maria Seweryn) nieobecność tłumaczy obyczajami artysty jego żona (Małgorzata Zajączkowska). Kiedy jednak się pojawi, to na początku po to, aby dać wyraz nieprzepartej niechęci do udzielania wywiadów i niewierze w sens ich udzielania. Artysta nie dostrzega w nich możliwości dotarcia do sedna tego, o czym myśli, czego pragnie, czym żyje bohater wywiadu. W rezultacie zamiast pogłębionych psychologicznie portretów powstają nic nieznaczące teksty, w istocie fałszujące myśli bohatera wywiadu.

Kiedy dziennikarka gotowa jest zrezygnować, bohater wywiadu potwierdza gotowość wywiązania się z obietnicy i, jak wkrótce się okaże, to właściwie on poszukuje odpowiedzi na pytanie, co począć ze swoim życiem. Czuje się bezradny i prosi o pomoc, wielokrotnie powtarza: „Niech mnie pani ratuje”.

W ten sposób Mikołajewski odsłania mroczną stronę zawodu i kariery opromienionej niepoliczonymi sukcesami, które okupione zostały uciążliwymi próbami, lękami, zwątpieniem w trafność obranej drogi, stanem bliskim nerwicy czy depresji.

Tak dochodzi do teatralnej wiwisekcji, do parady ról Jana Peszka, które odgrywa on przed dziennikarką, nie pomijając odważnych przebieranek. To w pewnym sensie popisowa część spektaklu, granicząca z ekshibicjonizmem, swego rodzaju rewia aktorskich możliwości. Peszek pokazuje, jak używa tego instrumentu, którym jest jego ciało i myśl. Ta niespodziewana otwartość wobec dziennikarki następuje z chwilą, kiedy przekonuje się on, że ma do czynienia nie z „gazetowym wampirem”, ale z kimś, kto z wrażliwością chce zrozumieć drugiego człowieka.

Takie właśnie są te próby mierzenia się artysty ze swoim wizerunkiem i stworzenia autoportretu, który byłby czymś więcej niż tylko okolicznościowym plakatem.

Tomasz Miłkowski

Życie mi smakuje, cieszy, rzadko przeraża. To uwielbienie życia przejąłem zapewne od tych najważniejszych: dziadków, rodziców.

eprasa.pl c938a05b9e

KURTYNA W GÓRĘ

Przed ostatnim tchnieniem

To spektakl o żegnaniu się ze światem. W ledwo tlącej się świadomości umierającego pojawia się żona. Żeby się pożegnać, policzyć, pocieszyć, pozbawić złudzeń? Sztukę napisaną specjalnie przez Serge'a Kribusa dla Daniela Olbrychskiego ogląda się w napięciu. Małżonkowie, odchodzący Abrasza i duch (?) zmarłej Rosy, pozostają w ciągłym zwarciu, w amplitudzie uczuć między tkliwością a niechęcią. Jadwiga Jankowska-Cieślak, w żałobnej garsonce, w kapelusiku z woalką, i Daniel Olbrychski, w usmolonym szlafroku i flejtuchowatej piżamie, grają jak natchnieni.

Serge Kribus, „Przebłyski", tłumaczenie Bogusława Frosztęga, reżyseria Agata Duda-Gracz, Teatr Collegium Nobilium w Warszawie, premiera 31 stycznia 2025

Porachunki z życiem i śmiercią, prześladowcza trauma Abraszy, którego rodzina podzieliła los milionów Żydów zamordowanych przez Niemców, dystans i czułość żony, ale także jej nieprzejednanie, kiedy wstępuje w nią dybuk ojca Abraszy, budzą współczucie, trwogę, a czasem i uśmiech. Rosa jest lekka jak motyl, krucha jak domek z kart, wydaje się, że za lada powiewem zniknie. Abrasza swoimi pretensjami do świata zalewa scenę. To walka niespożyta, ale i miłość, która w sposób przedziwny i niemożliwy rozkwita na chwilę w fenomenalnej scenie łóżkowej, gdy uwodzicielskie zabiegi obojga mieszają się z niechęcią i rozczarowaniem.

Piękne przedstawienie, wysmakowane estetycznie, z fascynującą jazzową ilustracją muzyczną, wokalizami Mai Kleszcz i gitarą Wojciecha Krzaka. Para muzyków partneruje aktorom, to ich odbicia, powidoki, projekcje życia po życiu. Poetycki nastrój buduje scenografia (dzieło reżyserki Agaty Dudy-Gracz). Jej tajemniczą aurę wzmacnia precyzyjna gra świateł wydobywająca detale scenicznej akcji, a także wisząca nad sceną czarna koza, znak złego dziedzictwa, z którym zmaga się Abrasza. Mądre przedstawienie o trudzie odchodzenia, o przebłyskach postrzeganych przed ostatnim tchnieniem.

Tomasz Miłkowski

Dworek w Drugiej Strefie

Dyrektor Teatru Druga Strefa wyreżyserował dramat Witkacego „W małym dworku" ze smakiem i rozmachem. Choć miał do dyspozycji aktorów nieprofesjonalnych, studentów i absolwentów Uniwersytetu Warszawskiego, poprowadził ich pewną ręką. Każda z 10 postaci jest na swój sposób śmieszna, zarazem czujemy w tych rolach witkacowski absurd. Pomaga w tym doskonała muzyka, też jakby z rodowodem Witkiewicza, a w ostatniej scenie wszyscy mówią jednym głosem.

Bronisław Tumiłowicz

Stanisław Ignacy Witkiewicz, „W małym dworku", reżyseria Sylwester Biraga, Teatr Hybrydy Uniwersytetu Warszawskiego na scenie Teatru Druga Strefa, premiera 31 stycznia 2025

MIĘDZY OKŁADKAMI

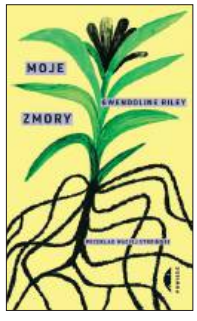

Gwendoline Riley
Moje zmory
tłum. Maciej Stroiński
Czarne, Wołowiec 2025

Dorosła córka zatapia się w poszukiwaniach prawdy o matce, zastanawiając się, kim ona w istocie była. Czy niepoprawną marzycielką, tajemniczą, zdystansowaną ekscentryczką, czy może samotną duszą, zawsze pragnącą więcej, niż mogło jej dać życie? Mimo że Bridget usiłuje ostatecznie rozwiać cienie przeszłości i definitywnie pożegnać bolesne wspomnienia, kolejne, nieprzewidywalne wybryki matki na nowo budzą echa jej młodzieńczych zmagań. „Moje zmory" to mocna, celna proza, która dotyka do żywego. To powieść zarówno błyskotliwa, jak i mroczna. Działa jak wstrząs.

Rafał Pikuła

Sławomir Pietras
Alfabet dla zaawansowanych
MultArt, Warszawa 2024

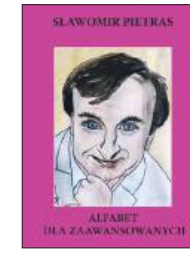

W kolekcji książkowych alfabetów ten, który napisał Sławomir Pietras, powinien obejmować artystów. Autor będący dyrektorem po kolei większości polskich teatrów operowych napotkał na swej drodze setki, jeśli nie tysiące śpiewaków i tancerzy. Jednak są w tym tomie także sylwetki przedstawicieli innych profesji. Jest kilku prezydentów Rzeczypospolitej, są posłowie, jest jeden papież, kilku biskupów, kilku redaktorów, doradca prezydentów USA, paru słynnych reżyserów i aktorów, jedna milionerka i jedna noblistka.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. GRAŻYNA GUDEJKO, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl c938a05b9e

Polaków współczucie warunkowe

Kobiety ze środowisk górniczych mają głos i swoją historię

Monika Glosowitz (druga z lewej) oraz bohaterki jej książki i projektu: Aleksandra Abdul-Razak, Gabriela Gizdoń, Barbara Goczał-Ptak i Maria Mazur.

DR MONIKA GLOSOWITZ
– literaturoznawczyni, krytyczka literacka (Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Śląskiego). Córka górnika, wnuczka górników. Pod jej redakcją ukazały się „Opowieści kobiet z rodzin górniczych".

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

– Jechałam do pracy, kiedy mijały mnie karetki. Nawet przez chwilę nie pomyślałam, że jadą na kopalnię Knurów-Szczygłowice (mowa o wypadku w kopalni 22 stycznia – przyp. red.). Gdy wracałam, wiedziałam już, co się stało, słuchałam wiadomości. Informacją były dla mnie nie słowa lekarzy o obrażeniach doznanych przez górników, ale to, co nie zostało powiedziane. Wiem to po opowieści żony górnika. Mąż nauczył ją rozpoznawania rodzaju komunikatów, kiedy nic już nie da się zrobić, wyczytywania spomiędzy wierszy.

Ta tragedia zdarzyła się w twoim sąsiedztwie.

– Górnicy, którzy zginęli w kopalni Szczygłowice, to też mieszkańcy mojej dzielnicy i sąsiedniej Czerwionki-Leszczyn. Na to nie da się przygotować. Mnie za każdym razem porusza i wzrusza, że całe społeczności jednoczą się wtedy w modlitwie, zresztą rola kościoła jest tu ogromna. Nie mamy domu kultury, jest straż pożarna z biblioteką i kościół. A to są te pierwsze, szalenie istotne reakcje zbiorowe, które pozwalają przetrwać rodzinie, tym, którzy zostają sami z takim ciężarem. Dzień po dniu pojawiały się przecież informacje, że kolejni górnicy umierali od poparzeń.

Czy w środowisku górniczym mówi się o jakichś znakach?

– To nie metafizyka, ale mówimy, że występują czarne serie. Były Szczygłowice, potem kopalnia Marcel – tam zginął górnik, zaraz Mysłowice-Wesoła. To idzie cyklami, jak nieustanna, zapętlająca się żałoba. Rok temu był wstrząs w Mysłowicach, już nieobecny w świeżej pamięci, zginęło trzech górników. W rodzinie, która została dotknięta tragedią, każde doniesienie o śmierci będzie zawsze otwierało traumę. Nie wyobrażam sobie tych ataków bólu po każdej informacji o wypadku. To element, który warunkuje nasze życie jako społeczności, od gminnej po regionalną. I chyba nigdy dość uświadamiania, że wpływa na nas na każdym poziomie funkcjonowania jako zbiorowości. Chyba jest tak, że im bardziej niebezpieczne warunki życia, tym silniejsze mechanizmy solidaryzowania się. Dlatego np. związki zawodowe mają tu taką pozycję.

Pracujesz z kobietami z rodzin górniczych nad wydobywaniem i zachowaniem pamięci o nich.

– To już prawie cztery lata, nie myślałam, że to będzie taka część mojego życia. Na początku razem

eprasa.pl c938a05b9e

ze Stowarzyszeniem Ruch Rozwoju Gminy Czerwionka-Leszczyny zaprosiliśmy tamtejsze kobiety na warsztaty. Wyrosłam w dzielnicy obok, w Leszczynach mieszkali moi dziadkowie. Dziadek pracował na kopalni. Używam sformułowania „kobiety z rodzin górniczych", to te, które pracowały czy pracują w górnictwie, w infrastrukturze przemysłowej Górnego Śląska, powolutku zamykanej, i oczywiście żony górników, ale też ich krewne – matki, córki, siostry, wnuczki.

I zabrzmiał głos kobiecy.

– Pojawiały się opowieści, kobiety przynosiły na warsztaty różne rzeczy, powstała wystawa i cykl fotoportretów w ważnych dla portretowanych miejscach. Zrobiła je Karolina Jonderko, znakomita fotografka, córka górnika.

Trzeci etap konkursu był adresowany do kobiet z całego województwa śląskiego z włączonym automatycznie Zagłębiem. Śląskie zaskoczyło mnie różnorodnością. Wydaliśmy oddolnie książkę – gromadziła opowieści mówione, pisane w formie tekstów, zdjęcia, ale i dokumenty, nawet przepisy. Poprawiona, trochę zmieniona wersja ukazała się pod koniec 2024 r. nakładem Wydawnictwa Biblioteki Śląskiej jako „Opowieści kobiet z rodzin górniczych".

Pojawiają się w niej górniczki.

– Odkrycie opowieści górniczek było dla mnie piorunujące. Ubiegłoroczny plakat konkursu na pamiętniki powstał na podstawie archiwalnego zdjęcia kobiet pracujących na płuczce. W odpowiedzi na wezwanie konkursowe pojawiły się opowieści pracownic, głównie zakładów przeróbczych, o tym, że kobiety zjeżdżały na dół. Babcia pewnej studentki opowiadała, że miała zakaz pracy w rękawicach, przebierała węgiel ręcznie, nawet nie było płuczki, tylko sortownia. Co to zrobiło z jej rękami, z jej słuchem... Ona nie potrafi funkcjonować w ciszy, potrzebuje tego huku.

Ośmieliłaś kobiety górniczego Śląska i Zagłębia, by uwierzyły, że ich opowieść jest ważna.

– Czegoś takiego się nie spodziewałam. Myślałam, że zbiorę teksty i opracuję je naukowo jako literaturoznawczyni wychylona w stronę antropologii, szeroko pojętych badań społecznych. A tu powinno zostać uruchomionych wiele narzędzi, żeby kompleksowo opowiedzieć o doświadczeniach kobiet i o ich pamiętnikach jako zjawisku. Istnieje biała plama nie tylko w badaniach, ale też w pamięci zbiorowej, pamięci kulturowej regionu. Brakuje opowieści samych kobiet z rodzin górniczych, brakuje szeroko zakrojonej refleksji o ich roli i miejscu w historii, nawet w tutejszej ekonomii, jako fundamentu gospodarki uprzemysłowionego regionu, który za chwilę zmierzy się z własnym odprzemysłowieniem.

Uważa się, że rodzina górnicza powinna mieć w swoim DNA gotowość na nieszczęście, na wypadek pod ziemią.

– Pytanie o strach pojawia się często, media są nim bardzo zainteresowane. W maju 2024 r. doszło do wypadku w kopalni Mysłowice-Wesołe, zadzwoniła do mnie telewizja śniadaniowa z zaproszeniem, żebym to na świeżo skomentowała. Podziękowałam, wydaje mi się nieetyczne, by między kawą a herbatą rozmawiać o śmierci i czyimś nieszczęściu. To wielki temat, który przegaduję z innymi dziećmi z rodzin górniczych. Rozmawiamy o determinizmie, który jakoś definiuje życie rodziny górniczej. Wyrastałyśmy w często chyba nieuświadomionym strachu o to, że tata nie wyjedzie. Ta obawa nie była głośno wyrażana w mojej rodzinie. To wspólny mianownik opowieści kobiet z rodzin górniczych w naszej książce. Strach jest niedopowiedziany, funkcjonuje w opowieściach na ukrytym poziomie, choć wyartykułowanych deklaracji lęku też jest sporo. To nie jest tak, że można się przygotować i że kobiety z rodzin górniczych są bardziej gotowe mierzyć się z tego rodzaju tragedią jak śmierć męża.

Muszą z tym lękiem żyć każdego dnia, one i dzieci.

Mąż górnik nauczył żonę rozpoznawania komunikatów, kiedy nic już nie da się zrobić.

• Pamiętam, jak w 1990 r. w Rudzie Śląskiej miał miejsce wybuch metanu w kopalni. Zginęło mnóstwo górników. Pamiętam wiadomości, pamiętam twarze tych żon, matek, sióstr. Boże, jak ja się z nimi identyfikowałam. I znów ta bezsilność. Mimo tylko tych dziesięciu lat.

• Ten sam strach odczuwałam, gdy byłam w domu rodzinnym małą dziewczynką, kiedy ojciec szedł do pracy, jak i potem, gdy mąż szedł do pracy. Taka sama obawa ogarniała człowieka, kiedy nie wracał o określonej godzinie bez żadnej wiadomości z kopalni.

• Zawsze byłam pełna podziwu, że są tak silne, że każdego dnia czekają na ich powrót. Że żyją w strachu i nie mogą im zabronić tej pracy, bo przecież zarabiają na chleb, kochają tę pracę mimo wszystko…

• Nie mogłam spać. Śniło mi się, że tata jedzie na akcję ratowniczą, bo dzwonią po niego z kopalni, a tam tą właśnie szpadą ucinają mu głowę. Nigdy wcześniej takiej szpady nie widziałam, bo nikt ze znajomych taty jej nie miał.

Cytaty z książki Moniki Glosowitz *Opowieści kobiet z rodzin górniczych.*

FOT. ARCHIWUM PROJEKTU

eprasa.pl c938a05b9e

– Następuje coś, co obejmuje całą rodzinę, pewnego rodzaju wyparcie tego strachu, konieczne, żeby funkcjonować na co dzień. To wyparcie przybiera inną formę u mężczyzn, którzy, jak wynika z opowieści kobiet, najczęściej nie rozmawiają o tym ze swoimi rodzinami, oszczędzają im historii z dołu. I zapewne determinuje nasze zachowania, wypracowujemy mechanizmy radzenia sobie z lękiem, dziedziczymy je być może w wyniku socjalizacji w rodzinach górniczych. Te mechanizmy przekładają się na nasze sposoby komunikacji niewerbalnej, rodzaj napięcia, które nam towarzyszy. W moim przypadku, a nie jestem przecież jedyna, to są także historie rodzin dysfunkcyjnych. To skomplikowany, nawarstwiający się proces. Same diagnozujemy napięcie i szukamy jego przyczyn, te domorosłe autoterapeutyczne narracje mogą być, jak sądzę, przekute w hipotezy badawcze.

Każda bohaterka ma swój sposób obchodzenia się ze strachem.

– Przypominam sobie opowieść młodej dziewczyny, żony sztygara górniczego z mojej ulicy, która ma taki sposób: wysyła SMS-a, wie, że jest niedostarczony, a jak mąż wyjeżdża, SMS wskakuje, odebrał. Są też sytuacje związane z eskalacją strachu, opowieść pani Moniki, kiedy była dzieckiem: „– Dzień dobry, możemy prosić dla taty ubranie na zmianę? Świat mi się zawalił. To był już koniec. Uczucie bezsilności. – Tacie ukradli ubranie z haka, czeka w ręczniku… – wyjaśnił szybko drugi”. To ma wymiar zbiorowy i myślę, że potrzebna jest nam jako rodzinom górniczym – czy tej społeczności, regionalnie – jakiegoś rodzaju terapia.

Twoje warsztaty dały wiele tym kobietom.

– W pewnym momencie byłam przerażona, że przeradzają się ze zbiorowej opowieści w próbę terapeutyzowania się poprzez akt wypowiadania na głos własnego bólu, strachu, żalu. Jednak dzięki temu, że mają charakter długofalowy i relacyjny, że nigdy żadna z nas nie zostaje sama z ciężarem tych opowieści, wykształciło się z nich nie kółko literackie, ale grupa wsparcia. Poznałyśmy się z częścią pań w roku 2022, jesteśmy cały czas w kontakcie, przychodzą na kolejne uroczystości, poznają się z paniami z następnych etapów, nawiązują więzi, dzielimy się wzruszeniami, jak po spektaklu „Mianujom mie Hanka”. Ta relacja się pogłębia, zmieniają się konfiguracje i to sprawia, że wielokrotnie różne sprawy otwierają się we mnie na nowo i mogę z różnymi tematami głęboko pracować. Zaskoczeń i wzruszeń jest wciąż dużo.

Żona sztygara górniczego z mojej ulicy wysyła SMS-a, wie, że jest niedostarczony, a jak mąż wyjeżdża, SMS wskakuje, odebrał.

Zbierasz kolejne historie, jakbyś wydobywała je z głębszych pokładów.

– Pracuję z kilkoma instytucjami, chcemy kontynuować tradycję konkursu na pamiętniki. We współpracy z Muzeum Górnictwa Węglowego robimy warsztaty, a później nagrywamy te opowieści audio-wideo. Ostatnio zwaliła mnie z nóg opowieść żony zawodowego ratownika górniczego. Myślę, że bardzo świadomie mąż i żona nie dopuszczają nawzajem do wyparcia, wypracowali mechanizmy radzenia sobie z traumą towarzyszącą każdej akcji ratowniczej. Jak mąż przyjeżdża z akcji, ona go o nic nie pyta, siadają przed białą ścianą, którą mają w domu, w ciszy patrzą na tę ścianę, jakby oczyszczając się z obrazów. Potem idą to „wychodzić”. Ona wie, on wie. Stała się dla niego mocną podporą w tym procesie przepracowywania, by nie zostawać z obrazami spod ziemi w momencie wypadku, czasem doświadczeniem niemożności ratowania. Nie chcemy sobie wyobrażać, dokąd zjeżdżają ratownicy.

Jak jest z kobiecymi głosami w innych regionach górniczych świata?

– Niedawno wróciłam z konferencji o dezindustrializacji w Glasgow, mogłam skonfrontować swój pomysł z tym, co się dzieje w temacie pamięci w innych regionach górniczych. Takie projekty są podejmowane zwykle wiele dekad po dezindustrializacji. Są nawet zawężane do opowieści o roli kobiet w strajkach, gdy Margaret Thatcher zamykała kopalnie. To było coś niezwykle budującego – taka transnarodowa sieć badawczo-interwencyjna, u nas jeszcze interwencyjna. W Asturii, gdzie pomysł mi wykiełkował, w 2014 r. zamknięto przedostatnią kopalnię, jedna jest jeszcze czynna, a reszta to już ekomuzea. To trend europejski: rewitalizujemy i przekształcamy kopalnie w taki dziwny twór.

Może warto byłoby się spotykać w różnych miejscach w Polsce, opowiadać o prawdziwym życiu regionu górniczego?

– Na pewno też o tym, że można chcieć jednocześnie mieć pracę w kopalni i mieć czyste powietrze. O tym, że można godzić ruch na rzecz godności pracowniczej z ruchem na rzecz czystego środowiska. Może trzeba przestać mówić jedynie o tym, że górnicy są roszczeniowi i palą opony? Jasne, że kto tego nie doświadcza na co dzień, nie jest w stanie zrozumieć, ale mógłby posłuchać, dowiedzieć się, przekonać.

To boleśnie widać w chwilach katastrof górniczych.

– Z zewnątrz dociera współczucie warunkowe: współczujemy wam tragedii, śmierci mężów, ojców, ale kopalnie i tak są do zamknięcia. Współczujemy, ale to nie zmienia faktu, że jesteście zbędni. Nie da się nawet w tak dramatycznych momentach wyłączyć dyskursu związanego z oceną ekonomiczną przemysłu górniczego jako tego, który powinien odejść. Odzywają się też resentymenty, często mierzę się z nimi w swojej pracy, są głęboko utrwalone, zakorzenione. Tego sobie chyba nie poukładaliśmy w debacie publicznej, w narracji, która nie byłaby tylko doraźnym komentarzem dotyczącym kolejnych prób restrukturyzacji górnictwa.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c938a05b9e

Oko w oko

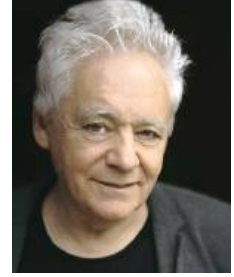

Tomasz Jastrun

Moje kartki

Mieliśmy zamach stanu. Krzyczały o tym paski TV Republika, krzyczała prawica, warczał prezes. Byli tacy, co w trwodze wyglądali przez okna, czy nie ma czołgów, ale okazało się, że to tylko zamach stanu pełzający, więc słabo go widać. Powiało jednak grozą, szczególnie przestraszyły się Rodzina Radia Maryja i lud zaszyty po małych miastach i wsiach. Jakby nie wystarczyło że Prawo i Sprawiedliwość zatruło jadem pojęcia prawa i sprawiedliwości, słowo patriotyzm – zbrukane, elita – wyzwisko, prawda jako kpina. Teraz pojęciem nieostrym i nieoczywistym staje się zamach stanu.

•

„Notesy" Andrzeja Wajdy, cztery potężne tomy. Notował codziennie, zapisywał myśli, spotkania i okruszki dnia, rysował. Ogromny, fascynujący materiał – zapełniał notesy od roku 1942 do 2016, więc to, co dostajemy, jest tylko wyborem – szkoda. Czasami notuje byle co, a czasami głębokie myśli. Wszystko kręci się wokół sztuki. Ale Wajda jest też bardzo zaangażowany politycznie i społecznie. Notatki ukazują reżysera jako wielkiego myśliwego, polował jak szalony na tematy, węszył, nastawiał uszu i utrzymywał masę gęstych kontaktów z ludźmi, z których mógł wycisnąć, co będzie mu przydatne. Był jak wielka ssawka. Nie kpię i nie mam żalu. To była walka, by dawać świadectwo światu i Polsce, tej dawnej i tej nowej. I w dużej mierze to się udało. A nie było łatwo, nieraz skarżył mi się, że brakuje u nas literatury, tej dobrej prozy drugiej ligi, która często jest bazą scenariusza.

I pomyśleć, że stał się dla polskiej prawicy śmiertelnym wrogiem. On, który dla naszej tożsamości zrobił tak wiele, odnosząc się do tego, co w naszej tradycji piękne, ale też bolesne. Dał Polsce piękne świadectwo.

Spotykam czasami w tych zapiskach siebie. 20 stycznia 1981 r. Wajda notuje: „Jastrun przynosi swoje kartki – ładne, wzruszające, ale całkowicie niedramatyczne". Nic z tego nie pamiętam, jakie kartki, czemu miały być dramatyczne? W tumanach kurzu wyłuskuję swoje dzienniki spod łóżka i jest! Rok 1981. Znajduję odpowiedni dzień. Wszystko się wyjaśnia. „Rano w wytwórni na Chełmskiej, gdzie jestem umówiony z Wajdą. Mistrz szalenie zmartwiony, mówi: »Kochani, jesteśmy zupełnie w proszku, trzeba coś ruszyć«. I rzeczywiście, scenariusz Ścibora zupełnie się rozsypał. Wielkie kłopoty sprawia tytuł »Człowiek z żelaza« – bardzo niedobry, narzucający wielkie ograniczenia co do postaci bohatera, z żelaza to znaczy, że twardy, ale i nieczuły (wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy o agenturalnym epizodzie Wałęsy). Wajda zabawny, miękki jak kobieta, przesadnie miły. Zwraca się do mnie, jakbym tylko ja mógł uratować jego film. To jego taktyka. Uwodzi ludzi i skłania do maksymalnego wysiłku dla niego. Kiedy zamierzam wyjść, zdejmuje moją kurtkę i podstawia mi ją do włożenia". Kilka dni potem notuję: „Przed południem jadę do wytwórni filmowej na Chełmskiej. Rozmawiam długo z Wajdą. Scenariusz filmu w rozsypce. Nalegam na zmianę tytułu". Te moje „kartki" to były więc jakieś propozycje scen do filmu.

•

Timothy Snyder pisze, że USA zawsze były demokracją z elementami oligarchii, ale teraz stały się oligarchią z elementami demokracji. Trump to wielka kompromitacja, a więc utrata przez Stany wiarygodności, którą bardzo trudno będzie odzyskać. A cały demokratyczny świat, na który cień rzucają Rosja i Chiny, traci ważny punkt oparcia. I oto kropla, w której widać ocean – prezydent Trump postanowił, że Stany wracają do używania plastikowych słomek. Uznał je za część amerykańskiego stylu życia i wziął w obronę: „Liberalne papierowe słomki nie działają".

Trump nie wierzy, że zaśmiecamy Ziemię, i nie wierzy w zmiany klimatyczne. Nasi prawicowi paranoicy myślą bliźniaczo.

W jednym ze swoich pierwszych dekretów Trump nakazał Departamentowi Rolnictwa Stanów Zjednoczonych natychmiastowe „zarchiwizowanie lub usunięcie" stron internetowych odnoszących się do kryzysu klimatycznego. Trump nie wierzy, że zaśmiecamy Ziemię, i nie wierzy w zmiany klimatyczne. Nasi prawicowi paranoicy z prezesem na czele myślą bliźniaczo. To zbrodnicze działanie na szkodę planety – a innej do zamieszkania nie mamy.

•

Polski rząd wycofuje się z Zielonego Ładu – on kosztuje, więc ludzie mogą na nas nie zagłosować. Czasami można mieć wrażenie, że Tusk dla dobra sprawy, czyli aby wygrać z prawicą, uprawia swój mały populizm. A ludzie myślą: mamy problem z klimatem, ale jakoś to będzie. Otóż nie będzie. Wygrane, przegrane wybory, polityczne namiętności – to wszystko nieważne, to zasłona dymna. Za nią czai się katastrofa, którą gotujemy przyszłym pokoleniom. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c938a05b9e

Prawie jak prohibicja

Władze na Bliskim Wschodzie próbują odwieść mieszkańców od sięgania po zakazany w islamie alkohol. Zwykle z marnym skutkiem

Marcelina Szumer-Brysz
Korespondencja z Turcji

W Iraku zakaz sprzedaży i importu alkoholu obowiązuje od przeszło roku, w Turcji w ciągu minionej dekady podatki, którymi obłożone są napoje wyskokowe, wzrosły o tysiące procent. Lawinowo przybywa zatruć metanolem. Konserwatywne władze na Bliskim Wschodzie na różne sposoby próbują zniechęcić mieszkańców do sięgania po zakazany w islamie alkohol. Zazwyczaj z marnym skutkiem.

Elmalı, niewielkie, otoczone górami miasteczko na peryferiach mekki turystycznej, jaką jest prowincja Antalya. Słynie z uprawy jabłek (stąd nazwa, elma to po turecku jabłko) i zabytkowego meczetu, który stanął tu w 1610 r. Oraz z postaci Muhammeda Hamdiego Yazıra, teologa, któremu po proklamowaniu republiki Mustafa Kemal Atatürk zlecił tłumaczenie Koranu z arabskiego na turecki, by wierni nie tylko recytowali sury, ale też w końcu rozumieli, jakie właściwie prośby zanoszą do Allaha. Turyści rzadko się tu zapuszczają, toteż cudzoziemka od razu budzi zainteresowanie. Przy moim stoliku w parku urządzonym niedawno na jednym ze wzgórz otaczających miasto już po kilku minutach pojawia się starszy pan. Przyszedł z wnuczką na piknik i postanowił podzielić się ze mną börekiem i owocami. Okazuje się, że to emerytowany imam. Wypytuje, jak długo będę w mieście, i radzi, co powinnam zwiedzić.

– No i jeszcze Likya – wymienia. – Winiarnia. Znakomita.

– Jesteś imamem i wysyłasz mnie do winiarni? – dziwię się.

– Ja nie piję, ale nie przeszkadza mi, że pije ktoś inny.

Podatkiem w butelkę

Nie wszyscy religijni muzułmanie, zwłaszcza ci będący u władzy, podzielają takie stanowisko. Ledwie kilka dni wcześniej, w dniu wyborów prezydenckich i parlamentarnych, w całym kraju wprowadzono jednodniową prohibicję. Alejki z alkoholem w sklepach spożywczych były zagrodzone, a część tekeli – sklepów monopolowych oferujących wyłącznie trunki, w ogóle zamknięto. I choć był to tylko jeden dzień, idealnie wpisuje się w batalię, którą urzędujący od przeszło dwóch dekad, hołdujący zasadom islamu prezydent Recep Tayyip Erdoğan prowadzi przeciwko alkoholowi.

Już jako burmistrz Stambułu zakazał sprzedaży napojów wyskokowych w kawiarniach prowadzonych przez miasto, najczęściej w atrakcyjnych turystycznie miejscach metropolii. Druga kadencja na stanowisku premiera przyniosła kolejne zmiany. Rząd pod wodzą Erdoğana częściowo ograniczył nocną sprzedaż alkoholu. Od 2013 r. nocą w Turcji nie można kupić nie tylko wysokoprocentowych trunków, ale nawet piwa. O ile restauracje i bary mogą je serwować, o tyle w sklepach nie można ich nabyć.

Najwyraźniej ten zabieg nie przyniósł oczekiwanego efektu. Rząd z roku na rok nakładał na alkohol kolejne podatki. Po dojściu do władzy Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) wprowadzono specjalny podatek od uważanej za narodowy trunek rakı – 40-procentowej anyżówki. Od tamtej pory wzrósł on o… 2,5 tys. procent!

– Nieustannie podnosimy podatki na alkohol i tytoń. Niektórzy obywatele Turcji czują się z tego powodu bardzo niekomfortowo. Mogą być głodni, a mimo to nadal kupują piwo i rakı – skarżył się prezydent podczas Światowego Dnia bez Tytoniu.

Oazy abstynentów i wyspy pijących

Chociaż większość Turków deklaruje się jako muzułmanie, nie wszyscy są tak gorliwi jak prezydent, a przestrzeganie nakazów islamu często zależy od miejsca. W konserwatywnej Konyi, dawnej stolicy imperium seldżuckiego, znanej dziś głównie z mauzoleum Rumiego Mevlany, założyciela zakonu wirujących derwiszy, w sklepach największych sieci spożywczych, takich jak Migros czy Carrefour, w ogóle nie sprzedaje się alkoholu. By go kupić, trzeba znaleźć tekel – specjalny sklep monopolowy, najczęściej znajdujący się gdzieś na uboczu. Wina czy wódki nie serwują nawet niektóre hotele. Ale tu chodzi nie tylko o alkohol. Większość mieszkańców przestrzega też innych nakazów wynikających z religii. W czasie ramadanu, gdy muzułmanie poszczą od świtu do zachodu słońca, w ciągu dnia trudno znaleźć otwartą restaurację. Kilka

Roczne spożycie alkoholu na osobę jest w Turcji zdecydowanie poniżej średniej europejskiej i nie przekracza 1,4 litra.

eprasa.pl c938a05b9e

W Turcji, podobnie jak w Iraku, chrześcijanie, m.in. Asyryjczycy, produkują lokalne wina.

lat temu rektor tamtejszego uniwersytetu zdecydował o zamknięciu na miesiąc uczelnianej stołówki. Protesty studentów, z których przecież nie wszyscy są religijni, na nic się zdały.

Zgoła inaczej sprawa przedstawia się na wybrzeżu. W Izmirze nad Morzem Egejskim, gdzie jeszcze w czasach osmańskich mieszkało więcej cudzoziemców (m.in. Grecy, Ormianie, Żydzi, Anglicy, Francuzi, Włosi) niż etnicznych Turków i który do dziś mieni się enklawą swobody, w ramadanie otwarte są wszystkie restauracje, a półki w Migrosie uginają się od piw, win (także lokalnych) czy wysokoprocentowych alkoholi, choć lokalsi też deklarują się jako wierzący.

Roczne spożycie wysokoprocentowego alkoholu na osobę jest w Turcji zdecydowanie poniżej europejskiej średniej i nie przekracza 1,4 litra. Z kolei z danych TÜIK, tureckiego urzędu statystycznego, wynika, że w ostatnich latach przybyło ludzi, którzy nie sięgają (nigdy albo już) po alkohol. Podczas gdy w 2019 r. deklarowało tak 85% Turków powyżej 15. roku życia, teraz jest to niemal 88%. W tym 83% respondentów twierdzi, że nigdy nie wzięło do ust alkoholu. Mężczyźni piją więcej niż kobiety, a najwięcej na alkohol wydają mieszkańcy Stambułu i Izmiru.

Metanol zabija Turków

Przeciwnicy restrykcyjnej alkoholowej polityki Erdoğana, który wyraźnie zerwał z tradycją picia rakı przez tureckich polityków (założyciel i pierwszy prezydent Republiki Turcji Mustafa Kemal Atatürk od niej nie stronił, na wielu fotografiach uwieczniony jest ze szklaną mlecznobiałego trunku), a jedynym tradycyjnym tureckim napojem nazywa bezalkoholowy ayran na bazie jogurtu, twierdzą, że prezydent nie zawsze był gorliwym abstynentem. Jakiś czas temu media społecznościowe obiegło zdjęcie z 1990 r., na którym przyszły prezydent, wówczas członek partii Refah, trzyma jakoby szklankę rakı. Choć fotografia okazała się manipulacją – była wykadrowana, na odciętej części widać, że pito ayran – są też inne. Na niektórych Erdoğan stoi z kieliszkiem wina bądź szampana, na innych stuka się kieliszkiem z zagranicznymi politykami. „Co jest w tym kieliszku? Też ayran?", ironizują internauci. Prezydent nic sobie z tego nie robi i kontynuuje batalię, zapowiadając nowe podatki.

Turcy radzą sobie, jak mogą. Jedni zaczęli warzyć własne piwo, drudzy wino, a inni – przygotowywać domową rakı. I o ile to można uznać za rozwiązanie w miarę bezpieczne, gorsze są inne. Na przykład kupowanie alkoholu niewiadomego pochodzenia. W połowie stycznia władze Stambułu poinformowały o znaczącym wzroście liczby zatruć metanolem. Tylko w ciągu 48 godzin odnotowano 66 przypadków zatrucia. Nie udało się uratować 38 osób. To już kolejne ofiary – w pierwszych dwóch tygodniach stycznia zmarło 11 innych osób.

Tureckie media poinformowały, że część ofiar zmarła po spożyciu alkoholu bez banderoli, sprzedawanego przez jedną z restauracji w półlitrowych butelkach za 30 lir. Regularna cena butelki rakı to dziś 1,3 tys. lir.

– Nasi ludzie umierają z powodu nieodpowiedzialnej polityki, która jest ewidentnie motywowana ideologicznie – uważa Mustafa Adıgüzel, poseł z głównej partii opozycyjnej, Republikańskiej Partii Ludowej (CHP). I dodaje, że rząd gromadzi łatwe pieniądze z podatków, ignorując problem, jakim jest nielegalny handel i produkcja alkoholu. – Co roku tracimy co najmniej 500 istnień ludzkich z powodu podrabianego alkoholu. To masakra, masowe morderstwo, a przyczyną są podatki! – mówi poseł i zaznacza, że trzeba się zająć… wygórowanymi cenami alkoholu w Turcji.

Prohibicja w Bagdadzie

Zdecydowanie dalej niż tureckie poszły władze irackie. W kraju przed

eprasa.pl c938a05b9e

Po dojściu do władzy AKP w Turcji wprowadzono specjalny podatek od uważanej za narodowy trunek rakı – 40-procentowej anyżówki.

niemal dwoma laty wprowadzono całkowity zakaz sprzedaży i importu alkoholu. Na głucho zamknięto wiele pubów, a producenci lokalnych trunków, najczęściej iraccy chrześcijanie, stanęli przed widmem bankructwa. Wprawdzie zaraz po wejściu w życie przepisów, przeforsowanych przez konserwatywnych parlamentarzystów, zakazu nie przestrzegano zbyt restrykcyjnie, ale teraz to się zmieniło, a do miejsc od dziesięcioleci znanych w Bagdadzie z serwowania mocnych trunków wysłano oficjalne ostrzeżenia.

– Apelowaliśmy do wszystkich władz w kraju, ale nikt nas nie wysłuchał – powiedział dziennikarzom producent wywodzący się ze społeczności jazydzkiej, który musiał zwinąć interes.

Nic również nie dały protesty irackich chrześcijan. Choć wielu muzułmanów także sięga po alkohol, oni woleli się nie narażać i nie wychodzili na ulice. Zresztą nie wszyscy przejęli się nowym prawem.

– Bawimy się z władzami w kotka i myszkę – przyznał się dziennikarzom Agencji France-Presse właściciel jednego z bagdadzkich lokali. Miejsce z zewnątrz wygląda na zamknięte, ale wtajemniczeni wiedzą, że w środku odbywa się handel alkoholem. Jeden pracownik stoi na czatach i gdy na horyzoncie zamajaczy policja – zamyka przybytek. Szczery rozmówca dodał, że ci sami urzędnicy i policjanci, którzy ścigają za sprzedaż alkoholu, kupują go po godzinach. – Społeczeństwo jest obłudne.

Choć politycy twierdzą, że część barów w kraju zamknięto, bo były „wylęgarnią przestępczości", efekt wprowadzonego przed rokiem zakazu jest taki, że alkohol sprzedaje się i sprowadza z zagranicy nielegalnie. Robią to – jak dowiedziała się francuska agencja – firmy dostawcze i niektóre sklepy.

Równi i równiejsi

Nie w całym kraju obowiązuje prohibicja. Iracki Kurdystan, który ma własne władze, nie podlega temu prawu. By legalnie napić się alkoholu, Irakijczyk może więc po prostu pojechać na wycieczkę do autonomicznego regionu, bo władze Irbilu stosują własne przepisy celne. Alkohol można również kupić w sklepach wolnocłowych na bagdadzkim lotnisku, ale przeciętnemu Irakijczykowi łatwiej chyba się napić w Irbilu.

Co ciekawe, jeszcze zanim władze postanowiły restrykcyjnie przestrzegać przepisów alkoholowych, wywrotowe islamistyczne grupy same prowadziły walkę z alkoholem, i to bardziej krwawą niż rząd. Zamiast wymierzania grzywien (do 19 tys. dol. za handel alkoholem) podkładały bomby w klubach i gorzelniach.

– Celem wcale nie jest walka z alkoholem wynikająca z pobudek religijnych – uważa chrześcijański poseł Joseph Sliwa cytowany przez iracki portal Shafaq News. – Chodzi o generowanie zysków i utorowanie drogi dla narkotyków, nad którymi kontrolę mają określone uzbrojone frakcje – uważa polityk. Dodaje, że produkcja i sprzedaż alkoholu to ważna gałąź irackiej gospodarki, dotąd przynosząca wielomilionowe dochody i gwarantująca miejsca pracy tysiącom ludzi, najczęściej przedstawicielom mniejszości.

Ale nie tylko. Major Wojska Polskiego, który w 2004 r. przebywał w Iraku, pamięta, że o ile w bazie wojskowej, w której stacjonowali żołnierze koalicji, alkoholu nie było, przed bazą już tak. – Irakijczycy przywozili go i sprzedawali prosto z ciężarówek. Nawet jeśli sami nie pili, nie mieli najmniejszego problemu z tym, by go dostarczać i sprzedawać.

Mężczyźni piją więcej niż kobiety, a najwięcej na alkohol wydają mieszkańcy Stambułu i Izmiru.

Joseph Sliwa idzie dalej, uważa bowiem, że o ile większość produkujących alkohol to chrześcijanie, o tyle większość pijących stanowili w Iraku muzułmanie. – Nawet w czasach Abbasydów napoje te nie były zakazane – argumentuje.

Jazydzki poseł Mahma Khalil złożył skargę na przepisy, twierdząc, że naruszają one konstytucję, łamiąc prawa mniejszości do kultywowania swoich tradycji i sposobu życia, ale sąd nie przychylił się do jego argumentacji. Wrażenia na rządzących nie robią też transparenty: „Bagdad nie stanie się Kandaharem", porównujące ich do talibów, a Irak do Afganistanu. Opozycja nie składa jednak broni, mając nadzieję, że coś w tej sprawie ruszy się w związku z planowanymi na ten rok wyborami.

W Turcji najbliższe wybory dopiero za trzy lata.

Marcelina Szumer-Brysz

FOT. MARCELINA SZUMER-BRYSZ, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c938a05b9e

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Na gołoborzu

Przyjaciel napisał książkę. Najbliższy to przyjaciel, od spraw trudnych i beznadziejnych, ale też patron radosnych uniesień, człowiek, z którego przez ponad połowę życia czerpię jako ze źródła środki do mycia duszy, brat mój w chwackich przebieżkach, a czasem i bliźniak w melancholijnych przechadzkach, na domiar dobrego krajan chorzowski, a nawet osiedlowy (na stadion Ruchu miał z domu o pięć minut bliżej), słowem towarzysz mój najpierwszy.

I oto zstąpił druh mój po latach 14, by odnowić oblicze prozy, napisał opowiadania, które mu wydano w małym a zacnym Wydawnictwie Drzazgi, fotografię okładkową sam wykonał, walnął serdeczną dedykację i wręczył mi z duszą na ramieniu tomik. Powiedziałem: „Już mi się tak podoba, że wolałbym nie czytać, lepiej nie będzie", ale ciekawość, co też mój kompan znów tam wysmarował, zwielokrotniona jego długim milczeniem prozatorskim (w międzyczasach ogłaszał kolejne tomy poezji, której jest galernikiem doświadczonym i wytrawnym, jak raz dał się zniewolić mowie wiązanej, tak już jej służy od niemal trzech dekad) wzięła górę.

Dość już inwokacji, trzeba nazwać rzeczy po imieniu, a nawet nazwisku: Radosław Kobierski wraca do księgarń z tomem opowiadań „Na wulkanie". Ostrzegłem Radka, że jeśli coś napiszę, zrobię to szczerze i bez znieczulenia, właśnie dlatego, żeśmy w przyjaźni, jak mnie zachwyci, będę wychwalał jego geniusz, jak mnie zażenuje, skopię mu tyłek mocniej niż ktokolwiek inny, jak po mnie spłynie, zmilczę aż do bólu. Okazało się, że jest jeszcze inaczej – ten zbiór opowiadań mnie zirytował. Z powodów, o których będzie niżej. Ale jeszcze bardziej rozdrażnił mnie, a nawet oburzył sposób, w jaki grono zblazowanych krytynów w okropnym telewizyjnym „Tygodniku Kulturalnym", który na nieszczęście właśnie zmartwychwstał w TVP, spuściło tę książkę po brzytwie w kilku zdaniach. Panowie Deptuła, Wakar i Marczyński, specjaliści od sztuk innych, od lat gaszą kwestie literackie knajacko-salonowymi bon motami w rodzaju: „autor się męczył, pisząc tę książkę", „ależ to pseudofilozoficzne", „pozwólcie, że zacytuję, toż to śmiechu warte", zagadując w ten sposób literaturoznawców, co to książkę do omówienia przynieśli.

Literatura w mediach publicznych ma się ostatnio nieźle za sprawą „Dobrego tytułu", gdzie dwoje pięknych ludzi o jeszcze piękniejszych umysłach prowadzi rozmowy istotne z autorami, „Tygodnik Kulturalny" jawi się przy tym jako kwintesencja intelektualnego lenistwa. Owóż uznałem, że choć nie zamierzam Radkowi słodzić, wyłuszczę, co mi się w jego tomie zatytułowanym „Na wulkanie" spodobało mało albo i wcale. Jego debiutancka powieść „Harar" sprzed lat 20 – pierwszoosobowa narracja o rodzinnych opresjach – była dla mnie objawieniem, być może dlatego, że obu nas równolegle gniotła ta sama maszynka do mielenia dzieciństwa. Fotografia na okładce – dorosły nagi autor w kołysce – dopełniała całość z niesłychaną mocą. Wczesne opowiadania z „Wieku rębnego" (pokłóciliśmy się o tytuł, który Radek mi „ukradł") też były zapisem osobistych doświadczeń, monumentalna „Ziemia Nod" o zagładzie tarnowskich Żydów była hołdem dla przeszłości miasta, z którego wywodzą się przodkowie autora po kądzieli.

Tymczasem w „Na wulkanie" Radosław Kobierski radykalnie ucieka od tego, co osobiste – i to jest przyczyną mojej prywatnej irytacji. Zmienił się wskutek tej decyzji z autora rozgorączkowanego własnymi demonami w chłodnego obserwatora cudzych żywotów. Ma do swoich bohaterów cierpliwość, której mnie zabrakło – z nadzwyczajną skrupulatnością opisuje czynności, którym codziennie się oddają raczej rutynowo niż z pasją. Jeśli coś się w ich życiach wydarzyło istotnie złego, wylizali już sobie rany, tyle że im blizny zostały jakieś nieestetyczne; jeśli zaś życia mają niewydarzone, a takich zdaje się większość, próbują to sobie rekompensować uczynkiem i zadbaniem – tracą czas na pracę, aby mieć go potem za co odkupić. Oni wszyscy są zarobieni – intensywnie coś robią, gubiąc po drodze istotę rzeczy. Wulkan tych opowiadań jest wygasły, to raczej bazaltowe gołoborze historii skruszałych od zimna, rozpadłych na drobiny i zalegających zbocza mnogością wątków, z których każdy mógłby posłużyć za kanwę powieści, lecz zostaje porzucony u zaranka.

Zaludnia ten zbiór gromada postaci z tzw. klasy średniej; autor z całą pewnością jej nie reprezentuje, po prostu tym razem zamiast o sobie postanowił napisać książkę o swoich sąsiadach. Pobudował się bowiem na niegdysiejszym pustkowiu, które w ostatnich kilkunastu latach obrosło domkami jednorodzinnymi i spuchło do rozmiarów osiedla, chyba już nawet strzeżonego. Utworzono zatem wokół Radka wspólnotę, którą on, chcąc nie chcąc, codziennie bierze na podsłuchy, a i ma na nią podgląd. Jako narrator czuły i uważny uznał, że tę wspólnotę uwzniośli garścią opowieści, i poświęcił jej swój talent – ja to uważam za marnotrawstwo, ale jestem jednostka aspołeczna, więc mojego zdania wielu pewnie nie podzieli. Acz niewolna od wad (dialogi mi nie pasują, bo choć gada tu cała rzesza, wszyscy mówią tym samym językiem, w dodatku sprawiają wrażenie, że chcą być mądrzejsi od samych siebie), to książka psychologicznie celna, płynie w niej podskórnie czarna żółć i manifestuje się w poczuciu, że mimo wszystkich spraw życiowych życie jest gdzie indziej, mimo budowania i nabywania domostw gdzie indziej jest także dom.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c938a05b9e

Magda Łucyan
i Katarzyna Górniak

Endometrioza jest przewlekłą, estrogenozależną chorobą zapalną. Choruje na nią 10% kobiet w wieku reprodukcyjnym. Endometrioza stanowi także jedną z najczęstszych przyczyn żeńskiej niepłodności. Co druga kobieta mająca problem z zajściem w ciążę boryka się z nim właśnie z powodu endometriozy.

CHOROBA, NA KTÓRĄ NAS NIE STAĆ

Endometrioza po raz pierwszy została opisana kilkaset lat temu, ale w Polsce wciąż nie zasłużyła w pełni na uznanie

– Nasze instrumentariuszki asystują także w innych szpitalach – przytacza anegdotę dr Joanna Jacko, która wspólnie z dr B. Pawłem Siekierskim operuje endometriozę w warszawskim Szpitalu Medicover. – Endometrioza ma ponad 30 postaci morfologicznych, które wyglądają przeróżnie. I nasze instrumentariuszki nauczyły się przy nas je wszystkie rozpoznawać. Opowiadają nam, że kiedy asystują do operacji w innych szpitalach, widzą endometriozę i mówią o tym lekarzom. Ale lekarze wiedzą lepiej.

Tyle że wcale nie wiedzą.

Endometrioza nie jest chorobą rzadką, nie choruje na nią kilkaset ani kilka tysięcy kobiet. Dotyka ok. 10% kobiet w wieku rozrodczym, co w Polsce oznacza niemal milion chorych. Dla porównania: na cukrzycę w naszym kraju choruje ok. 3 mln osób. Cukrzycę jednak powszechnie się leczy. O cukrzycy nikt nie mówi, że nie istnieje. A ginekologom o endometriozie, owszem, zdarza się tak powiedzieć.

– Specjalnie przekręcają i pytają pacjentkę, czy też choruje na tę „dendrometriozę". – Ginekolog Daniel Kurczyński, szef bloku operacyjnego Katowickiego Centrum Onkologii, załamuje ręce. – Nie potrafią jej rozpoznawać, więc w pewnym momencie zaczyna się u nich proces wyparcia. Na jednym z warsztatów miałem okazję mówić o endometriozie. Nóż mi się w kieszeni otworzył, kiedy wyszedł bardzo znany pan profesor i powiedział, że ta choroba to wytwór firm farmaceutycznych, wymysł Big Pharmy i że endometrioza nie istnieje.

Polscy ginekolodzy to zróżnicowana grupa, składająca się z lekarzy zarówno miernych, jak i wybitnych, która jednak w ostatnich latach nie wsławiła się odważną walką o dobro swoich pacjentek. Sprawiający czasem wrażenie, że swoją specjalizację wybrali, nie do końca wiedząc, z czym się ona wiąże, ginekolodzy zbyt często chowają głowę w piasek. Od działania wolą komfort milczenia. Na domiar złego polska medycyna jest mocno zhierarchizowana, a hierarchia bywa przedkładana ponad rzeczywiste umiejętności.

– Nawet jeśli młodzi lekarze są zainteresowani pomocą, wstrzymują ich profesorkowie – oburza się Lucyna Jaworska-Wojtas z Fundacji „Pokonać Endometriozę". – A co ci profesorkowie zrobili w sprawie endometriozy? Dlaczego się nie uparli, dlaczego nie zabiegali, dlaczego nie alarmowali, że kobiety są niezaopiekowane? Nie dość, że borykamy się z chorobą, naparzamy się z systemem, walimy w drzwi Ministerstwa Zdrowia, to jeszcze musimy staczać walki z murem profesorków, którzy nie rozumieją problemu i mówią nam,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c938a05b9e

że sobie wymyślamy i że endometrioza to moda.

Bo choroba, która po raz pierwszy została opisana kilkaset lat temu, w Polsce wciąż nie zasłużyła w pełni na uznanie. W wielu gabinetach się o niej żartuje, na studiach medycznych ledwo się o niej przebąkuje, a na konferencjach naukowych poświęca się jej jeden wykład.

– Na jednej z konferencji byli eksperci z zagranicy – opowiada dr Jacko. – Znany profesor ze Stanów Zjednoczonych w trakcie swojego wykładu zapytał obecnych, ile zajmuje wyszkolenie ginekologa, który w sposób kompletny będzie umiał operować endometriozę. Na to zgłosił się warszawski ordynator i powiedział, że dwa lata. Amerykanin odparł, że nie zna takiego geniusza. Takie szkolenie zajmuje od pięciu do dziesięciu lat.

I właśnie dlatego ci, którzy uprą się, że endometriozą chcą się jednak zajmować na poważnie, po wiedzę jadą za granicę.

– Ultrasonografii w endometriozie uczyłem się za granicą – przyznaje ginekolog Jarosław Kaczyński z kliniki leczenia niepłodności InviMed i przytacza anegdotę z jednego z takich wyjazdów szkoleniowych: – Kiedy osoba, która mnie rejestrowała, zobaczyła, że jestem z Polski, zawołała szefa szkolenia, a szef szkolenia złożył mi gratulacje. Wyraził uznanie, że przyjechało aż sześciu doktorów z Polski. Sześciu na blisko 150 osób. Oni byli szczęśliwi, że przyjechała taka wielka populacja Polaków. To znaczy, że zwykle nikt nie przyjeżdża. A jak przyjeżdża, to wyjazdy traktuje jak wycieczki krajoznawcze.

Lekarze i lekarki specjalizujący się w endometriozie przyznają, że ścieżka szkolenia jest trudna, długa i droga. Pochłonie prywatny czas i mnóstwo prywatnych pieniędzy. Ginekolog Daniel Kurczyński, który sam siebie nazywa lekarzem jednej choroby, podlicza, że na szkolenia wydał ok. 300 tys. zł. Jeździł do różnych ośrodków, oglądał różne metody operowania. Wszystko z błogosławieństwem przełożonego. (…)

Szef, który nie rzuca kłód pod nogi, nie jest znów wcale takim częstym przypadkiem. Bo gdy lekarz nakładem własnych sił i środków zdobędzie umiejętności, musi jeszcze wywalczyć zgodę szpitalnej starszyzny na to, by te umiejętności móc w ogóle zastosować. A gdy lekarz jest lekarką, może być jeszcze trudniej.

– Polską ginekologią rządzą mężczyźni, a w zabiegowych specjalizacjach na kobiety czeka szklany sufit – mówi bez ogródek dr Jacko, która przeszła długą drogę, by endometriozę móc operować. – Moi rodzice wychowali mnie tak, że płeć się jakoś specjalnie nie liczy. Mój ojciec nauczył mnie zmieniać akumulator i robić na drutach. Ja w wieku 30 lat dowiedziałam się, że płeć jednak ma znaczenie, kiedy się okazało, że najbardziej lewy facet pójdzie na blok operacyjny, a zdolna manualnie dziewczyna nie zostanie wpuszczona. Przez cztery pierwsze lata pracy na blok byłam rozpisana raz.

Chore kobiety od endometriozy nie umrą, bo żyć z nią można długo, ale fatalnie.

W tym męskim świecie na swoją pozycję ciężko i z pasją pracowała także prof. Ewa Milnerowicz-Nabzdyk. Przez wiele lat szkoliła się we Francji, Włoszech, Luksemburgu i Indiach u najlepszych ekspertów od endometriozy i wielonarządowej chirurgii małoinwazyjnej, by później dołączyć do tego grona i za granicą uczyć innych.

– U kobiet robiących karierę w medycynie dochodzi to, że część z nich chce mieć dzieci i dom, w którym nierzadko pracują na drugim etacie. Chcą stworzyć rodzinne ciepło, chcą żeby dzieci pamiętały smak szarlotki, którą piecze tylko mama, i jej popisowych gołąbków z kiszonej kapusty. To są zadania dla hiperkobiety – zauważa słusznie Milnerowicz-Nabzdyk. – Mnie się udało urodzić i wychować dwójkę, a później rozwinąć się z ogromnym wsparciem rodziny. Mój mąż sam jest chirurgiem. Rozumie, co to znaczy pasja do operowania. Potrafił jednak zrezygnować z bloku operacyjnego, mimo że też to kochał, żebym ja zajęła się tym, co tak mi się podoba. Teraz niekiedy mu zazdroszczę, bo sypia lepiej ode mnie i ma czas na treningi personalne trzy razy w tygodniu.

Droga do tego, co osiągnęła profesor Uniwersytetu Opolskiego, wciąż nie jest prosta. W sensie dosłownym, bo to droga między dwoma miastami. Ze specjalistką od endometriozy rozmawiamy przez telefon o 6.45, gdy punktualnie, jak co dzień, wyjeżdża do pracy. Pani profesor mieszka we Wrocławiu, a jej szpital jest w Opolu. Bo to dopiero w Opolu znalazła miejsce, w którym mogła stworzyć swój wymarzony ośrodek i swój wymarzony zespół.

– Stwierdziłam, że dojeżdżanie 100 km w tę i z powrotem za cenę realizacji mojej pasji i pracy ze zgranym, lubiącym się i lubiącym swoją pracę zespołem jest tego warte – opowiada, parkując samochód, gdy tuż przed 8.00 dojeżdża do Opola. O 8.00 rozpocznie odprawę na swoim oddziale. – To mnie napędza, to daje mi satysfakcję. Bo potem się okazuje, że to małe Opole staje się miejscem odwiedzanym przez ludzi z całego świata. Przyjeżdżają do nas na szkolenia lekarze z wielu krajów Europy. Teraz dostaliśmy zapytanie od grupy z krajów arabskich, czy mogą przyjechać na miesiąc lub choćby na tydzień, żeby z nami pooperować.

To, co dla nas brzmi jak całkiem imponująca kariera, wielu lekarzom wciąż nie wystarcza, by zasłużyć choćby na skromne słówko uznania. Dr Jacko, która zna prof. Milnerowicz-Nabzdyk ze wspólnych kongresów medycznych, podsumowuje z ironią:

– Przecież ja znam te wszystkie kuluarowe pogaduszki. „Nieee, Ewa to się dopiero uczy”, mówili jeszcze dwa lata temu, kiedy Ewa swoje operacje już na żywo transmitowała za granicę.

Bo z kolegami bywa różnie.

•

– Często poprawia pan po kolegach? – pytamy Kurczyńskiego. Ten bierze głęboki wdech. Wyraźnie go to uwiera.

– Muszę odpowiadać na to pytanie?

– Nikt nie chce na nie odpowiadać – mówimy i jest to prawda, bo to trzeba lekarzom przyznać: potrafią trzymać język za zębami, gdy chodzi o błędy kolegów.

eprasa.pl c938a05b9e

– Często – odpowiada ginekolog jedynym słowem.

– A coś szczególnie pana wkurza?

– Torbiele endometrialne. – Lekarz ożywia się dopiero teraz. – No to jest dla mnie granda. To jest rozbój w biały dzień.

Ginekolodzy najczęściej rozpoznają endometriozę właśnie po torbieli endometrialnej umiejscowionej na jajniku. To dobrze, bo stawiają dzięki temu właściwe rozpoznanie i pacjentka przy odrobinie szczęścia dowiaduje się, co jej jest. Gorzej, gdy torbiele taśmowo usuwają. Bo biorą je za nowotwór jajnika.

usuwanie bezsprzecznie prowadzi do uszkodzenia czynności jajników, czyli po prostu do upośledzenia kobiecie płodności. Kurczyński proponuje najpierw sprawdzić, czy torbiel jest nowotworowa, nie usuwać jej, jeśli nie jest to absolutnie konieczne, i spróbować zmniejszyć ją za pomocą antykoncepcji.

– Na początku swojej kariery też namiętnie te torbiele usuwałem. Tak mnie nauczono – przyznaje szef bloku operacyjnego Katowickiego Centrum Onkologii. – Ostatnie polskie rekomendacje dotyczące leczenia endometriozy były z 2012 r. i wskazywano w nich, żeby torbiele usuwać. Nowe wyszły dopiero teraz. Problem w tym, że zanim ta informacja dotrze do ogółu, to minie kilka dobrych lat. Bo rekomendacje czytają młodzi lekarze. Inni przeczytają, jak są zainteresowani, a jak nie są, to czytać nie muszą. W imię zasady: „Ja od 20 lat tak leczę i jest dobrze". I co pani zrobi? No nic pani nie zrobi.

Polską ginekologią rządzą mężczyźni, a w zabiegowych specjalizacjach na kobiety czeka szklany sufit.

– To jest klops zupełny – stwierdza dr Siekierski. – To systemowe nieporozumienie, podstawowy błąd w kształceniu zarówno przed-, jak i podyplomowym. Doktora uczono całe życie, że wszystko na jajniku może być nowotworem, zapisuje więc pacjentkę do operacji. Nie robi żadnych badań, nie zastanawia się nad tym, że w Polsce mamy około miliona kobiet chorych na endometriozę. A świeżych rozpoznań raka jajnika jest rocznie ok. 4 tys.

To jednak o raku myśli lekarz i raka boi się pacjentka. I dopiero w trakcie operacji lub później, po otrzymaniu wyników badania histopatologicznego, okazuje się, że żadnego niebezpieczeństwa nie było.

– Pacjentka słyszy: „Miała pani ogromne szczęście, to żaden rak jajnika, to zwykła endometrioza. Usunęliśmy torbiel. Jest pani zdrowa, jest super" – opowiada z lekkim sarkazmem dr Siekierski. – Ale wysoce nieprawdopodobne jest, żebyśmy mieli do czynienia z izolowaną endometriozą w postaci wyłącznie torbieli. Tym torbielom towarzyszą inne ogniska choroby.

Innymi słowy, torbiel niemal na pewno ma gratisy. Tyle że zbyt często ginekolodzy ich nie widzą. A jak nie widzą, to nie wycinają. Zostawiają więc zrosty, usuwają samą torbiel i mówią pacjentce, że jest wyleczona. Ale torbiele lubią nawracać, a ich

•

Mimo naszych wysiłków zawsze coś może pójść źle. Każda operacja może się powikłać – mówi Kurczyński o operowaniu endometriozy. – Najgorsze są powikłania związane z uszkodzeniem unerwienia. Spotkałem takie pacjentki na swojej drodze i modlę się, żeby po mojej operacji nic takiego się nie stało.

– Czyli co? – dopytujemy.

– Młoda dziewczyna, przed trzydziestką. – Lekarz podaje nam przykład pacjentki. – Po operacji ból minął, ale żeby się wysikać, ona musi się samozacewnikować. Tak, musi za każdym razem sama sobie założyć cewnik. Uszkodzono jej nerwy. Tego operacyjnie nie da rady naprawić. Nie da się tego wyrehabilitować. Nie można nic z tym zrobić.

Operacje endometriozy nie ratują życia, bo endometrioza nie jest chorobą śmiertelną. Chore kobiety od endometriozy nie umrą, bo żyć z endometriozą można długo, ale fatalnie. Operacja endometriozy ma poprawić komfort życia. Im bardziej będzie radykalna, tym lepsze będą jej wyniki. Lecz przy tym również większe ryzyko powikłań. Radykalnym trzeba więc być wobec choroby, ale zachowawczym wobec wszystkich funkcji organizmu. Z powodu tych trudności, a także ze względu na złożoność samej choroby, operacje endometriozy należą do najtrudniejszych zabiegów w ginekologii.

I wcale nie najrzadszych.

– Rocznie mamy w Polsce między 150 a 170 tys. nowych zachorowań na nowotwory. Wszystkie, u wszystkich – wylicza dr Siekierski. – A w przypadku endometriozy możemy mieć rocznie od 100 do 300 tys. kobiet, które wymagają operacji. Liczba tych kobiet jest ogromna, wcale jednak nie odpowiada liczbie lekarzy, którzy te operacje potrafią wykonywać dobrze.

•

– Chciałam robić rzeczy najtrudniejsze, dlatego zajęłam się endometriozą – mówi prof. Milnerowicz-Nabzdyk, kierująca oddziałem ginekologii onkologicznej. – Endometrioza wymaga dużej wiedzy anatomicznej, doskonałej znajomości technik operacyjnych nieograniczających się jedynie do narządu rodnego. – Ma doświadczenie w operacyjnym leczeniu nowotworów, więc może porównywać, a porównanie wychodzi zaskakująco. – Endometrioza jest niejednokrotnie znacznie trudniejsza do operowania w stosunku do chorób onkologicznych. Pracujemy w trudnych warunkach anatomicznych, w warunkach kompletnie zmienionych narządów, często po wielu poprzednich wejściach do brzucha. To jest najwyższy stopień trudności operacji.

Dlatego ten, kto bierze się za endometriozę, musi chorobę znać na wylot, a anatomię człowieka mieć w małym palcu. To nie będzie praca na taśmie. Nie będzie standardowo. Ważne jest, by zbierać doświadczenie, uczyć się od najlepszych i jak najwięcej operować.

– Onkologia jest trudna, jeśli chodzi o operowanie, ale sztampowa, jeśli chodzi o przebieg operacji, zwykle bardzo podobny – stwierdza Kurczyński. – Onkologia to rzemieślnictwo, a endometrioza to wirtuozeria.

eprasa.pl c938a05b9e

Każda operacja endometriozy jest inna. To nie są standardowe procedury, to są czasem takie trochę… dziwactwa.

Podobny w tych operacjach jest tylko początek. Bo na początku każda kobieta z zaawansowaną, głęboką endometriozą w brzuchu ma miszmasz. Wszystko zrośnięte w jedno. Operator chwyta więc za narzędzia i z plątaniny tkanek zaczyna wydzielać poszczególne narządy. A gdy po długich kwadransach żmudnej pracy narządy zaczynają w końcu przypominać te z atlasów anatomicznych, przychodzi czas na oczyszczenie ich z endometriozy. Najlepiej dla pacjentki będzie zrobić to raz, ale porządnie.

– Mówi się, że endometrioza ciągle nawraca i nie ma co leczyć jej operacyjnie, bo to walka z wiatrakami i na dodatek może okaleczać chore – tłumaczy dr Siekierski. – To w większości nie są nawroty. To jest zwykle prosta kontynuacja pierwotnie niewyleczonej choroby, a nie żaden nowy rzut. Nie wszystko zostało po prostu usunięte.

Z usuwaniem jest ciężko, bo endometriozę czasem trudno nawet znaleźć. Choroba zapewnia lekarzowi szeroką gamę różnokolorowych atrakcji. Ciemnobrązowe torbiele, białe zmętnienia, żółte pęcherzyki i płomieniste zrosty. Prawdziwym postrachem jest endometrioza w postaci przypominającej ciemnoniebieski proszek.

– To sakramencko trudne do leczenia – przekonuje Kurczyński. – To jest endometrioza, której na pierwszy rzut oka nie widać.

Powierzchowna endometrioza otrzewnowa wygląda jak kilka drobnych piegów na nosie, a potrafi boleć znacznie bardziej niż postać, która zmienia brzuch w kłębowisko pozrastanych narządów. Takich piegów nie widać ani w USG, ani w rezonansie. Łatwo przeoczyć je w trakcie operacji. To jak malutka dziurka wydrążona w ziemi przez mrówkę. Na powierzchni ledwie zauważalna, ale głębiej zmienia się w sieć podziemnych tuneli. W brzuchu chorej kobiety taki tunel drąży kolejne narządy.

– Ja się boję właśnie tych ognisk, których nie widać – przyznaje Kurczyński. – Jak nie będę dobrze szukać, jak nie będę się czepiać każdego drobnego szczegółu, to wyjmę pacjentce kamerę z brzucha i powiem jej, że jest zdrowa. A przecież nie można zapominać o tym, co w tej chorobie deficytowe, a jednocześnie bardzo potrzebne – o dobrej komunikacji z pacjentką.

•

– Endopacjentki znają anatomię prawie tak dobrze jak lekarze. My mamy w domach książki medyczne – mówi prezeska Fundacji „Pokonać Endometriozę". – Bo która normalna kobieta wie dokładnie, gdzie ma pęcherz, którędy idzie moczowód, jak biegną więzadła? Niektóre moje koleżanki nie wiedzą nawet, że takie narządy w ogóle u człowieka w brzuchu są.

Kobiety chore na endometriozę wiedzą, bo nie mają innego wyjścia. Gdy lekarze nie wierzą w ich objawy, nie stawiają poprawnej diagnozy, a do tego nie informują o dostępnym leczeniu, pacjentki biorą to na siebie. Korzystają z książek, z mediów i z forów internetowych, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o swojej chorobie. Nauczone własnym fatalnym doświadczeniem.

– Potrafię sama wskazać lekarzowi, co i gdzie mnie boli – oznajmia Jaworska-Wojtas i opowiada nam o operacji, która ją do tego zmusiła. Wszystkich operacji przeszła łącznie 16. Mogło ich być znacznie mniej. – Lekarz wyciął mi macicę i lewy jajnik. Po tej operacji ból miał minąć, ale bolało mnie dalej, i to tak, że byłam już na wykończeniu. Dopiero trzy lata później odezwała się do mnie daleka znajoma, instrumentariuszka, która była przy mojej operacji. Widziała, jak się męczę, więc powiedziała mi, jak to wszystko wtedy wyglądało. Lekarz otworzył mnie i zaklął: „O kurwa". Mój prawy jajnik był zrośnięty z pęcherzem i z jelitami. Lekarz nawet tego nie dotknął, wyciął po wierzchu, resztę zostawił i kazał mi z tym żyć.

Powinno być inaczej.

Jeszcze na długo przed operacją lekarz powinien wiedzieć, co zastanie w brzuchu pacjentki, a pacjentka powinna być świadoma możliwych powikłań. Jeszcze na długo przed operacją pacjentka musi wiedzieć, czego oczekuje, a lekarz musi szczerze przyznać, czy potrafi to uzyskać. Rozmowa jest częścią właściwego leczenia endometriozy.

– Dobra operacja to operacja skrojona na miarę potrzeb pacjentki – mówi prof. Milnerowicz-Nabzdyk. – Potrzeby są różne, więc operacja powinna być spersonalizowana. Przed każdą trzeba się dobrze zastanowić. Z jednej strony chcemy zadziałać na tyle radykalnie, by uwolnić pacjentkę od objawów, a z drugiej nie wyrządzić jej za dużo szkód. Czasami to bywa bardzo trudne, dlatego ogromnie ważny jest protokół zgody operacyjnej. To w nim zawieramy informacje, na ile radykalni, a na ile oszczędzający mamy być. Ustalamy, czy pacjentka woli zostać z resztkowym bólem, czy też ból jest dla niej już tak nie do zniesienia, że chce się go pozbyć kompletnie, akceptując różnego rodzaju dysfunkcje, np. w motoryce jelit czy w pracy pęcherza. (…)

– Jeśli pacjentka prosi mnie, żebym się odpalił i zrobił wszystko, by przestało ją boleć, to ja się odpalę. Będę jak pitbull spuszczony ze smyczy – zapewnia żywo Daniel Kurczyński. – Natomiast jeśli to nie ból jest powodem operacji, a pacjentka boi się powikłań, no to ja już wtedy nie będę tak bardzo hulał – puentuje lekarz, po czym dzieli się obserwacją: – W ostatnich dwóch, trzech latach zmienił się profil pacjentek. One już nie przychodzą z wątpliwościami. One wiedzą, co im jest. Przychodzą do lekarza tylko po potwierdzenie.

Onkologia to rzemieślnictwo, a endometrioza to wirtuozeria. Każda operacja endometriozy jest inna.

Fragmenty książki Magdy Łucyan i Katarzyny Górniak *Taka twoja uroda. Jak endometrioza niszczy życie Polek*, Znak Horyzont, Kraków 2025

eprasa.pl c938a05b9e

Susanne Schötz

ZROZUMIEĆ **KOTA**

Nie wszystkie koty lubią się komunikować dźwiękami. Wiele z nich woli milczeć

Sposób, w jaki koty wyrażają siebie, pod wieloma względami różni się od sposobu, w jaki robią to ludzie. Najpierw musimy odkryć wyjątkowy sposób podejścia do kotów, tak by zrozumieć je jako całość – można by powiedzieć, że musimy złamać tajny kod. (...) Znaczenie słowa, czyli to, co ma na myśli jego nadawca, wypowiadając to konkretne słowo, zawsze zależy od sytuacji, w której jest ono wypowiadane, i od stanu emocjonalnego wypowiadającej je osoby. W przypadku niejasności zawsze można spytać rozmówcę, o co chodzi. (...) Z kocim językiem jest inaczej. Nawet jeśli uważam, że umiem dokładnie zinterpretować konkretny dźwięk wydawany przez mojego kota, a do tego go naśladować, nigdy nie będę miała stuprocentowej pewności, czy rzeczywiście robię to dobrze, czy stosuję go we właściwym kontekście i w jaki sposób mogę przetłumaczyć go na język ludzki – ponieważ język koci nie funkcjonuje tak jak ludzki język (obcy).

Niemniej możemy się zbliżyć do kociego języka i nauczyć się go lepiej rozumieć. Zwierzęta wydają konkretne dźwięki w zależności od sytuacji, w jakiej się znajdują. (...) Jednak to, co pomaga nam zrozumieć język kota, to spojrzenie na sytuację, kontekst, w którym kot wyraża siebie. (...)

Podczas życia z ludźmi kot rozwija unikatowe warianty dźwiękowe, które bardzo dobrze pasują do danej relacji i jej potrzeb komunikacyjnych i zostały odpowiednio wypróbowane. Ponieważ nie jesteśmy w stanie ani dokładnie zinterpretować, ani poznać wszystkich tych indywidualnych wariantów, ani też szczegółowo ich opisać, koci język pozostaje dla nas tajemnicą. Każdy kot ma swój własny „tajemniczy" język, znany jedynie „jego" człowiekowi – i to tylko wtedy, gdy człowiek ten słyszy go dostatecznie często.

•

Świat jest pełen kotów (...). Jednak wielu ludzi nie jest w stanie prawidłowo interpretować dźwięków wydawanych przez swoich pupili. Każdy, kto słucha uważniej, jak koty do nas „mówią", szybko się orientuje, że mogą one wydawać wiele różnych dźwięków i że ich zrozumienie wcale nie jest takie trudne. Przykład: chociaż nasz kocur Kompis najchętniej przesiaduje w ogrodzie, lubi spać w domu, zwłaszcza gdy na zewnątrz jest zimno. Ma tu swoje ulubione miejsce – taboret przykryty kocem, stojący przed piecem w sieni. Często śpi całymi godzinami, a kiedy się obudzi i chce być wypuszczony na dwór, od razu o tym wiemy, ponieważ wydaje z siebie dźwięki o częstotliwościach, które my, ludzie, natychmiast słyszymy. „Miiaa", mówi bardzo jasnym głosem. I chociaż jesteśmy na pierwszym piętrze, daleko od niego, doskonale go słyszymy. Wiemy też, że Kompis używa dużo głębszego dźwięku, gdy w ogrodzie spotyka wroga. Wtedy jego głos brzmi bardziej jak głębokie „moouuoouuuu". Skąd wie, że lepiej go zrozumiemy, gdy użyje jasnego głosu? Dlaczego zmienia głos, rozmawiając z innym kotem? (...)

•

Od 10 tys. lat koty i ludzie żyją razem. My udomowiliśmy je, a one nas. Nauczyły nas, jak sobie z nimi radzić (nie zbliżać się za szybko, nie łapać za mocno, nie mówić za głośno), a my nauczyliśmy je, że lubimy mieć je w pobliżu, lubimy je karmić i głaskać, że dostaną od nas ochronę i ciepło, jeśli tylko będą przyjaźnie nastawione i od czasu do czasu złapią kilka myszy, aby nie niszczyły naszego zboża.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c938a05b9e

Chociaż koty to w większości samotnicy, wolący nie mieć w pobliżu innych przedstawicieli swojego gatunku, zdarzają się między nimi przyjaźnie. Poza tym większość udomowionych kotów lubi żyć z ludźmi. W tym sensie są istotami społecznymi i komunikują się ze sobą – i z nami, ludźmi – na wiele sposobów: za pomocą zapachu (węchowo), mowy ciała (wizualnie), dotyku (dotykowo) i dźwięków (akustycznie).

Niestety, nie jesteśmy psami tropiącymi, które bardzo sprawnie wyłapują wszystkie zapachy, i często wpatrujemy się w smartfony, komputery, książki, gazety, telewizory itd. – do tego stopnia, że nawet nie zauważamy, że od pół godziny nasz kot siedzi przed pustą miską i czeka na śniadanie. Dlatego koty rozwijają ze „swoimi" ludźmi rodzaj języka, który jest zrozumiały dla obu stron. Czasami nie mają innego wyjścia i jeśli czegoś chcą, muszą się z nami komunikować za pomocą dźwięków, np. „miau". Zrozumiały to. Wiedzą, że natychmiast na to reagujemy i zazwyczaj rozumiemy, czego chce od nas nasz kot: jedzenia, otwarcia drzwi, wyciągnięcia ulubionej zabawkowej myszy spod sofy lub pół godziny uwagi – głaskania, przytulania, zabawy.

Dotyk: komunikacja dotykowa

Nasze koty doskonale wiedzą, że najlepiej i najłatwiej komunikować się ze swoim panem lub panią za pomocą dźwięków. Mają jednak jeszcze jeden sposób komunikacji. Uderzają łbem, ocierają się o nogi, ugniatają łapkami nasze kolana (młode koty robią tak przy sutkach matki, dorosłe mogą ugniatać każde miękkie podłoże), czasami drapią lub gryzą, by pokazać, że dość tej zabawy – słowem: komunikują się za pośrednictwem dotyku. Dotyk jest bardzo ważny nie tylko w przypadku kociej mamy i jej małych, lecz także dla kotów, które żyją w grupach. Być może nasi czworonożni przyjaciele chcą pokazać nam, ludziom, że akceptują nas w swojej grupie.

Koty, które dobrze się znają i są przyjaciółmi, lubią leżeć blisko siebie, np. kiedy śpią. Lubią też wzajemnie się myć. Na powitanie często trącają się głowami (nieważne, czy chodzi o drugiego kota, psa czy człowieka). Ta dotykowa komunikacja składa się z przyjaznych gestów i służy wzmocnieniu więzi społecznych.

Sygnały zapachowe są dla kotów niemal jak czasopismo, do którego mogą sięgnąć inni przedstawiciele ich gatunku.

Postawa i ruch: komunikacja wzrokowa

Powinniśmy zwracać znacznie większą uwagę na sygnały wizualne, czyli język ciała naszych przyjaciół. Postawa i ruch ciała – całego albo tylko poszczególnych jego części, takich jak ogon, łeb lub pysk, a zwłaszcza uszy, oczy i wąsy – dają wyraźne wskazówki dotyczące aktualnego nastroju lub potrzeb kota. W sytuacjach agresywnych lub defensywnych zwiększenie objętości ciała poprzez nastroszenie sierści oznacza zazwyczaj: „Jestem duży, silny i dominujący, ale równie dobrze może to być blef". Dlatego przed atakiem kot się prostuje – często robi też koci grzbiet – stroszy sierść i czasami otwiera pysk, żeby zrobić wrażenie jak najgroźniejszego i w ten sposób ewentualnie ochronić się przed atakiem wroga.

Jeśli natomiast Vimsan przykuca, gdy tylko Donna ją minie, oznacza to coś zupełnie innego: wtedy pokazuje, że jest bardzo mała, nieszkodliwa i nie chce rozpocząć walki. Koty często komunikują się za pomocą drobnych ruchów, np. poprzez sposób poruszania głową, uszami czy oczami. Silniejsze sygnały, takie jak ruchy ciała czy ogona oraz nastroszone futro, są widoczne dla innych z daleka, ale nie utrzymują się tak długo jak np. zapach.

Dzięki powolnym ruchom, takim jak zamykanie oczu, ziewanie, mycie się czy nawet wolne odchodzenie, wydają się nieszkodliwe i spokojne. Szybkie ruchy (machanie ogonem, walenie łapami, szybkie bieganie do przeciwnika lub z powrotem) świadczą zazwyczaj o zdenerwowaniu. Wskazują one, że może dojść do poważnej walki.

Szczególnie interesujące są sygnały dawane przez ogon. Pionowo wyciągnięty ogon często oznacza: „Jestem młody, mały i przyjazny"; ogon trzymany wysoko, ale nastroszony jak szczotka, może oznaczać: „Jestem duży i imponujący"; ogon wysoki z małym zagięciem lub zwinięty na górze mówi: „Jestem zadowolony i przyjaźnie nastawiony".

W przypadku kotów machanie ogonem ma zupełnie inne znaczenie niż u psów. Rzadko ma ono coś wspólnego z radością czy przyjazną ekscytacją. Jest to raczej bezwiedna reakcja na konflikt wewnętrzny. Im mocniejsze machanie, tym silniejszy konflikt. Podczas gdy powolne machanie ogonem często jest tylko oznaką zwiększonej koncentracji, mocniejsze machanie oznacza: „Jestem zdenerwowany", a jeszcze bardziej energiczne: „Jestem bardzo zdenerwowany, zaraz będzie awantura".

Dzięki powolnym ruchom, jak zamykanie oczu, ziewanie, mycie się czy wolne odchodzenie, koty wydają się nieszkodliwe i spokojne.

Znaczenie moczem i ocieranie się: sygnały zapachowe

Niestety, my, ludzie, nie możemy wyczuć wszystkich zapachów, które zostawiają nasze koty. Zwłaszcza zapachy zwane feromonami, które są bardzo ważne w komunikacji między kotami, trwają dłużej niż dźwięki

eprasa.pl c938a05b9e

i przekazują informacje, nawet gdy kot już dawno jest gdzie indziej. Sygnały zapachowe są dla kotów niemal jak czasopismo, do którego mogą sięgnąć inni przedstawiciele ich gatunku. Mówią o płci, wieku, stanie zdrowia i gotowości do krycia, a także o tym, jak stary jest ten zapach. Po pewnym czasie sygnały zapachowe słabną, dlatego muszą być stale odnawiane. Sygnały zapachowe obejmują mocz, kał i zadrapania, wyraźne zapachy pozostawia również ocieranie się łbem lub całym ciałem.

Kiedy Turbo ostrzy pazury na swoim ulubionym drzewie drapaku w naszym salonie, nie tylko dba o ich stan, lecz także zostawia swój zapach. Wydziela go przez gruczoły na łapach. Koci współlokatorzy wiedzą, że niedawno tu był. To taki rodzaj kociego Facebooka: „Zalogowałem się, a ten zapach jest moim statusem".

Rocky i Donna również komunikują się zapachami, kiedy ocierają się o moje łydki, twarz, drzwi kuchenne czy nogę krzesła. Ale oznacza to raczej: „Tu mieszkam, tu czuję się dobrze i chcę zostawić swój zapach, tak żeby mieszkańcy i rzeczy w naszym domu pachniały tak samo jak ja, bo wtedy czuję się bezpiecznie".

Interesujące są sygnały dawane przez ogon. Pionowo wyciągnięty często oznacza: „Jestem młody, mały i przyjazny".

Często źle rozumiemy te sygnały. Mamy pretensje o znaczenie moczem i drapanie mebli. Zakładamy, że kot jest złośliwy, i robimy wiele, by go powstrzymać. Czyścimy meble i stosujemy środki, które – jak mamy nadzieję – zniechęcą kota do ich obsikiwania, w najgorszym razie meble usuwamy. Jednak dla kota znaczenie moczem to sposób komunikacji, a drapanie mebli to po prostu pielęgnacja pazurów.

Jeśli Kompis podsikuje jakiś krzak w ogrodzie, informuje w ten sposób wszystkie inne koty, że ogród jest nasz, że to jego terytorium. W miastach, w których wiele kotów mieszka na bardzo ograniczonej przestrzeni, nie wszystkie mają własne terytorium i muszą żyć w jednym miejscu z innymi kotami. Co dziwne, w takiej sytuacji koty potrafią pójść na kompromis i podzielić się na swego rodzaju zmiany: „Przed południem ja robię patrol i zostawiam wszędzie swój zapach, a wy, koty sąsiada, możecie robić to samo po południu, bo wtedy jestem w domu i śpię. Dzięki temu będziemy się rzadko spotykać i rzadko będzie dochodzić między nami do konfliktów". Potencjalni konkurenci rozumieją to ostrzeżenie; wiedzą, że to ten kot będzie tu królem – młodym, zdrowym i niezwykle silnym. Jeśli inny kot przyjdzie i oznakuje to terytorium, ten pierwszy ponownie oznakuje je już następnego dnia.

Chociaż nie mogę w pełni wyczuć tych zapachów, zauważyłam, że kiedy nasze koty ocierają o moją twarz swoje czoło lub policzki, wyczuwam delikatny zapach banana. Może to tylko moja wyobraźnia, ale ten zapach mówi mi: „Jesteś moim człowiekiem i dlatego oboje powinniśmy pachnieć tak samo". Może to jakiś rodzaj wyznania miłości albo sposób na potwierdzenie wspólnoty i przynależności do człowieka.

Miauczenie, gruchanie, warczenie i furczenie: komunikacja poprzez dźwięki

Nie wszystkie koty lubią się komunikować dźwiękami. Wiele z nich woli milczeć. Nie należy zapominać, że koty są przede wszystkim drapieżnikami. Instynkt drapieżnika tkwi głęboko nawet w naszych domowych kotach. Dlatego instynktownie starają się ukryć miejsce swojego pobytu i swoje samopoczucie (zwłaszcza gdy są chore lub mają młode), by samemu nie paść ofiarą innego drapieżnika. Ale od czasu do czasu chcą również komunikować się ze sobą za pomocą dźwięków. Nocą koty chętnie przebywają na zewnątrz i właśnie wtedy, gdy znajdują się w sporej odległości od siebie, dźwięki są sensowną formą komunikacji. Jestem pewna, że większość z nas słyszała nocny koci śpiew.

Koty nauczyły się, że ludzie bardzo dobrze reagują na wydawane przez nie dźwięki. Nie mamy tak czułych nosów jak koty, często patrzymy też w inną stronę i nie zauważamy np., że nasz futrzasty współlokator właśnie się zakradł do pokoju i usiadł przed pustą miską. Kiedy pracujemy, korzystamy z komputera, telefonu komórkowego lub śpimy, głośne dźwięki są najskuteczniejsze. Czworonożni przyjaciele zrozumieli to i dostosowali się do nas. Dlatego też rozwinęli ze „swoimi" ludźmi swego rodzaju język zrozumiały dla obu stron.

Poza tym stwierdziłam, że im więcej rozmawiam z kotem, tym więcej on rozmawia ze mną. Trzeba jednak odpowiedzieć na pytanie, czy wszystkie koty mówią tym samym językiem. Czy potrafią wzajemnie się zrozumieć, komunikując się sygnałami dźwiękowymi? Istnieją sygnały uniwersalne i zrozumiałe dla wszystkich kotów. Ale istnieją również nieznaczne różnice – geograficzne, kulturowe i rasowe. A może wpływ na koty ma język lub dialekt ludzi, w pobliżu których przebywają? Gdy wygłaszam prelekcję na temat kocich dźwięków, po wykładzie często przychodzą do mnie właściciele kotów i mówią: „Mój kot wydaje zupełnie inny dźwięk niż ten, który nam pani puściła. Czy dlatego, że rozmawiam z moim kotem po japońsku?". Chociaż nie zostało to jeszcze dokładnie zbadane, wielu naukowców uważa, że koty rzeczywiście mogą rozwijać dialekty rodzinne, grupowe lub sąsiedzkie. Czy koty posługują się dialektami, czy też rozwijają repertuar unikatowych dźwięków, które może zrozumieć tylko jeden człowiek? To ekscytujące pytanie jest kolejnym przedmiotem mojej pracy naukowej.

Fragmenty książki Susanne Schötz *Sekretny język kotów*, Wydawnictwo Kobiece, Białystok 2025

eprasa.pl c938a05b9e

Anthony Bale

Globus Behaima

Średniowieczni ludzie wiedzieli, że Ziemia jest okrągła, ale nie znali sposobu, jak ją opłynąć

Żelazne pręty. Drewniane obręcze. Kubły pulpy papieru płótnowanego. Farby i tusz w wielu kolorach. Ręce i kunszt mistrzów rzemiosła – kowali, drukarzy i ludwisarza. Z tych materiałów wyłania się kula o średnicy ok. 60 cm. Jest rok 1491, w niemieckiej Norymberdze powstaje wspaniałe i niezwykłe dzieło.

Rzemieślnicy pracują w pocie czoła nad globusem – modelem znanego im świata. Posiłkują się przy tym mapą wydrukowaną specjalnie w tym celu. Pustą kulę pokrywają gipsowym bielidłem, kredą malarską. Na tę okrągłą skorupę naklejają paski pergaminu. Potem miejscowy ilustrator rysuje i maluje na niej przez 15 tygodni mapę świata wzorowaną na drukowanym wzorze. Za całe dzieło, w tym za wino i piwo spożywane przez majstrów podczas pracy, płaci skarbiec miejski. Po ukończeniu globus zostaje umieszczony w sali obrad norymberskiego ratusza, majestatycznej gotyckiej budowli w centrum miasta, gdzie ma cieszyć oczy rajców i służyć ich oświeceniu. Zapowiada przyszłe zyski, jako że pokazuje miejsca, gdzie znajdują się drogocenne kamienie, perły, egzotyczne drewno i najlepsze przyprawy – bogactwa, których eksploatacją mogą się zająć obywatele Norymbergi.

Pomysłodawcą tego żmudnego przedsięwzięcia jest Martin Behaim (1459-1507), kupiec, podróżnik i nawigator. Od końca lat 80. był on nadwornym geografem króla Portugalii Jana II (zm. 1495). Jan II chce rozszerzyć strefę portugalskiego handlu i swoje rodzące się imperium na Atlantyk, Afrykę i Wschód, a Behaim uważa siebie za kogoś, kto odgrywa w tych zabiegach kluczową rolę. Jakoż słynie on w Norymberdze z tego, że – wedle własnych chełpliwych słów – „opłynął jedną trzecią świata".

Globus Behaima jest świadectwem jednej z najstarszych zachowanych europejskich prób przedstawienia całego świata w formie materialnej kuli. Pokazuje on jak grupa podróżników, rzemieślników, uczonych i kupców, wyobrażała sobie świat na początku lat 90. XV w., w przeddzień spotkania Europy z Amerykami.

Globus Behaima, który obecnie znajduje się w Germańskim Muzeum Narodowym w Norymberdze, wygląda jak współczesny. Jest wielobarwny, z wyraźnie zaznaczonymi krajami, rzekami, nazwami ludów i miejsc, górami, zwierzętami i misternie wykaligrafowanymi tekstami. Znajduje się na nim ok. 2 tys. nazw geograficznych, 100 ilustracji i ponad 50 długich opisów, a więc jest on zarazem przedstawieniem Ziemi i swoistą encyklopedią. Z czasem pociemniał i pokrył się pęknięciami (a także został kilka razy nieudolnie odrestaurowany). Początkowo trudno się zorientować, co się znajduje na jego powierzchni, ale gdy wzrok się dostosuje, wyłaniają się kontynenty, wyspy i morza oraz małe rysunki – świat pełen szczegółów.

Martin Behaim urodził się w Norymberdze, a jego globus jest wytworem tamtej epoki i miejsca. Gdy Behaim kierował pracami nad stworzeniem globusa, Norymberga była jednym z największych ośrodków handlowych w Europie, opływającym w bogactwa. Dochody rodziny Behaimów pochodziły z handlu luksusowymi tkaninami – bawełną, bławatami, złotogłowiem, adamaszkiem i dywanami z Bliskiego Wschodu, Persji, a nawet Chin – sprowadzanymi do Europy przez Wenecję, handlu na wskroś międzynarodowego. Norymberga, podobnie jak Augsburg, Brugia, Kolonia, Florencja, Frankfurt, Londyn, Lubeka i Paryż, była szybko rozwijającą się składnicą zamorskich towarów dla średniowiecznej Europy, otwartą i ustosunkowaną. Zamożny ojciec Martina, również Martin, był kupcem w Wenecji, podówczas najbardziej kosmopolitycznym mieście w Europie; jego nazwisko znaczy „z Bohemii".

Bogactwo średniowiecznej Norymbergi brało się stąd, że była głównym rynkiem w Europie Środkowej, na którym można było nabyć dobra pochodzące ze Wschodu, zwłaszcza przyprawy, w tym niezwykle ceniony i bardzo drogi szafran, używany nie tylko w kuchni, ale także w medycynie, farbiarstwie i produkcji pachnideł. Norymberscy kupcy

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl c938a05b9e

działali na ogromnym obszarze, od Szkocji po Krym, i utrzymywali stosunki handlowe z konstantynopolitańskimi Genueńczykami i Tatarami z Tany.

Nic zatem dziwnego, że życie samego Behaima toczyło się w miejscach odległych od Norymbergi. Na początku kariery, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, przeszedł roczny okres bycia wędrownym czeladnikiem (Wanderjahr). Czeladnik (który otrzymywał dniówkę, journée, skąd angielskie określenie journeyman) przemieszczał się z miasta do miasta i pracował pod okiem różnych mistrzów, a po nabyciu uprawnień do samodzielnego wykonywania zawodu i przystąpieniu do cechu osiadał w jednym miejscu. Nie była to bezcelowa włóczęga, lecz kształcące podróże.

Jako młodzieniec z patrycjuszowskiego norymberskiego rodu o bogatych tradycjach w tej dziedzinie zajmował się handlem bławatnym w wielkich ośrodkach – Mechelen, Antwerpii i Frankfurcie. Odwiedził również Lizbonę i właśnie Portugalia stała się jego miejscem zamieszkania w późniejszym okresie życia. Ożenił się z kobietą o flamandzko-portugalskich korzeniach, Joanną de Macedo, córką gubernatora wyspy Faial na Azorach. W drugiej połowie lat 80. XV w. Martin odbył wiele morskich podróży, m.in. wziął udział w wyprawie do zachodniej Gwinei w Afryce i na Zielony Przylądek, może też dalej, i przez wiele lat mieszkał na Azorach. Zmarł w 1507 r. w Lizbonie. Zwiedził część najdalszych zakątków znanego wówczas świata, miejsc, które pojawiają się na jego globusie.

Globus Behaima jest świadectwem jednej z najstarszych zachowanych europejskich prób przedstawienia całego świata w formie materialnej kuli.

Behaim i jego globus znajdują się w centrum Europy, między wschodem i zachodem, zwróceni na wschód dzięki handlowi, który przyniósł majątek jego rodzinie i miastu, i na zachód dzięki jego działalności w Portugalii i twierdzeniach, że opłynął wybrzeże Afryki i Azory.

Informacje wypisane na globusie Behaima są połączeniem rzeczywistych danych uzyskanych podczas podróży handlowych i wyssanych z palca opowieści. I tak dowiadujemy się, że na Seilanie (Sri Lance) ludzie chodzą nago, a mieszkańcy leżących na wschód od Indii Wysp Neukurańskich (Nikobarów) mają psie głowy. Czytamy tam, że na Islandii mieszkają urodziwi biali ludzie, którzy drogo sprzedają psy, w celu niedopuszczenia do nadmiernego wzrostu liczby ludności oddają swoje dzieci zamorskim kupcom, zamiast chleba jedzą suszone ryby (jako że nie rośnie tam zboże) i mogą dożyć 80 lat, nigdy go nie zakosztowawszy. Przekonuje się nas, że to oni łowią dorsze, które wędrują na niemieckie stoły. Skąd mamy wiedzieć, co z tego jest prawdą, a co zmyśleniem, co faktem, a co bujdą? Gdybyśmy – tak jak mieszkańcy XV-wiecznej Norymbergi – nigdy nie byli na Sri Lance, w Indiach czy na Islandii, moglibyśmy polegać jedynie na relacjach innych. (…)

Kształt Europy na globusie Behaima można rozpoznać jeszcze dzisiaj. Widnieją na nim delikatnie narysowane kontury Wysp Brytyjskich, ze Szkocją rozciągającą się niemal do szczytu globusa. Francja sięga w morze długim ramieniem Bretanii, pojawia się też, za Finistere, przesadnie duża wyspa Jersey, jedno z wielu miejsc, które zwano końcem świata. Dobrze oznaczone są Półwysep Iberyjski oraz Baleary, Azory i Wyspy Kanaryjskie, z flagami ich władców niczym chorągiewkami na mapie sztabowej. W Danii siedzi na tronie król z berłem w ręku. Półwysep Apeniński sięga głęboko w Morze Śródziemne, obok znajdują się Sycylia, Korsyka i Sardynia. Są też morza Bałtyckie i Czarne, Cypr i Islandia. Skandynawia jest zdeformowana i znika tuż przed północnym krańcem globusa, a to, co jest teraz Rosją, wydaje się w większości pustkowiem, jeśli nie liczyć rzek.

Mimo to w XXI w. Europę Behaima rozpozna każdy, kto przywykł do patrzenia na mapę. Dla współczesnego widza znajomo wyglądają także linie brzegowe Środkowego Wschodu i Afryki Północnej – przepływający przez Egipt Nil, Morze Czerwone, półwyspy Synajski i Arabski.

Jednak dla Martina Behaima i ludzi pracujących nad jego globusem

eprasa.pl c938a05b9e

kształt świata był zupełnie odmienny od naszego. Gdy spojrzymy poza Europę, jego globus bierze rozbrat z naszą wiedzą. Najbardziej rzuca się w oczy to, że są na nim tylko trzy kontynenty: Europa, Afryka i Azja. Na biegunach nie ma prawie nic. W Arktyce, za północnymi krańcami Rosji, jest tylko otwarte morze. Na południu, w miejscu, gdzie leży Antarktyda, zatrudnieni przez Behaima artyści wypełnili przestrzeń norymberskim orłem – symbolem miasta – głową Matki Boskiej oraz flagami, herbami i sztandarami Norymbergi i Europy. Za kresami Tatarii i Kataju (z grubsza biorąc Rosji, Azji Środkowej i Chin) świat Behaima rozpada się na sznur wysp, z których wiele nie ma nazw, jakby kontynenty stały się ładunkiem wyrzuconym za burtę podczas żeglugi po ogromnych morzach reszty świata. W świecie Behaima są dwa główne oceany – Ocean Zachodni, który rozciąga się od Europy do „Cipangu" (Japonii) i Ocean Indyjski, który zaczyna się gdzieś pod Arabią i „Taprobane" (Sri Lanka), a kończy w pobliżu Jawy. Za nią i na południe od Japonii zaczyna się kolejny Ocean, Wschodni, który łączy się z Oceanem Zachodnim (czyli tam, gdzie teraz umieścilibyśmy Pacyfik).

Z takich „błędów" łatwo można wyciągnąć wniosek, że Europejczycy mieli nikłe pojęcie o naszej planecie. Jednak globus Behaima jest zwieńczeniem setek lat odkryć geograficznych i rozważań o kształcie świata oraz dziwach, które się na nim znajdują. Trzeba bardzo wyraźnie stwierdzić, że ogólnie średniowieczni ludzie nie wierzyli, że Ziemia jest płaska; wiedzieli, że jest okrągła, ale nie wiedzieli jeszcze, jak ją opłynąć. Każdemu wykształconemu mieszkańcowi Europy Zachodniej znane było dzieło Jana z Holywood (Sacrobosco) „Tractatus de sphaera" (Traktat o sferze). Praca ta, na którą wywarły wpływ zwłaszcza dzieła Arystotelesa, Ptolemeusza i przekłady pism arabskich astronomów, była od XIII w. najpowszechniejszym elementarnym podręcznikiem astronomii (używanym w quadrivium, na wyższym poziomie nauki w średniowiecznych szkołach). Jan Sacrobosco na podstawie obserwacji, że Słońce, Księżyc i gwiazdy ukazują się „ludziom Orientu i Zachodu" o różnych godzinach, dowodził, że Ziemia ma kształt kulisty. Opisał też „z grubsza zaokrągloną" powierzchnię mórz. Poza tym potwierdzał istnienie Antypodów i w ślad za wpływowym schematem Makrobiusza (ok. 400) przyjmował teorię stref klimatycznych.

Według tej koncepcji Ziemia podzielona była na pięć stref albo kręgów: zimne – północną i południową (Arktyka i Antarktyka), gorącą – równikową, która nie nadawała się do zamieszkania i przez którą „z powodu żaru słońca" z trudem można się było przedostać, oraz umiarkowane – północną i południową. Na globusie Behaima strefa gorąca jest oznaczona linią równikową i opatrzona notą wyjaśniającą, że „przez cały rok dzień i noc trwają tam zawsze po dwanaście godzin". Afryka na południe od równika jest „strefą zwaną gorącą, rzadko zaludnioną, piaszczystą, spaloną słońcem". A zatem można było zasadnie przypuszczać, że na leżących na północ i południe od niej ziemiach strefy „umiarkowanej" panują znośne warunki. Pogłoski o odległych lądach, takich jak umieszczone na globusie, i szczegółowe opisy kontaktów handlowych z wyspami i królestwami w rejonie Jawy i Sumatry świadczyły o tym, że nie tylko nadają się one do zamieszkania, ale także są zamieszkane. Kulisty świat Behaima i zasięg osadnictwa pokazują, że twórcy globusa mieli aktualną wiedzę na ten temat.

Wiele starożytnych autorytetów z zakresu geografii i filozofii snuło spekulacje o istnieniu za strefą gorącą nadającego się do zamieszkania lądu, czwartego kontynentu, odrębnego od znanych im Afryki, Azji i Europy. „Sen Scypiona" pióra Cycerona (54-51 p.n.e.) z komentarzem Makrobiusza, który był szeroko znany w średniowiecznej Europie, opisywał mieszkańców dalekich południowych lądów wschodzącego lub zachodzącego słońca, świata leżącego daleko za zamieszkanym przez Rzymian małym północnym skrawkiem Ziemi (tj. basenem Morza Śródziemnego). Według Cycerona ludzie strefy południowej („którzy chodzą obróceni [do nas] stopami") nie mogli mieć żadnego kontaktu z mieszkańcami strefy północnej (Europy), ale globus Behaima nowatorsko łączy ze sobą wszystkie lądy, umieszczając je na jednej kuli. (…)

Wielu geografów i kartografów przypuszczało, że Ocean Indyjski jest „jeziorem" otoczonym przez ziemię, z nieznanym kontynentem, który stanowi jego południowy brzeg. W XIV w. powszechnie przyjmowano, że w sąsiadującej ze znanymi miejscami strefie południowej istnieje terra incognita, gdzie można było jakoś dotrzeć, chociaż jej wygląd i położenie były przedmiotem sporów. Rozumiano, że przez strefę gorącą można się przedostać. (…)

Na globusie znajduje się ok. 2 tys. nazw geograficznych, 100 ilustracji i ponad 50 długich opisów, a więc jest on zarazem swoistą encyklopedią.

Globus Behaima pojawił się w punkcie zwrotnym historii, w momencie, kiedy przynajmniej w Europie to, co często określa się mianem „średniowieczne", zaczyna wyglądać na „wczesnonowożytne", to jest w przededniu europejskiego osadnictwa w Amerykach po 1492 r. W średniowiecznej historii podróżowania jest więcej podobnych punktów zwrotnych, które znacznie zmieniły jego charakter, np. pierwsza wyprawa krzyżowa w 1096 r., zdobycie w 1453 roku Konstantynopola przez Imperium Osmańskie czy wprowadzanie od lat 20. XVI w. protestanckich obostrzeń dla pielgrzymów. Ale czy podróż da się w ogóle zdefiniować?

Fragmenty książki Anthony'ego Bale'a *Przewodnik średniowiecznego obieżyświata*, przeł. Andrzej Jankowski, Rebis, Poznań 2024

eprasa.pl c938a05b9e

JOLKA

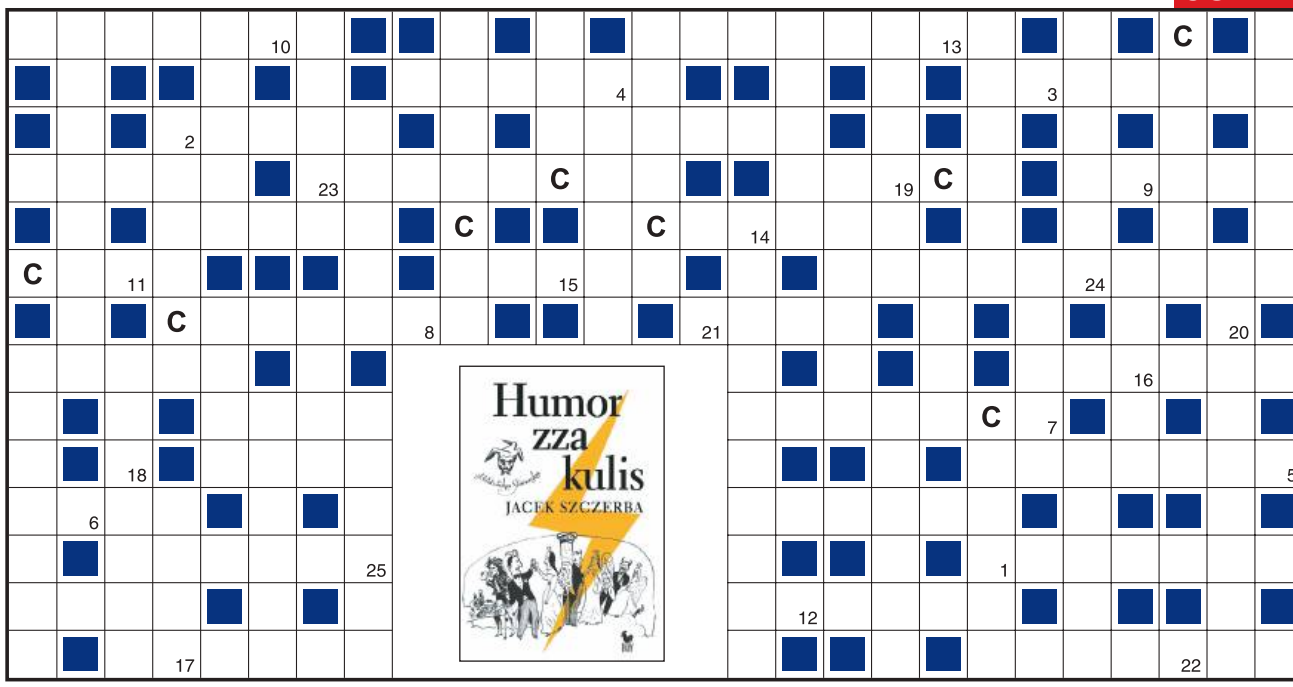

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- dekadencka piołunówka
- najjaśniejszy w konstelacji Skorpiona
- …Borzobohata-Krasieńska u Sienkiewicza
- dzierżawa majątku, karczmy, też karczma
- lasso
- czarna masa wylewana na drogę
- wabik dostarczający rozrywki
- w balecie poza na jednej nodze z drugą zgiętą
- …wyborczy – prawo głosu, gdy się spełnia warunki
- stan wymagający leczenia
- o czymś niepospolicie pięknym
- nie chciała żurawia za męża
- nie rozróżnia kolorów
- informacje wprowadzane do komputera
- Walt od kreskówek
- leży pod grabem, a kilka os gryzie go w nos
- wygodny strój nie tylko sportowy
- promieniowanie czymś, uzewnętrznianie
- gęsty, zbity materiał z wełny
- składany wyraz czci, akt uległości
- azjatycka roślina o aromatycznym kłączu
- szekel tam walutą
- obchodzić się jak z nim – cackać się
- gruba gałąź
- nicpoń, lekkoduch
- farba olejna na dolnej części ściany
- kolor pogodnego nieba
- miasto nad Sanem, w pobliżu góra Czulnia
- „ojciec telewizji polskiej” Kędzierski lub aktor Żurek
- wylewanie paru kropel na ofiarę bogom
- kryty balkon w postaci wnęki
- gdy kręgosłup zbyt wygięty do przodu
- reprezentowała Polskę na Eurowizji 2024
- …lewicy – kiedyś Aleksandra Jakubowska
- dawać w nią – przekupywać
- krwawy, masowy mord
- lekka, przezroczysta tkanina
- starożytne miasto asyryjskie
- eliminujący cios w boksie
- drzewo z brzozowatych i aktor Tadeusz
- czarno-biała odmiana agatu
- damski kostium plażowy
- miasto, gdzie Andriolli stworzył świdermajery
- …Kołodziej
- czekoladki z masą pomadkową
- starotestamentowa pieśń religijna
- diabeł, wierzba lub polityk Jan
- przerabiana w rafinerii
- Poppea… – druga żona Nerona
- szablon działania
- kolor bladozielony
- wodę nim czerpał Gabryś Tuwima
- tabun, kierdel lub wataha
- wódka żytnia długo leżakująca
- jego dzienniczkiem indeks
- łagodzenie barw, wyciszanie emocji
- partnerka basiora
- osłona dla pasażerów na przystanku
- jak nie urok, to ich przemarsz
- siwa wśród krukowatych
- sucha w sporcie
- sprzedaż towarów przez producenta

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1209”. Do rozlosowania książki „Humor zza kulis” ufundowane przez Wydawnictwo Iskry. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 23 lutego 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1206” z nr. 5: *Milczenie jest pokojem duszy.*
Nagrody otrzymują: Jan Bucior z Zagródek, Zdzisław Otmianowski ze Świnoujścia, Maria Szast z Lublina.

eprasa.pl c938a05b9e

Patrząc na Pekin

Radosław Sikorski część pisowskich ambasadorów odwołał do kraju, innych zostawił. No i ten fakt dość szybko obrósł w pytania i plotki. Dlaczego tak, a nie inaczej? I co dalej?

Wdzięcznym obiektem takich dociekań jest Jakub Kumoch, ambasador RP w Chinach. Kumoch wyjechał do Pekinu we wrześniu 2023 r., czyli parę tygodni przed wyborami. Niewątpliwie za sprawą Andrzeja Dudy, który w ten sposób osładzał mu odwołanie ze stanowiska szefa Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta, chociaż Kumoch twierdził, że odszedł na własną prośbę. Praca dla Dudy ponoć tak go pochłaniała, że „sytuacja rodzinna i permanentna rozłąka z najbliższymi okazały się dla mnie i moich dzieci – jak pompatycznie napisał w oświadczeniu – sprawą nie do przezwyciężenia". Musiał więc dokonać wyboru „między obecnym obowiązkiem wobec państwa oraz byciem ojcem".

Nieoficjalnie jednak mówiono, że musiał odejść, gdyż po raz drugi Kancelaria Prezydenta dała się nabrać rosyjskim komikom i Duda odbył z nimi rozmowę telefoniczną, myśląc, że rozmawia z prezydentem Francji Macronem. A oni tę rozmowę nagrali i ze śmiechem opublikowali. To było w styczniu 2023 r., w sierpniu zaś Kumoch został mianowany ambasadorem w Pekinie, gdzie, jak możemy wnioskować, pracy jest niewiele, a przynajmniej tak mało, że można realizować ojcowskie powinności. I widocznie ta sytuacja spodobała mu się na tyle, że zaczął zabiegać u Sikorskiego, by ten go nie odwoływał. I to na tyle intensywnie, że w MSZ zaczęto o tym plotkować. Ba! Sprawa miała dojść do Dudy, który miał oświadczyć, że do Kumocha stracił zaufanie. Co pewnie wielkiego znaczenia nie ma, wszak niedługo odejdzie z pałacu. Ale żeby wątek zakończyć, dodajmy, że Sikorski wszystkie te Kumosze zabiegi i przymilania się miał zdecydowanie odrzucić.

No dobrze, jeśli w Pekinie ma się zwolnić miejsce, to kto tam pojedzie? Otóż objawił się kandydat – to Wojciech Zajączkowski, obecny dyrektor Departamentu Azji i Pacyfiku i jednocześnie p.o. dyrektor Departamentu Wschodniego MSZ.

Zajączkowski to swoisty fenomen, bo w MSZ szefował najważniejszym placówkom – w Moskwie i Pekinie, kierował wiodącymi departamentami – tylko mało kto jego szefowanie pamięta. Człowiek mgła. Jest specjalistą od prawosławia, zaczynał w prasie katolickiej. Do MSZ przyszedł z Ośrodka Studiów Wschodnich. I z Fundacji Batorego. Zasłynął proroczą (hi, hi) książką „Czy Rosja przetrwa do roku 2000", rozpaczając nad upadkiem prawosławia.

Potem był na placówkach na Wschodzie: w Moskwie, w Kijowie. Jesienią 2010 r. został ambasadorem w Moskwie. W 2014 r. wrócił do Warszawy i zajmował stanowisko dyrektora Departamentu Strategii Polityki Zagranicznej. Na tej pozycji doczekał kryzysu personalnego – po odwołaniu z Pekinu do Warszawy ambasadora Mirosława Gajewskiego (bo był absolwentem MGIMO – Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych) PiS przez długie miesiące szukało jego następcy. Sytuacja była kompromitująca, bo kolejni kandydaci odmawiali. Aż wreszcie padło na Zajączkowskiego. I przez pięć lat mieliśmy ambasadora w Pekinie. Potem, gdy wracał do Warszawy, Kumoch mocno lobbował, by przejął Departament Azji i Pacyfiku, bo zależało mu, by mieć zaprzyjaźnionego dyrektora… No i teraz ów dyrektor ma ochotę go zastąpić. Bo w gruncie rzeczy dokąd ma wyjechać?

Attaché

A teraz składamy ręce w piramidę. Ups… Elon Musk z synem i Donaldem Trumpem w Gabinecie Owalnym podczas dyskusji o rozporządzeniu dotyczącym Departamentu Efektywności Rządu, którym Musk ma kierować. Waszyngton, 11 lutego 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c938a05b9e

Monde diplomatique

ADAM BACZKO,
BADACZ FRANCUSKI

Szczególnym celem stały się działaczki feministyczne. Ich demonstracje były brutalnie rozpędzane, a wiele spośród nich zniknęło bez śladu. Talibowie zaostrzyli restrykcje wobec kobiet, szczególnie w zakresie dostępu do edukacji i zatrudnienia. Obecnie nie wolno im się poruszać bez męskiego opiekuna i wchodzić do niektórych miejsc publicznych, takich jak choćby parki. Jeśli chodzi o świadczenia medyczne, to mogą być leczone tylko przez nieliczne pielęgniarki i lekarki, które pozostały w kraju i otrzymały pozwolenie na kontynuowanie praktyki. Kolejnym przykładem zaostrzenia linii talibów jest zapowiedź przywrócenia najbrutalniejszych kar przewidzianych w prawie islamskim, jednak bez ich upowszechniania oraz nagłaśniania w mediach, co praktykowano w latach 90.

wysokieobcasy

MAGDALENA ŁAZARKIEWICZ,
REŻYSERKA FILMOWA I TEATRALNA

Z rosnącym niepokojem uświadamiam sobie, jak niewielu młodych ludzi ceni dziś wolność, zarówno osobistą, jak i w sferze społeczno-politycznej, i są skłonni poświęcić ją dla własnej wygody czy doraźnej korzyści. Czasem wydaje mi się, że jest w nas wdrukowany jakiś gen destrukcji, którego nie rozumiem, przeciw któremu się buntuję i który jest dla nas groźny. Przykładem jest branża filmowa w Polsce. Wielkim osiągnięciem było stworzenie Polskiego Instytutu Filmowego i mechanizmu finansowania kina artystycznego. Tymczasem obecnie jesteśmy na etapie podziałów w środowisku i niszczenia własnymi rękami tej instytucji. Kino artystyczne jest naszym dobrem narodowym, które powinniśmy chronić.

Pismo.

OKTAWIA KROMER,
REPORTERKA

Po obejrzeniu kolekcji, którą zgromadziła w Warszawskim Instytucie Seksuologii i Psychoterapii Magdalena Smaś-Myszczyszyn, mam ochotę zaopatrzyć się w przynajmniej dwa-trzy z tych sprzętów i zobaczyć, co z tego wyniknie. Po wysłuchaniu alarmistycznych wizji dr. Kowalczyka na temat seksgadżetów ostrożnie podchodziłabym do łączenia ich ze smartfonem. Jedno wiem na pewno – nie chciałabym seksu z robotem i mam wielką nadzieję, że roboty, zasadniczo, nie zastąpią nam ludzi. Według danych, które przywołuje w książce „Deus sex machina" Ewa Stusińska (2024), sekslalkę ma prawie co 10. amerykański mężczyzna i co 16. kobieta. Od 2013 r. miłość do lalek nie jest już przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne postrzegana jako zaburzenie psychiczne, a od 2019 r. nie jest nim według Światowej Organizacji Zdrowia.

VIVA!

ANDRZEJ SEWERYN,
AKTOR

Czego nauczył się pan od żony?

– O, to ciekawe… Kasia „nauczyła" mnie rodziny. Otworzyła przede mną świat rodzinny, którego nie potrafiłem wcześniej ani docenić, ani zrozumieć. Los i ja sam nie dałem sobie takiej szansy, co jest dość kompromitujące w ustach 78-letniego mężczyzny. Ale tak się stało. Na szczęście Kasia ma poczucie humoru. Zwróciła również moją uwagę na to, że miłość jest codzienną pracą. Nie jest nam dana raz na zawsze, trzeba myśleć o niej i pielęgnować ją każdego dnia. To tak jak z demokracją. Trzeba walczyć każdego dnia.

FOT. AMEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA, POLSKA ORKA POLITYCZNA, PIS NA KSIĘŻYC

eprasa.pl c938a05b9e

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* ptak z batalią	A	B	I	R	W	Y	
* znawca ementalera?	E	E	K	N	O	S	
* biała, zielona, czarna	A	A	E	H	R	T	
* z noskami na nosie	A	K	L	O	R	Y	

U B R T

ROZWIĄZANIA: RYBITWA, KONESER, HERBATA, OKULARY

Aby język giętki…

PROF. TOMASZ NAŁĘCZ O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE
W komisji śledczej miał chyba najwięcej wpadek. Przez swoją głupotę zablokował kluczowy materiał dowodowy.

JOANNA SZCZEPKOWSKA O BIZNESIE POPIERAJĄCYM TRUMPA
Gra jest prosta – silniejszy bierze wszystko. Kto kogo ogra, kto kogo wchłonie, kto kogo sprzeda. Przedmiotem kontraktu jesteśmy my.

ARTUR DOMOSŁAWSKI O AMERYCE ŁACIŃSKIEJ
W School of Americas w stanie Georgia szkolili latynoskich wojskowych, jak torturować więźniów, żeby zbyt szybko ich nie zabić.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI O POGLĄDACH
Mam mnóstwo lewicowych poglądów. Jestem za wysokimi podatkami, bo zasługujemy na Polskę nie z tektury.

ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKA O TALENCIE MAMY JOLANTY
Grzybiarski. Potrafi wypatrzyć piękny okaz nawet z samochodu.

WOJCIECH MALAJKAT O GRZE W FILMACH
Propozycji zwyczajnie nie ma. Kino najwyraźniej nie jest mną zainteresowane.

MANUELA GRETKOWSKA O CÓRCE POLI
Startuje z wyższej platformy wymagań i oczekiwań wobec mężczyzn. Oni najczęściej do niej nie dosięgają, a jej trudno zejść z własnych oczekiwań.

NATALIA RYBICKA O EMOCJACH
Często chciałabym słowami wyrazić emocje, a po prostu nie potrafię. Bo emocje są silniejsze od słów.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl c938a05b9e

Sopranistka

Ofelia

Katarzyna Swinarska Nieobecni kochankowie

Artystka wizualna Katarzyna Swinarska eksperymentuje, nie ograniczając się do jednej estetyki. Malarka, twórczyni prac wideo i instalacji multimedialnych jest absolwentką Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, gdzie w 2014 r. obroniła tytuł doktory sztuki. Jej prace są figuratywne i abstrakcyjne, obrazują kobiece doświadczenie. Swinarska bada życie kobiet, które zapisały się w historii, sięga do rodzinnych przekazów, czerpie z doświadczeń własnych i osób, które ją otaczają. Wpisuje te doświadczenia w losy pokoleń naszych prababek, matek i sióstr oraz ich partnerów – ginących na wojnach, pracujących za granicą lub nieobecnych emocjonalnie. Gdy decydujemy się pokochać drugą osobę, musimy też być gotowi na jej utratę.

Galeria Przypływ
Gdynia, ul. 3 Maja 27-31/30
(III klatka)
do 11 maja

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tryptyk ukraiński

eprasa.pl c938a05b9e

eprasa.pl c938a05b9e

KAMIL BEDNAREK

8 MARCA

SUPPORT:
POLAR NOIR (DE)
Liveurope

DZIEŃ KOBIET W KLUBIE STODOŁA

ANDRZEJ PIASECZNY

9 MARCA

BILETY: TICKETCLUB.PL

eprasa.pl c938a05b9e